

# Jedynym wyjściem jest śmierć

MacLean Alistair



calibre 0.8.24



# JEDYNYM WYJŚCIEM JEST ŚMIERĆ

Zakład Nagrań i Wydawnictw Związku Niewidomych

Warszawa 1996

Przełożył Robert Ginalski

Tłoczono pismem punktowym dla niewidomych w Drukarni Zakładu

Nagrań i Wydawnictw Zn,

Warszawa, ul. Konwiktorska 9.

Przedruk z wydawnictwa

„Krajowa Agencja Wydawnicza”, Szczecin 1988

Pisała K. Kruk

Korekty dokonali: K. Markiewicz i St. Makowski

# ROZDZIAŁ 1

Harlow siedział na poboczu toru wyścigowego. Długie włosy, powiewające na lekkim wietrze ożywiającym ten upalny, bezchmurny dzień, przesłaniały mu twarz, a jego dłonie, ściskające złoty kask, jak gdyby próbowały go zmiażdżyć, drżały nieopanowanie. Całym ciałem kierowcy co chwila wstrząsały gwałtowne dreszcze. Samochód, z którego Harlow cudem jakimś wyleciał bez większych obrażeń tuż przed wywrotką, przedziwnym zrządzeniem losu wylądował na dachu we własnym boksie Coronado. Koła wozu obracały się jeszcze leniwie, a z silnika, spowitego w pianę z gaśnic, wydobywały się smugi dymu - widać było, że niebezpieczeństwo wybuchu zbiorników paliwa zostało zażegnane. Alexis Dunnet, który pierwszy dopadł Harlowa, stwierdził, że ten nie patrzy na swój bolid, lecz niczym w transie wpatruje się w oddalony o jakieś dwieście metrów punkt na torze, gdzie martwy już człowiek nazwiskiem Isaac Jethou dopalał się w białych płomieniach stosu pogrzebowego, będącego niegdyś jego samochodem wyścigowym Formuły I. Z płonącego wraka ulatywało dziwnie mało dymu, prawdopodobnie na skutek olbrzymich ilości ciepła wydzielanego przez rozżarzone felgi ze stopu magnezu. Od czasu do czasu, kiedy porywy wiatru rozsuwały niebotyczną zasłonę płomieni, można było dostrzec Jethou, siedzącego sztywno w fotelu, który na pierwszy rzut oka był jedyną ocalałą częścią pozostałą ze zmiażdżonej, bezkształtnej masy pogiętej stali. A ściślej mówiąc, Dunnet zdawał sobie sprawę, że to Jethou, chociaż widział jedynie szerniałe, straszliwie zwęglone szczątki czegoś, co kiedyś było człowiekiem. Tysiące widzów siedzących na trybunach i po obu stronach toru zamarli, z niedowierzaniem i przerażeniem wpatrując się w płonący samochód. Dziewięć pojazdów zatrzymało się już w pobliżu boksów - niektórzy kierowcy wysiedli i stali obok swoich maszyn - a silniki pozostałych zgasły, kiedy komisarze toru przerwali wyścig, rozpaczliwie wymachując flagami. Zamilkły megafony, ucichł też zawodzący jęk syreny karetki pogotowia, która z piskiem opon wyhamowała w bezpiecznej odległości od samochodu Jethou. Migające światła karetki zapadły się w nicość na tle oślepiającego blasku. Ratownicy w azbestowych kombinezonach ochronnych, obsługujący gigantyczne gaśnice na kółkach lub uzbrojeni w łomy i siekiery, z powodów wymykających się wszelkiej logice desperacko usiłowali przedostać się w pobliże samochodu, by wydobyć zwęglone ciało, lecz niesłabnąca intensywność płomieni kpiła sobie z ich desperacji. Wysiłki ratowników były równie bezowocne, co obecność karetki zbędna. Dla Jethou nie było już na tym świecie pomocy ni nadziei. Dunnet odwrócił wzrok i spojrzał w dół, na siedzącą obok niego postać w kombinezonie. Ręce ściskające złoty kask nadal drżały, oczy zaś, nadal wpatrzone w słup płomieni całkowicie zasłaniających już samochód Isaaka Jethou, przypominały oczy orła, który stracił wzrok. Dunnet wyciągnął rękę i łagodnie potrząsnął Harlowa za ramię, lecz ten nie zareagował. Dunnet spytał go, czy nie jest ranny, ponieważ twarz i roztrzęsione ręce kierowcy były zalane krwią: katapultując w ostatniej chwili, nim jego wóz stanął na dachu i zatrzymał się we własnym boksie Coronado, przekoziółkował przynajmniej z sześć razy. Harlow drgnął i spojrzał na Dunnet, mrugając niczym człowiek otrząsający się z sennych majaków, po czym potrząsnął głową. Dwaj sanitariusze z noszami wyskoczyli z karetki i puścili się biegiem w ich kierunku, lecz Harlow o własnych siłach, jeśli nie liczyć Dunnet, który trzymał go pod ramię, wstał chwiejnie i odprawił ich ruchem ręki. Nie protestował jednak przeciwko skromnej pomocy ze strony Dunnet i obaj ruszyli powoli ku boksom Coronado - wciąż oszołomiony i otępiały Harlow oraz Dunnet: wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami z przedziałką, cienkim jak kreska czarnym wąsem i w okularach bez oprawek; wyglądał jak uosobienie księgowego, choć w paszporcie miał wpisany zawód - dziennikarz. U wejścia do boksów powitał ich Macalpine. Ubrany w poplamiony garnitur z gabardyny, trzymał w ręku gaśnicę. James Macalpine, właściciel i menadżer

stajni wyścigowej Coronado, był nieco po pięćdziesiątce. Potężnie zbudowany, o wydatnych szczękach, miał pooraną głębokimi zmarszczkami twarz pod imponującą grzywą szpakowatych włosów. Za jego plecami Jacobson - główny mechanik - wraz z dwoma pomocnikami - rudymi bliźniakami Rafferty, których wszyscy nie wiadomo czemu nazywali zawsze Tweedledum i Tweedledee - nadal krzatali się wokół dymiącego coronado, a jeszcze dalej dwaj inni ludzie, odziani w białe fartuchy sanitariuszy, zajmowali się ważniejszymi sprawami: na ziemi, wciąż ściskając notes i ołówek do zapisywania międzyczasów, leżała Mary Macalpine - czarnowłosa, dwudziestodwuletnia córka właściciela zespołu. Sanitariusze pochylali się nad jej lewą nogą i rozcinali nogawkę czerwonych jak wino spodni, które jeszcze przed chwilą były białe. Macalpine ujął Harlowa pod ramię, specjalnie zasłaniając mu swoją córkę, i poprowadził go do niewielkiej budki w głębi boksów. Jak przystało na milionera, Macalpine był nadzwyczaj zdolny, fachowy i twardy, a przy tym - co wychodziło na jaw w takich właśnie sytuacjach - w głębi duszy wrażliwy i subtelny, choć nikt by go o to nie podejrzewał. W głębi budki stała nieduża drewniana skrzynia, służąca za przenośny barek. Większą jej część zajmowała lodówka, zawierająca kilka butelek piwa i masę napojów orzeźwiających, przeznaczonych głównie dla mechaników, wiecznie spragnionych przy pracy pod tym palącym słońcem. Mroziły się w niej także dwie butelki szampana, gdyż - na zdrowy rozum - należało oczekiwać, iż człowiek, który dokonał prawie niemożliwej sztuki, zdobywając pięć kolejnych Grand Prix, wygra po raz szósty. Harlow uniósł wieko skrzyni, zignorował lodówkę, wyciągnął butelkę brandy i nalał sobie pół szklanki. Szyjka butelki uderzyła gwałtownie o szkło - więcej trunku wylało się na ziemię, niż trafiło do naczynia. Harlow potrzebował dwóch rąk, by podnieść szklankę do ust, a jej brzeg, niczym kastaniety, wybijał o jego zęby jeszcze bardziej nierówny rytm niż przedtem butelka o szkło. Udało mu się przełknąć nieco alkoholu, jednak większa część zawartości szklanki wyciekła mu kącikami ust, spływając po zakrwawionych policzkach i plamiąc jego biały kombinezon na dokładnie ten sam kolor, co barwa spodni rannej dziewczyny na zewnątrz budki. Harlow spojrzał zamroczonym wzrokiem na pustą szklankę, opadł na ławę i znów sięgnął po butelkę. Macalpine zerknął na Dunneta z kamienną twarzą. W swojej karierze Harlow miał trzy poważne wypadki, przy czym w ostatnim, przed dwoma laty, omal nie zginął. A jednak, pomimo nieopisanego bólu, uśmiechał się, gdy ładowano go na noszach do samolotu ratunkowego, którym miał wrócić do Londynu, podczas gdy jego lewa ręka z zadartym w górę kciukiem - prawą miał złamaną w dwóch miejscach - była nieruchoma niczym wyrzeźbiona z marmuru. Ale znacznie większy niepokój budził fakt, że poza tradycyjnym łykiem szampana po zwycięstwie Harlow nie brał alkoholu do ust. Oni wszyscy tak kończą, twierdził zawsze Macalpine, prędzej czy później tak kończą wszyscy. Rozsądek, odwaga czy talent nie odgrywały tu żadnej roli - tak kończyli wszyscy, a ich lodowaty spokój i opanowanie były tym bardziej kruche, im bardziej stalowe. Macalpine nie stronił od pozornie paradoksalnych stwierdzeń, mimo iż garstka - lecz tylko garstka - wybitnych kierowców Grand Prix wycofała się u szczytu psychicznej i fizycznej formy, co w tym wypadku całkowicie wystarczało do obalenia jego tezy. Z drugiej strony było tajemnicą poliszynela, że niektórzy czołowi kierowcy na skutek wypadków lub krańcowego wyczerpania nerwowego i psychicznego, są jak puste skorupy, że pośród obecnych dwudziestu czterech kierowców Formuły I jest czterech czy pięciu, którzy nigdy więcej nie wygrają żadnego wyścigu, ponieważ nie mają nawet zamiaru próbować, którzy ścigają się wyłącznie po to, by podbudować fasadę swej pustej już dumy. Pewnych rzeczy nie praktykuje się jednak w światku Formuły I, a zwłaszcza nie skreśla się człowieka z listy kierowców tylko dlatego, że wysiadły mu nerwy. Tak czy inaczej, widok roztrzęsionej, zgarbionej postaci na ławie był smutnym świadectwem tego, że Macalpine zazwyczaj miał rację. Jeżeli kiedykolwiek ktoś wspiał się na sam szczyt kariery, osiągnął

i przekroczył granice ludzkiej wytrzymałości, nim stoczył się w otchłań samozagłady i przygnębiającej świadomości ostatecznej porażki, to właśnie Johnny Harlow, złoty chłopak torów wyścigowych, jeszcze do tego popołudnia bez wątpienia najwybitniejszy kierowca swoich czasów i - jak coraz częściej sugerowano - wszechczasów. Wyglądało jednak na to, że po łatwym zdobyciu mistrzostwa w zeszłym roku i mając, na dobrą sprawę, niemal zapewniony tytuł tegoroczny - chociaż sezon wyścigowy był dopiero na półmetku - wola i nerwy Harlowa rozpadły się na dobre. Macalpine i Dunnet nie mieli wątpiwości, że zwęglona postać, która niegdyś była Isaakiem Jethou, będzie go prześladować po kres jego dni. Choć z drugiej strony, już wcześniej zapowiadały ten kryzys pewne oznaki, wyraźne dla tych, którzy mieli oczy wystarczająco otwarte - a więc dla większości kierowców i mechaników Formuły I. Począwszy od drugiego w tym sezonie wyścigu Grand Prix, który wygrał łatwo i przekonywająco, nieświadom faktu, że jego utalentowany młodszy brat wyleciał z toru i skrócił swój samochód do jednej trzeciej, uderzając w pień sosny z prędkością około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, te oznaki były wyraźne. Harlow, zawsze niezbyt towarzyski, teraz stał się jeszcze bardziej zamknięty, jeszcze bardziej małomówny, a jeśli już się uśmiechał, co zdarzało się rzadko, był to pusty uśmiech człowieka, który nie widzi w życiu powodów do radości. Dotychczas to on wykazywał największą rozwagę, wręcz przesadną dbałość o bezpieczeństwo, lecz od tej pory zniknął nieskazitelny styl jego jazdy, a właściwa mu obsesja na punkcie bezpieczeństwa przerażająco zmalała, jednocześnie zaś, powodowany chyba przekorą, konsekwentnie zaczął bić rekordy torów w całej Europie. Tyle tylko, że kontynuował to bicie rekordów, zdobywając jedno Grand Prix za drugim, coraz większym kosztem siebie i swoich rywali. Zaczął jeździć brawurowo, coraz bardziej niebezpiecznie, aż wystraszył pozostałych kierowców, którzy - choć również twardzi i zahartowani w bojach - zamiast walczyć z nim, jak dotąd o każdy wiraż, nabrali zwyczaju zjeżdżania na bok, widząc we wstecznym lusterku, że dogania ich jasnozielone coronado. Inna sprawa, że zdarzało się to raczej rzadko, ponieważ Harlow miał nadzwyczaj prostą formułę na wygrywanie wyścigów: wyjść na czoło i tak trzymać. Od pewnego czasu coraz częściej słychać było głosy, że jego samobójcze zachowanie na torach to nie walka z rywalami, lecz ze samym sobą. Coraz bardziej oczywisty, ostatnio wręcz tragicznie oczywisty, stawał się fakt, że tej wojny Harlow nie wygra, że ta walka na śmierć i życie z zawodzącymi nerwami może mieć tylko jeden koniec, że pewnego dnia szczęście go opuści. I opuściło go, tak jak opuściło Isaaka Jethou, a Johnny Harlow, na oczach całego świata, przegrał swą ostatnią bitwę na torach wyścigowych Europy i Ameryki. Nie można było wykluczyć, że stanie jeszcze na torach, że zacznie jeszcze walczyć. Z pewnością jednak on sam najlepiej zdawał sobie sprawę, że dni jego walki już minęły. Po raz trzeci Harlow sięgnął po brandy, jeszcze bardziej roztrzęsionymi rękami. Pełna przed chwilą butelka była już w jednej trzeciej pusta, lecz tylko znikoma część jej zawartości trafiła do gardła Harlowa, tak niezborne były jego ruchy. Macalpine popatrzył grobowo na Dunnet, wzruszył barczystymi ramionami ni to w geście rezygnacji, ni zrozumienia, i wyrzwał z boksów. Właśnie podjechała karetka po jego córkę. Macalpine pośpieszył na zewnątrz, Dunnet zaś wziął gąbkę i kubek z wodą i zaczął obmywać twarz Harlowa. Harlow sprawiał wrażenie, jakby mu to było obojętne. Bez względu na to, o czym myślał - a w tych okolicznościach jedynie idiota mógłby mieć co do tego wątpiwości - wydawało się, że całą uwagę poświęcił zawartości butelki martella: typowy okaz męzczyzny, który na gwałt szuka natychmiastowego zapomnienia. Dobrze się chyba stało, że ani Harlow, ani Macalpine nie zauważyli postaci stojącej tuż za drzwiami, której wyraz twarzy wskazywał niedwuznacznie, że z niemałą przyjemnością pomogłaby Harlowowi przenieść się w stan wiecznego zapomnienia. Rory, syn Macalpine'a, młodzieniec o ciemnych kręconych włosach i zazwyczaj miłym, pogodnym usposobieniu, spoglądał na kierowcę z miną niczym chmura gradowa. Była to reakcja nie do

pomyślenia u kogoś, kto przez lata, a nawet jeszcze przed kilkoma minutami, uważał Harlowa za swego idola. Wszystko stało się jednak jasne, gdy Rory łypnął spode łba na karetkę pogotowia, w której leżała jego nieprzytomna, zakrwawiona siostra. Odwrócił się i znów spojrzął na Harlowa, a tym razem uczucie wyzierające z jego oczu było tak zbliżone do jawnej nienawiści, jak to możliwe tylko u szesnastolatka. Komisja powołana do wyjaśnienia przyczyny wypadku, która wszczęła śledztwo niemal natychmiast, nie oskarżyła nikogo o spowodowanie katastrofy. Można się było tego spodziewać - w takich wypadkach oficjalne werdykty prawie zawsze brzmiały tak samo, nawet po osławionym dochodzeniu w sprawie bezprecedensowej masakry w Le Mans, kiedy to śmierć poniosło siedemdziesięciu trzech widzów, a nie znaleziono winnego, mimo iż powszechnie było wówczas wiadomo, że to wyłącznie jeden, jedyny człowiek - dziś już nieżyjący - ponosił całą odpowiedzialność. W tym konkretnym wypadku także nie oskarżono nikogo, mimo iż dwa lub trzy tysiące ludzi na głównej trybunie bez wahania obarczyłyby wyłączną winą Johnny'ego Harlowa. Jednak dużo większą wagę miał niezbity dowód, ujawniony w małej sali, w której do śledztwa wykorzystano zapis filmowy z utrwalonym momentem wypadku. Ekran był mały i brudny, lecz obraz wystarczająco wyraźny, a efekty dźwiękowe aż nazbyt realne i żywe. Na powtórce filmu - trwał on zaledwie dwadzieścia sekund, lecz wyświetlano go pięć razy - widać było zbliżające się do boksów trzy samochody, śledzone od tyłu przez teleobiektyw. Harlow, w swoim coronado, doganiał prowadzący samochód - prywatnie zgłoszone ferrari koloru czerwonego wina, prowadzące tylko dlatego, że straciło już jedno okrążenie. Jeszcze szybciej od Harlowa, trzymając się drugiej strony toru, pędziło fabrycznie wystawione, jaskrawoczerwone ferrari znakomitego kierowcy z Kalifornii, Isaaka Jethou. Na prostej dwanaście cylindrów bolidu Jethou miało znaczną przewagę nad ośmioma w samochodzie Harlowa i było jasne, że Amerykanin zamierza wyprzedzić. Wydawało się, że Harlow także zdawał sobie z tego sprawę, gdyż światła stopu jego wozu zapaliły się, jak gdyby miał zamiar lekko zwolnić i schować się za wolniejszym samochodem, gdy Jethou będzie go wyprzedzał. O dziwo, ni stąd, ni zowąd światła stopu w wozie Harlowa zgasły, a coronado odbiło gwałtownie w bok, jak gdyby Harlow uznał, że zdąży wyprzedzić jadący przed nim samochód, nim Jethou wyprzedzi ich obu. Jeżeli faktycznie powziął tak zupełnie niepojęty zamiar, to popełnił największy, życiowy błąd, ponieważ wprowadził swój samochód wprost na tor jazdy Jethou, który na tej prostej rozwijał prędkość nie mniejszą niż trzysta kilometrów na godzinę i który w tym ułamku sekundy nie miał nawet cienia szansy na wyhamowanie czy skręt. W momencie kolizji przednie koło wozu Jethou uderzyło prostopadle w bok przedniego koła bolidu Harlowa. Trzeba przyznać, że dla Harlowa skutki tego zderzenia były dosyć poważne, jako że jego samochód wpadł w niekontrolowany poślizg, ale dla Jethou były katastrofalne. Nawet poprzez kakofoniczne wycie pracujących na maksymalnych obrotach silników i pisk zablokowanych kół, wybuch przedniej opony wozu Jethou dał się słyszeć niczym wystrzał z karabinu i praktycznie już w tym momencie było po kalifornijczyku. Jego całkowicie pozbawione kontroli ferrari, niczym bezmyślne, mechaniczne monstrum pędzące do samozagłady, wyrznęło w bliższą bandę ochronną i miotając smugi czerwonych płomieni i czarnego, oleistego dymu, odbiło się od niej i jak szalone przeleciało przez tor, uderzając tyłem w bandę po drugiej stronie, wciąż jeszcze z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wirując wściekle, ferrari przeleciało po torze ze dwieście metrów, przekoziołkowało dwukrotnie i zatrzymało się na wszystkich czterech kołach, a Jethou wciąż siedział uwięziony w fotelu, chociaż z całą pewnością już nie żył. W tej samej chwili czerwone płomienie zmieniły się w białe. Bezpośrednia odpowiedzialność Harlowa za śmierć Jethou nie podlegała dyskusji, lecz Harlow, który w ciągu siedemnastu miesięcy wygrał jedenaście wyścigów, był - z definicji i z wyników - najlepszym kierowcą na świecie, a najlepszych kierowców świata nie oskarża się o błąd w sztuce.

To nie leży w zwyczaju. Całe to tragiczne wydarzenie przypisano więc działaniu siły wyższej i dyskretnie opuszczono zasłonę, dając znak, że seans dobiegł końca.

\* \* \*



## ROZDZIAŁ 2

Skrywanie uczuć nie leży w charakterze Francuzów nawet w chwilach pełnego relaksu i odprężenia, nic więc dziwnego, że zwarty tłum w Clermont-ferrand - tego dnia wyjątkowo spięty i nad wyraz pobudliwy - daleki był od łamania tej typowo romańskiej tradycji. Kiedy Harlow nie tyle szedł, co włókł się ze spuszczoną głową ku boksom Coronado, widzowie w całej pełni ujawnili swe zdolności wokalne. Ich gwizdy, wycie, posykiwanie oraz zwykłe okrzyki gniewu, którym towarzyszyło tak galijskie wygrażanie pięściami, brzmiały równie złowieszczo, co przerażająco. Była to nie tylko nieprzyjemna scena - wyglądało na to, że najmniejsza iskierka może wywołać zamieszki i przekształcić mściwość tłumu w prawdziwy atak na Johnny'ego Harlowa. Tego przede wszystkim obawiali się policjanci, co stało się jasne, gdy przysunęli się do Harlowa, by w razie potrzeby zapewnić mu należytą ochronę. Ale wyraz ich twarzy równie jasno dowodził, że wypełniają obowiązki bez przyjemności, sposób zaś, w jaki odwracali głowy od kierowcy, że podzielają uczucia rodaków. Kilka kroków za Harlowem, w towarzystwie Dunneta i Macalpine'a, szedł następny mężczyzna, który najwyraźniej podzielał zdanie widzów i policjantów. Gniewnie wywijał trzymanym za pasek kaskiem. Miał na sobie identyczny kombinezon co Harlow - Nicolo Tracchia był bowiem kierowcą numer dwa w zespole Coronado. Tracchia był nieprzyzwoicie przystojny - miał ciemne kręcone włosy, lśniące doskonale zęby, których żaden fabrykant pasty do zębów nie ośmieliłby się wykorzystać do celów reklamowych, oraz opaleniznę, na widok której zzieleniałby każdy ratownik. W tym momencie nie wyglądał jednak zbyt radośnie, a to dlatego, że krzywił się niemiłosiernie - sławetne miny Tracchii były zjawiskiem pozostawiającym niezatarte wspomnienie, stosowanym nieustannie i wzbudzającym czasami szacunek, czasami obawę lub zgoła strach, lecz nigdy nie ignorowanym. Tracchia miał nieszczęśliwe zdanie o bliźnich i większość ludzi, a zwłaszcza pozostałych kierowców Formuły I, uważał za opóźnione w rozwoju dzieci. Zrozumiałe więc, że obracał się w wąskim kręgu towarzyskim. Jego samopoczucie pogarszał fakt, iż doskonale zdawał sobie sprawę, że - pomimo wybitnego talentu do kierownicy - jest jednak minimalnie gorszy od Harlowa, a świadomość, iż nawet największe, najbardziej rozpaczliwe wysiłki z jego strony nigdy nie zmniejszą tej minimalnej różnicy, dolewała tylko oliwy do ognia. Zwracając się teraz do Macalpine'a nie starał się nawet ściszyć głosu, co w tych warunkach i tak nie miało zresztą znaczenia, jako że Harlow nie mógł go usłyszeć poprzez wycie tłumu, ale widać było, że Tracchia nie ściszyłby głosu bez względu na okoliczności.

- Siła wyższa! - Zaprawione goryczą niedowierzanie w jego głosie było jak najbardziej autentyczne. - Jezu Chryste! Słyszeliście, co orzekli ci kretyni? Siła wyższa! Według mnie to zwyczajne morderstwo!

- O nie, chłopcze, nie. - Macalpine położył dłoń na ramieniu Tracchii, który strząsnął ją gniewnie. Macalpine westchnął. - W najgorszym razie to zabójstwo. A nawet i to nie. Sam wiesz, ilu kierowców zginęło w ciągu ostatnich czterech lat tylko z powodu defektów maszyn.

- Z powodu defektów! Też coś!

- Tracchia, któremu na chwilę aż zabrakło słów, popatrzył w górę z niemym wezwaniem. - Wielkie nieba, Mac, wszyscyśmy to widzieli na ekranie. Widzieliśmy to pięć razy. Zdjął nogę z hamulca i wyskoczył wprost przed Jethou. Siła wyższa! Jasne, jasne. Jasne, że to siła wyższa, bo

wygrał jedenaście Grand Prix w siedemnaście miesięcy, bo zdobył mistrzostwo w zeszłym roku i zanoszą się na to, że w tym roku to powtórzy!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz doskonale, co chcę przez to powiedzieć. Jak go zdejmiecie z torów, to równie dobrze możecie zdjąć i nas wszystkich. To on jest mistrzem, nie? Jak on jest taki zły, to co tu gadać o innych? My wiemy, że tak nie jest, ale kibice? Co oni o tym wiedzą, do ciężkiej cholery? Bóg świadkiem, że już i tak za dużo ludzi, i to cholernie wpływowych, domaga się zlikwidowania wyścigów Formuły I i za dużo krajów czeka tylko na stosowny pretekst, żeby się wycofać. To by dopiero był pretekst! Wreszcie by mieli swoją życiową szansę. Potrzebujemy takich Harlowów, prawda, Mac? Nawet jeżeli od czasu do czasu kogoś zabijają.

- Zdawało mi się, że jesteście przyjaciółmi, Nikki?

- Jasne, Mac. Jasne, że jesteśmy przyjaciółmi. Ale Jethou też był moim przyjacielem. Macalpine nie znalazł na to odpowiedzi, toteż nic nie odrzekł. Wyglądało na to, że Tracchia powiedział już, co miał do powiedzenia, gdyż zamilkł i znów zaczął łytać spode łba. W milczeniu, bezpiecznie - policyjna eskorta powiększała się z każdą chwilą - czterej mężczyźni dotarli do boksów Coronado. Nie zaszczycając nikogo spojrzeniem ani słowem, Harlow ruszył do małej budki na tyłach. Z ich strony nikt - a byli tam także Jacobson i jego dwaj pomocnicy - nie spróbował odezwać się do niego ani go zatrzymać, nikt nawet nie bawił się w rzucanie znaczących spojrzeń - faktów oczywistych nie trzeba dodatkowo podkreślać. Jacobson zignorował go całkowicie i podszedł do Macalpine'a. Główny mechanik - uchodzący powszechnie za geniusza - był smukłym, wysokim, silnie zbudowanym mężczyzną. Miał ciemną, poorlyaną głębokimi zmarszczkami twarz, sprawiającą wrażenie, jakby nie uśmiechała się już od dłuższego czasu i jakby teraz też nie zamierzała zrobić wyjątku.

- Harlow jest oczywiście czysty - powiedział.

- Oczywiście? Nie rozumiem.

- Czyżbym musiał to panu tłumaczyć? Oskarżyć Harlowa to cofnąć ten sport o dziesięć lat. Za dużo milionów w to wpakowano, żeby można było do tego dopuścić. Nie mam racji, panie Macalpine? Macalpine spojrzał na niego z namysłem, nie odpowiedział, zerknął szybko na wciąż rozwścieczonego Tracchię, odwrócił się i podszedł do zgruchotanego, osmalonego coronado Harlowa, które postawiono już z powrotem na kołach. Przypatrzył mu się leniwie, niemal kontemplacyjnie, nachylił nad fotelem, przekręcił nie stawiającą oporu kierownicę i wyprostował się.

- Hmm - mruknął. - Tak się zastanawiam... Jacobson popatrzył na niego zimno. Jego gniewne oczy budziły nie mniejsze onieśmienie i lęk niż miny Tracchii.

- To ja przygotowałem ten wóz, panie Macalpine - powiedział z naciskiem. Milioner wzruszył ramionami i zamilkł na dłuższą chwilę.

- Wiem, Jacobson, wiem. Wiem także, że jesteś najlepszy w branży. Ale wiem i to, że siedzisz w tym fachu zbyt długo, żeby gadać bzdury. Każdy samochód może wysiąść. Ile ci to zajmie?

- Mam zacząć zaraz?

- Tak.

- Cztery godziny - rzucił krótko Jacobson. Wziął sobie ten afront do serca. - Co najwyżej sześć. Macalpine skinął głową, wziął Dunneta pod rękę i ruszył do wyjścia, lecz nagle zatrzymał się. Tracchia i Rory stali na uboczu, rozmawiając szeptem. Macalpine nie słyszał, o czym mówią, ale nie musiał - jawna wrogość, malująca się na ich twarzach, kiedy spoglądali na Harlowa z butelką brandy, była wystarczająco wymowna. Szef Coronado, wciąż trzymając Dunneta pod rękę, oddalił się i znów westchnął.

- Johnny nie ma dziś jakoś wielu przyjaciół, zauważyłeś?

- Nie ma ich już od dawna. A oto, zdaje się, następny, z którym się dziś nie zaprzyjaźni.

- Jezu kochany! - Wzdychanie najwyraźniej weszło Macalpine'owi w krew. - Wygląda na to, że Neubauer mocno się czymś gryzie. Rzeczywiście wyglądało na to, że mężczyzna w błękitnym kombinezonie, zmierzający ku boksom, mocno się czymś gryzie. Neubauer był wysoki, o bardzo jasnych włosach i typowo nordyckiej aparycji, chociaż faktycznie był Austriakiem. Jako kierowca numer jeden w zespole Cagliari - napis Cagliari miał wypisany na kombinezonie - doskonałą postawą na torach zdobył sobie reputację księcia wyścigów i nieuchronnego następcy Harlowa. Tak jak Tracchia, był on chłodnym, nieprzystępnym człowiekiem, nie tolerującym głupoty pod żadną postacią. Tak jak Tracchia, obracał się w bardzo wąskim kręgu przyjaciół i bliskich znajomych; nie budził więc zdziwienia ani domysłów fakt, że tych dwóch mężczyzn - choć na torach byli najbardziej zażartymi rywalami - w życiu prywatnym łączyła bliska przyjaźń. Neubauer, z zaciśniętymi wargami i zimnym błyskiem jasnyniebieskich oczu, był najwyraźniej wściekły, a jego humor nie poprawił się, gdy Macalpine zagroził mu drogę swym masywnym cielskiem. Nie mając wyboru, Neubauer zatrzymał się - był wprawdzie duży, lecz Macalpine był większy.

- Zejdź mi z drogi! - syknął Austriak przez zaciśnięte zęby. Macalpine popatrzył na niego z łagodnym zdumieniem.

- Coś ty powiedział?

- Przepraszam, panie Macalpine. Gdzie ten sukinsyn Harlow?

- Zostaw go. Nie czuje się najlepiej.

- Za to Jethou czuje się doskonale, co? Nie wiem, kim i czym jest Harlow, i mam to gdzieś. Niby czemu ten maniak miałby wyjść z tego bezkarnie? To jest maniak. Pan o tym wie, wszyscy o tym wiemy. Dzisiaj dwa razy zepchnął mnie z drogi, mało brakowało, a byłbym się spalił tak jak Jethou. Ostrzegam pana, panie Macalpine. Mam zamiar zwołać posiedzenie Stowarzyszenia Kierowców Grand Prix, na którym wywalą go z torów.

- Jesteś ostatnią osobą, która może sobie na to pozwolić, Willi. - Macalpine położył obie ręce na ramionach Neubauera. - Jesteś ostatnią osobą, która może tknąć Johnny'ego. Jak Harlowa zabraknie, to kto zostanie mistrzem? Neubauer gapił się na niego. Furia częściowo zniknęła z jego twarzy. Oszołomiony, spoglądał na Macalpine'a z niedowierzaniem. Gdy wreszcie odzyskał głos, zdobył się ledwie na cichy, niepewny szept.

- Pan uważa, że ja bym to zrobił z takiego powodu, panie Macalpine?

- Nie, Willi. Po prostu zwracam ci uwagę, że tak właśnie myślałaby większość ludzi. Nastąpiła dłuższa cisza, w trakcie której resztki gniewu opuściły Neubauera.

- To zabójca - stwierdził Austriak spokojnie. - On znów kogoś zabije. - Delikatnie uwolnił się od dłoni Macalpine'a i wyszedł z boksów. Zamyślony Dunnet obserwował go zatroskanym wzrokiem.

- On może mieć rację, James. Fakt, że Harlow wygrał pod rząd pięć ostatnich wyścigów, ale odkąd jego brat zginął podczas Grand Prix Hiszpanii... no, sam wiesz.

- Ma pięć kolejnych Grand Prix za pasem, a ty mi chcesz wmówić, że go opuściły nerwy?

- Nie wiem, co go opuściło. Po prostu nie wiem. Wiem tylko tyle, że najbardziej ostrożny z kierowców zaczął jeździć tak ryzykownie i niebezpiecznie, czy - jeśli wolisz - z tak samobójczą brawurą, że inni kierowcy zwyczajnie się go boją. Dają mu wolną drogę, bo wolą żyć niż walczyć z nim o każdy metr. Tylko dlatego on wciąż wygrywa. Macalpine spojrzał na Dunnet'a uważnie i niespokojnie potrząsnął głową. To on, Macalpine, był uznanym ekspertem, a nie Dunnet, ale miał jak najlepsze mniemanie o swoim przyjacielu i jego opiniach. Dunnet był niebywale bystrym, zdolnym i inteligentnym dziennikarzem, naprawdę dużej klasy, który z komentatora politycznego przerzucił się na sport, a to z tej prostej przyczyny, iż polityka jest najnudniejszą rzeczą pod słońcem. Nikt nie podważał słuszności jego rozumowania. Przenikliwość i godny podziwu dar spostrzegawczości i analizowania, które wcześniej czyniły z niego tak groźną postać na scenie Westminsteru, Dunnet bez trudu i z dużym sukcesem przeniósł na tory wyścigowe. Jako stały korespondent brytyjskiego dziennika o zasięgu centralnym i dwóch czasopism motoryzacyjnych, brytyjskiego i amerykańskiego (choć jako wolny strzelec zadziwiająco dużo dorabiał na boku), szybko wystawił sobie markę jednego z nielicznych, rzeczywiście najwybitniejszych dziennikarzy zajmujących się sportem samochodowym. Dokonanie tego w okresie nieco ponad dwóch lat było, czego by nie mówić, wybitnym osiągnięciem. W rezultacie Dunnet wzbudził swoim sukcesem zazdrość i niezadowolenie, żeby nie powiedzieć jawny gniew, sporej gromadki swych mniej uzdolnionych kolegów po piórze. Ich niepochlebnego zdania o nim nie poprawiał fakt, że - jak to cierpko określali - niczym pijawka przysała się na stałe do zespołu Coronado. Wprawdzie żadne pisane czy niepisane prawa nie ograniczały możliwości takiej współpracy, jako że dotychczas żaden niezależny dziennikarz niczego podobnego nie próbował, ale teraz, gdy stało się to faktem, jego koledzy po piórze twierdzili, że tak się nie robi. Do jego obowiązków, jak utrzymywali i narzekali, należało uczciwe i bezstronne pisanie o wszystkich firmach i wszystkich kierowcach Formuły I, a ich oburzenie bynajmniej nie malało, kiedy wykazywał im, rzeczowo i z niedoścignioną celnością, że on właśnie to robi. W rzeczywistości zaś bolało ich to, że Dunnet miał prywatne dojście do zespołu Coronado - wówczas najszybciej rozkwitającej i okrytej największą chwałą firmy związanej z Formułą I. Nie da się jednak ukryć, że uboczne artykuły, które napisał częściowo o zespole, lecz przede wszystkim o Harlowie, złożyłyby

się na całkiem opasłe tomisko. W dodatku sprawy komplikowało wydanie książki, przy pisaniu której Dunnet współpracował z Harlowem.

- Obawiam się, że masz rację, Alexis - przyznał Macalpine. - Właściwie to wiem, że masz rację, ale nawet przed samym sobą nie chcę się do tego przyznać. Wszyscy się go boją. Nawet ja. A teraz jeszcze to. Popatrzyli na drugą stronę boksów, gdzie Harlow siedział na ławie. Nie zważając na to, czy go ktoś obserwuje, czy nie, Harlow nalał sobie pół szklanki brandy z szybko tracącej zawartość butelki. Nawet z zamkniętymi oczami można było stwierdzić, że jego ręce wciąż drżą - wprawdzie zgiełk protestów publiczności stopniowo malał, lecz nadal jeszcze utrudniał normalną rozmowę, a mimo to wyraźnie było słychać przypominający kastaniety dźwięk szkła uderzającego o szkło. Harlow szybko pociągnął ze szklanki, oparł łokcie na kolanach i bez zmrużenia oka wpatrywał się pustym wzrokiem w szczątki swojego samochodu.

- A zaledwie dwa miesiące temu nie wiedział jeszcze, co to alkohol - powiedział Dunnet. - Co masz zamiar zrobić, James?

- Teraz? - Macalpine uśmiechnął się lekko. - Chcę odwiedzić Mary. Mam nadzieję, że już mnie do niej wpuszczą. - Z kamienną twarzą obrzucił wzrokiem boksy, Harlowa podnoszącego szklankę do ust, rudych bliźniaków Rafferty, na oko równie markotnych co Dunnet, oraz Jacobsona, Tracchię i Rory'ego, rzucających te same spojrzenia w tym samym kierunku, po czym westchnął po raz ostatni i odszedł ciężkim krokiem. Mary Macalpine miała dwadzieścia dwa lata, bladą cerę pomimo częstego przebywania na słońcu, wielkie brązowe oczy, błyszczące, zaczesane do tyłu włosy, ciemne jak noc, oraz najbardziej czarujący uśmiech, jaki kiedykolwiek zaszczycał tory wyścigowe. Mary nie starała się, żeby jej uśmiech był czarujący - po prostu nie miała na to wpływu. Wszyscy w zespole, nawet małomówny, choleryczny Jacobson, kochali się w niej w ten czy inny sposób, nie licząc grona wielbicieli spoza zespołu. Mary dostrzegała to i przyjmowała z godną uwagi pewnością siebie, lecz bez rozbawienia czy protekcjonalności - protekcjonalność była całkowicie obca jej naturze. W każdym razie uważała okazywane jej względy za naturalne odwzajemnianie względów, jakie okazywała innym. Pomimo swego bystrego, trzeźwego umysłu, Mary Macalpine była jeszcze bardzo młoda. Leżąc na łóżku szpitalnym w tym nieskazitelnie czystym, bezdusznym antyseptycznym pokoju, Mary Macalpine wyglądała tego dnia jeszcze młodziej niż zwykle. Wydawało się, że jest poważnie chora - i bezsprzecznie była chora. Nienaturalna biel powlekała jej zazwyczaj bladą cerę, a wielkie brązowe oczy, które otwierała tylko na krótko, a i to niechętnie, były zamglone z bólu. Ten sam ból odbijał się także w oczach Macalpine'a, gdy spoglądał na córkę, na jej unieruchomioną łubkami i grubo zabandażowaną lewą nogę, spoczywającą na prześcieradle. Macalpine nachylił się i pocałował córkę w czoło.

- Śpij dobrze, kochanie - powiedział. - Dobranoc. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Po tych wszystkich pigułkach, które połknęłam? Zasnę na pewno. Aha, tato...

- Tak, kochanie?

- To nie była wina Johnny'ego. Ja wiem, że nie. To samochód, wiem o tym na pewno.

- Właśnie to sprawdzamy. Jacobson rozbiera wóz.

- Przekonacie się. Poprosisz Johnny'ego, żeby do mnie zajrzał?

- Nie dziś, skarbie. Obawiam się, że nie jest z nim najlepiej.

- On... on nie...

- Nie, nie. Szok. - Macalpine uśmiechnął się. - Dostał te same pigułki, co ty.

- Johnny Harlow? W szoku? Nie wierzę. Miał trzy wypadki, w których omal nie zginął, i ani razu...

- To na twój widok. - Ścisnął jej dłoń. - Wpadnę tu jeszcze wieczorem. Macalpine wyszedł z pokoju i ruszył do izby przyjęć. Jakiś lekarz rozmawiał tam z siedzącą przy biurku pielęgniarką. Miał szpakowate włosy, zmęczone oczy i twarz arystokraty.

- Czy to pan opiekuje się moją córką? - zapytał szef Coronado.

- Pan Macalpine? Tak, ja. Jestem doktor Chollet.

- Wygląda na to, że jest poważnie chora.

- Nie, panie Macalpine, niech pan się nie obawia. To wpływ środków znieczulających. Wie pan, na ból.

- Rozumiem. Jak długo pozostanie...

- Dwa tygodnie. Może trzy. Nie więcej.

- Jedno pytanie, doktorze Chollet. Dlaczego nie trzyma nogi na wyciągu?

- Odnoszę wrażenie, panie Macalpine, że pan nie obawia się prawdy?

- Dlaczego nie trzyma nogi na wyciągu?

- Wyciąg stosuje się przy złamaniach kości, panie Macalpine. Niestety, kostka lewej nogi pańskiej córki nie jest po prostu złamana, jest... jak wy to mówicie po angielsku?... zdruzgotana, tak, to chyba właściwe słowo, zdruzgotana, bez szans na wyleczenie. To, co zostało z kości, trzeba będzie zlepić.

- Czyli że nigdy więcej nie zegnije nogi w kostce? - powiedział milioner. Chollet pochylił głowę. - Trwałe kalectwo? Na całe życie?

- Może pan zasięgnąć dodatkowej porady, panie Macalpine. U najlepszego specjalisty ortopedy w Paryżu. Ma pan prawo...

- Nie. To niepotrzebne. Prawda jest oczywista, doktorze Chollet. Trzeba się godzić z faktami.

- Jest mi naprawdę przykro, panie Macalpine. To urocze dziecko. Ale ja jestem tylko chirurgiem. Cuda? Nie, nie ma cudów.

- Dziękuję, doktorze. Jest pan bardzo uprzejmy. Wrócę za jakieś... powiedzmy dwie godziny?

- Lepiej nie. Będzie spała co najmniej przez dwanaście godzin, może nawet szesnaście. Macalpine skinął głową i wyszedł.

\* \* \*

Dunnet odsunął talerz z nietkniętym jedzeniem, spojrzał na równie nietknięty talerz Macalpine'a, a potem na samego Macalpine'a, pogrążonego w zadumie.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli tacy twardzi, jak nam się zdawało, James - zagaił.

- Starość, Alexis. To zaskakuje każdego.

- Tak. I to, jak widać, zniecka. - Dunnet przysunął sobie talerz, przyjrzał mu się z żalem i znów go odstawił. - Cóż, sądzę, że w każdym razie lepsze to niż amputacja.

- Właśnie. O to chodzi. - Macalpine odsunął swoje krzesło. - Chyba się przejdę, Alexis.

- Na apetyt? Nie skutkuje. Przynajmniej w moim wypadku.

- W moim też nie. Ale pomyślałem, że warto sprawdzić, czy Jacobson znalazł coś ciekawego.

\* \* \*

Garaż był niezwykle długi, niski, silnie oświetlony zwisającymi z sufitu reflektorami i - jak na garaż - nadzwyczaj czysty i schludny. Dach przebijały liczne świetliki. Kiedy drzwi garażu otworzyły się ze zgrzytem, Jacobson stał w drugim końcu pomieszczenia, pochylony nad zrujnowanym coronado Harlowa. Wyprostował się, skwitował obecność Macalpine'a i Dunnet'a niedbałym machnięciem ręki i wrócił do oględzin samochodu. Dunnet zamknął drzwi.

- Gdzie reszta mechaników? - zapytał spokojnie.

- Powinieneś już wiedzieć, że Jacobson zawsze pracuje sam nad wozami po wypadkach - powiedział Macalpine. - Nasz Jacobson ma wyjątkowo kiepskie zdanie o innych mechanikach. Twierdzi, że albo przegapiają dowody, albo je zacierają przez nieudolność. Dwaj mężczyźni podeszli bliżej i w milczeniu przyglądali się, jak Jacobson zaciska złącze przewodu hamulców hydraulicznych. Ale nie byli oni jedynymi widzami. Dokładnie nad nimi, w otwartym świetliku, silne lampy garażu odbijały się na czymś metalicznym. Była to ośmiomilimetrowa kamera, trzymana w nadzwyczaj pewnych rękach. W rękach Johnny'ego Harlowa. Twarz kierowcy była równie kamienna jak jego ręce, zawzięta i zastygła, lecz zarazem czujna. Harlow był także zupełnie trzeźwy.

- I jak? - zapytał Macalpine. Jacobson wyprostował się i delikatnie pomasaował obolałe plecy.

- Nic. Kompletnie nic. Zawieszenie, hamulce, silnik, przekładnia, opony, układ kierowniczy... wszystko gra.

- Ale układ kierowniczy...

- Ścięty. W wyniku zderzenia, nic innego nie wchodzi w rachubę. Kiedy Harlow zajechał drogę Jethou, układ kierowniczy wciąż jeszcze był sprawny. Nie powie mi pan chyba, panie Macalpine, że wysiadł akurat w tej sekundzie. Przypadki przypadkami, ale to już by była przesada.

- A więc wciąż błądzimy po omacku? - spytał Dunnet.

- Ja nie. Dla mnie wszystko jest jasne jak słońce. Najstarsza przyczyna w tym fachu. Błąd kierowcy.

- Błąd kierowcy. - Dunnet potrząsnął głową. - Johnny Harlow nigdy w życiu nie popełnił błędu za kierownicą. Jacobson uśmiechnął się z jadem w oczach.

- Chciałbym usłyszeć, co duch Jethou ma na ten temat do powiedzenia.

- Tracimy tylko czas - przerwał im Macalpine. - Chodź, Jacobson, wracamy do hotelu. Nawet jeszcze nie jadłeś. - Spojrzał na Dunnet. - Szklaneczka na sen w barze, a potem zajrzemy do Johnny'ego.

- Szkoda zachodu - wtrącił Jacobson. - Będzie sztywny. Macalpine popatrzył na Jacobsona w zamyśleniu i po dłuższej chwili stwierdził powoli:

- On wciąż jest mistrzem świata. W Coronado wciąż jest kierowcą numer jeden.

- Więc tak się rzeczy mają?

- A chciałbyś, żeby było inaczej? Jacobson podszedł do zlewu i zaczął myć ręce. Nie odwracając się, rzucił:

- To pan jest szefem, panie Macalpine. Macalpine nie odpowiedział. Jacobson wytarł ręce i trzej mężczyźni w milczeniu wyszli z garażu, zamykając za sobą ciężkie metalowe drzwi. Tylko czubek głowy Harlowa i grzbiet jego dłoni wystawały znad szczytowej belki spadzistego dachu, kiedy obserwował trzech mężczyzn, wychodzących na jasno oświetloną ulicę. Gdy tylko skręcili za róg i zniknęli z widoku, zsunął się ostrożnie w dół, opuścił przez świetlik do środka garażu i wisiał przez chwilę na rękach, aż namacał stopami metalową poziomą belkę. Rozluźnił uchwyt na obramowaniu świetlika, ryzykownie zabalansował na belce, z zewnętrznej kieszeni wyciągnął małą latarkę - Jacobson zgasił światła przed wyjściem - i skierował ją w dół. Betonowa podłoga była trzy metry niżej. Harlow pochylił się, objął belkę rękami, opuścił się na wyciągniętych ramionach i rozluźnił uchwyt. Wylądował lekko i swobodnie, ruszył do drzwi, zapalił wszystkie światła i podszedł wprost do Coronado. Na ramieniu miał zawieszony dwa aparaty: ośmiomilimetrową kamerę i miniaturowy aparat fotograficzny z wbudowanym fleszem. Znalazł brudną szmatę i wytarł nią część prawego zawieszenia, przewód paliwa, drążki kierownicze i jeden z gaźników w komorze silnika. Korzystając z lampy błyskowej, każdą z tych części sfotografował kilkakrotnie. Znowu wziął szmatę,



umazał ją w mieszaninie oleju i kurzu z podłogi, szybko zasmarował sfotografowane części i wrzucił szmatę do metalowej puszki, przeznaczonej do tego celu. Podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę. Bezskutecznie. Drzwi były zamknięte od zewnątrz, a masywna konstrukcja wykluczała możliwość sforsowania ich na siłę - tym bardziej że pozostawienie śladów swojej wizyty było ostatnią rzeczą, o jakiej Harlow marzył. Rozejrzał się szybko po garażu. Z lewej strony zobaczył lekką drewnianą drabinę, zawieszoną na dwóch wystających ze ściany podpórkach - niewątpliwie używano jej do czyszczenia licznych szyb w świetlikach. Pod drabiną, w kącie garażu, leżał brudny zwój liny holowniczej. Harlow zdjął drabinę ze ściany, przywiązał linę do jej górnego szczebla i oparł drabinę o metalową belkę. Wrócił do drzwi i zgasił światło, po czym z zapaloną latarką w ręku wszedł na drabinę i usiadł okrakiem na belce. Trzymając oba końce liny, manewrował nimi z mozolem, aż wreszcie - nie bez trudności - udało mu się zawiesić drabinę na ścianie. Następnie odczepił linę, zwinął i rzucił w kąt, tam gdzie przedtem leżała. Chwiejąc się niebezpiecznie, stanął wyprostowany na belce, wysunął głowę i ramiona przez świetlik, podciągnął się i zniknął w ciemnościach nocy.

\* \* \*

Macalpine i Dunnet siedzieli samotnie przy stoliku w opustoszałym barze. Milczeli, kiedy barman stawiał przed nimi dwie szkockie. Po odejściu barmana Macalpine uniósł szklankę i uśmiechnął się niewesoło.

- I tak oto dobiega końca udany dzień. Boże, jaki jestem zmordowany.
- A więc podjąłeś decyzję, James. Harlow dalej startuje.
- Dzięki Jacobsonowi. Nie zostawił mi raczej wyboru, przyznasz?

\* \* \*

Harlow biegł jasno oświetloną ulicą, lecz nagle zatrzymał się gwałtownie. Ulica była całkiem wyludniona, jeśli nie liczyć dwóch wysokich mężczyzn, zmierzających w jego stronę. Zawahał się, rozejrzał szybko i wcisnął w głęboko cofniętą bramę sklepu. Stał tam bez ruchu, kiedy obaj mężczyźni go mijali. Byli to Nicolo Tracchia - jego kolega z zespołu - oraz Willi Neubauer, pogrążeni w cichej, lecz burzliwej rozmowie. Żaden z nich nie dostrzegł Harlowa. Poszli dalej. Harlow wynurzył się z wnęki, ostrożnie rozejrzał dookoła, poczekał, aż oddalające się plecy Tracchii i Neubauera znikną za rogiem i znowu puścił się biegiem.

\* \* \*

Macalpine i Dunnet opróżnili szklanki. Szef Coronado zerknął na Dunnet'a pytająco.

- Trudno - powiedział dziennikarz. - Kiedyś chyba musimy stawić mu czoła.
- Pewnie tak - przyznał Macalpine. Obaj mężczyźni wstali, skinęli głową barmanowi i wyszli.

\* \* \*

Harlow szybkim krokiem przeszedł przez jezdnię i ruszył w stronę jasnego neonu nad wejściem

do hotelu. Zamiast skorzystać z głównego wejścia, wszedł w boczną alejkę, skręcił na prawo i zaczął się wspinać po drabince przeciwpożarowej. Wdrapywał się pewnie jak górską kozica, po dwa stopnie naraz, ani na moment nie tracąc równowagi. Jego beznamiętna twarz nie wyrażała żadnych uczuć i tylko trzeźwe, spokojne oczy zdradzały, że myśli intensywnie. Była to twarz zdeteminowanego człowieka, który doskonale wie, co robi.

\* \* \*

Macalpine i Dunnet stali przed drzwiami pokoju numer czterysta dwanaście. Na twarzy Macalpine'a malowała się przedziwna mieszanina gniewu i z troskania, za to Dunnet wydawał się cudownie bez troski. Możliwe zresztą, że była to pozorna bez troska, jako że Dunnet zwykle skrywał pod płaszczkiem pozorów swoje prawdziwe uczucia. Macalpine bębnił głośno w drzwi. Bez skutku. Szef Coronado spojrział z furią na posiniaczone kostki, zerknął na Dunnet'a i ponowił atak na drzwi. Dziennikarz stał z kamienną twarzą, powstrzymując się od komentarza. Harlow dotarł tymczasem do platformy drabinki przeciwpożarowej na czwartym piętrze. Przeszedł przez barierkę, skoczył w stronę najbliższego otwartego okna, zdrów i cały przedostał się na parapet i wszedł do środka. Znalazł się w małym pokoju. Na podłodze leżała walizka, a jej zawartość wałała się bezładnie dookoła. Lampa na nocnym stoliku oświetlała swym mizernym światłem pomieszczenie i na wpół pustą butelkę whisky. Harlow zamknął okno przy akompaniamencie gwałtownego bębnienia i łomotania w drzwi. Gniewny głos Macalpine'a docierał głośno i wyraźnie.

- Otwieraj! Johnny! Otwieraj, bo wywalę te cholerne drzwi! Harlow schował aparat fotograficzny i kamerę pod łóżko, ściągnął czarną skórzaną kurtkę i czarny golf i wrzucił je w ślad za kamerą. Wypił szybko łyk whisky, skropił nią dłonie i przetarł twarz. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, ukazując wyciągniętą nogę Macalpine'a, którego pięta najwyraźniej weszła w kontakt z zamkiem. Macalpine i Dunnet wpadli do środka i stanęli jak wryci. Harlow, w koszuli, spodniach i butach, leżał rozwalony na łóżku, niczym pogrążony w śpiączce. Jego prawa ręka, zaciśnięta na szyjce butelki whisky, zwisała bezwładnie. Z niedowierzaniem na pochmurnej twarzy Macalpine zbliżył się do łóżka, pochylił nad Harlowem, z odrazą pociągnął nosem i wyjął butelkę z bezwładnej dłoni. Zerknął na Dunnet'a, który odwzajemnił jego beznamiętne spojrzenie.

- Największy kierowca świata - powiedział Macalpine.

- Widzisz, James, sam to mówiłeś. Oni wszyscy tak kończą? Pamiętasz? Prędzej czy później tak kończą wszyscy.

- Ale Johnny Harlow?

- Nawet Johnny Harlow. Macalpine pokiwał głową. Obaj mężczyźni odwrócili się i wyszli z pokoju, zamykając za sobą wyłamane drzwi. Harlow otworzył oczy, w zamyśleniu potarł brodę i powąchał grzbiet dłoni. Z niesmakiem zmarszczył nos.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 3

Mimo upływu pracowitych tygodni po wyścigu w Clermont-ferrand Johnny Harlow na pozór niewiele się zmienił. Zawsze skryty, zamknięty w sobie i samotny, dalej był skryty i zamknięty, tyle że jeszcze bardziej samotny. W swoich najlepszych dniach, u szczytu potęgi i sławy, był człowiekiem opanowanym do granic absurdu, o żelaznej samokontroli. Teraz też sprawiał takie wrażenie - jak zawsze pełen rezerwy, obojętny i oderwany. Jego nadzwyczajne oczy (nadzwyczajne z powodu fenomenalnego wzroku, a nie urody) były jak zawsze spokojne i nieporuszone, a orla twarz jak zawsze beznamiętna. Dłonie już mu teraz nie drżały, zdradzały człowieka, który osiągnął wewnętrzny spokój. Najprawdopodobniej jednak dłonie te kłamały i nie świadczyły o niczym, wyglądało bowiem na to, że Harlow spokoju wewnętrznego nie osiągnął i nigdy już nie osiągnie. Twierdząc, że od dnia, w którym zabił Jethou i okaleczył Mary, szczęście zaczęło stopniowo opuszczać Johnny'ego Harlowa, popełnilibyśmy fatalny błąd językowy. Nie opuściło go... raczej legło w gruzach i Johnny - a tym bardziej liczne grono jego znajomych, przyjaciół i wielbicieli - musiało zdawać sobie sprawę, że jest to ostatecznie, absolutnie nieodwracalne. Dwa tygodnie po śmierci Jethou - i to przed własną, brytyjską publicznością, która stawiała się niemal w komplecie, by osłodzić mu gorycz niewybrednych obelg i oskarżeń, jakich nie szczędziła mu francuska prasa, oraz by na własnym terenie zagrzewać swego idola do zwycięstwa - Johnny Harlow poznał smak zniewagi, czy wręcz poniżenia, wypadając z toru już na pierwszym okrążeniu. Nie wyrządził krzywdy ani sobie, ani nikomu z widzów, ale jego coronado trzeba było bez reszty spisać na straty. Wybuchły obie przednie opony, toteż przyjęto, że przynajmniej jedna z nich poszła, zanim samochód wyleciał z toru; zgodnie uznano, że nie ma innego wytłumaczenia dla jego niespodziewanej wycieczki w plener. Nie wszyscy jednak zgadzali się z taką opinią - jak można się było spodziewać, Jacobson prywatnie wyraził swoje zdanie, twierdząc, iż przyjęte wyjaśnienie było nad wyraz miłosierne. Głównemu mechanikowi coraz bardziej podobał się zwrot: „błąd kierowcy”. Dwa tygodnie później, podczas wyścigu o Grand Prix Niemiec - rozgrywanego na przypuszczalnie najtrudniejszym torze w Europie, którego jednak Harlow był uznanym mistrzem - atmosfera zwątpienia i przygnębienia, wisząca nad boksami Coronado niczym chmura gradowa, była tak widoczna, tak namacalna, że zdawało się, iż można ją dotknąć i odepchnąć... i pewnie można by, gdyby nie fakt, że ta akurat chmura nie zamierzała dać się odsunąć. Wyścig dobiegł końca i ostatnie samochody zniknęły z widoku, wykonując pożegnalne okrążenie przed powrotem do boksów. Przybity i rozgoryczony, Macalpine zerknął na Dunmeta, który spuścił oczy, zagryzł dolną wargę i potrząsnął głową. Macalpine odwrócił wzrok i zatopił się we własnych, prywatnych myślach. Tuż za nim, na płóciennym krzeselku, z dwiema kulami pod ręką i lewą nogą wciąż unieruchomioną w grubym gipsie, siedziała Mary. W jednej dłoni trzymała notes do zapisywania międzyczasów, w drugiej zaś stoper i ołówek, który gryzła nerwowo. Wyraz jej bladej twarzy wskazywał niedwuznacznie, że jest bliska łez. Za nią stał Jacobson, jego dwaj mechanicy i Rory. Twarz Jacobsona, pomijając zwykłe zaszepienie, była bez wyrazu. Twarze jego mechaników, rudych bliźniaków Rafferty, jak zwykle wyrażały to samo, w tym wypadku mieszaninę rezygnacji i rozpacz. Na twarzy Rory'ego malowała się wyłącznie zimna pogarda.

- Jedenasty z dwunastu, którzy dojechali do mety! - parsknął Rory. - To ci dopiero kierowca! Nasz mistrz świata wykonuje teraz pewnie rundę honorową. Jacobson przyjrzał mu się z namysłem.

- Zaledwie miesiąc temu był twoim idolem, Rory. Chłopiec zerknął na siostrę. Siedziała skulona, wciąż ogryzając ołówek. W jej oczach pojawiły się łzy. Rory spojrzął na Jacobsona i

odrzekł:

- To było miesiąc temu. Jasnozielone coronado wśliznęło się do boksów, wyhamowało i stanęło. Nicolò Tracchia zdjął hełm, wyciągnął wielką jedwabną chustkę, przetrął przystojną twarz i zaczął ściągać rękawice. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj zadowolonego z siebie, ale też miał do tego pełne prawo - na mecie zameldował się drugi, i to tylko o długość wozu za zwycięzcą. Macalpine podszedł do samochodu i poklepał siedzącego Tracchię po plecach.

- Jechałeś wspaniale, Nikki. Jak nigdy dotąd... i to na tak fatalnym torze. Po raz trzeci w ostatnich pięciu wyścigach zająłeś drugie miejsce. - Uśmiechnął się. - Wiesz, zaczynam myśleć, że będzie jeszcze z ciebie kierowca. Tracchia uśmiechnął się szeroko i wyskoczył z samochodu.

- Zobaczysz pan następnym razem. Do tej pory Nicolò Tracchia nie stawał do prawdziwej walki, próbował tylko wycisnąć coś z tych maszyn, które nasz główny mechanik demoluje w przerwach między startami. - Uśmiechnął się do Jacobsona, który zrewanżował się tym samym. Pomimo wyraźnej różnicy charakterów i zainteresowań, ci dwaj pasowali do siebie jak ulał. - Ale za dwa tygodnie na Grand Prix Austrii... hm, stać pana chyba na parę butelek szampana? Macalpine znów się uśmiechnął, a choć nie przyszło mu to łatwo, widać było, że to nie wina Tracchii. W przeciągu zaledwie jednego miesiąca Macalpine - choć trudno by go było jeszcze nazwać chudzielcem - wyraźnie zeszczuplał, tak na ciele, jak i na twarzy, a jego liczne zmarszczki jakby się pogłębiły. Nie trzeba też było specjalnie bujnej wyobraźni, by dostrzec nowe srebrne nitki w jego wspaniałych włosach. I choć trudno przypuszczać, żeby niełaska, która tak piorunująco spadła na jego supergwiazdę, mogła spowodować te drastyczne zmiany, to jednak równie ciężko było sobie wyobrazić inny powód.

- Nie zapominasz czasem, że na Grand Prix Austrii będzie też rodowity Austriak? - przypomniał Macalpine. - Niejaki Willi Neubauer. Może ci się obilo o uszy jego nazwisko? Tracchia nie przejął się.

- Nasz Willi może i jest Austriakiem, ale Grand Prix Austrii mu nie leży. W najlepszym razie bywał czwarty. Za to ja przez ostatnie dwa lata byłem tam drugi. - Obejrzał się, gdy drugie coronado wjechało do boksów, i znów zwrócił się do Macalpine'a: - A wie pan, kto wygrał oba te wyścigi.

- Tak, wiem. - Macalpine odwrócił się ciężko i podszedł do drugiego samochodu. Harlow tymczasem wysiadł, zdjął kask, spojrzał na swój wóz i potrząsnął głową.

- No, Johnny, nie można stale wygrywać. - Ani w głosie, ani na twarzy Macalpine'a nie było śladu goryczy, gniewu czy wyrzutu, jedynie zwykła rezygnacja i rozpacz.

- Na tym wozie na pewno nie - zgodził się Harlow.

- To znaczy...?

- Traci moc na wysokich obrotach. Podszedł do nich Jacobson. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, gdy usłyszał wyjaśnienie Harlowa.

- Od startu? - zapytał.

- Nie. To nie twoja wina, Jake. Cholerny świat, dziwna sprawa. Ciągnął raz tak, raz siak. Przynajmniej z dziesięć razy wracała pełna moc. Ale nie na długo. - Harlow odwrócił się i w zamyśleniu oglądał swój samochód. Jacobson zerknął na Macalpine'a, który ledwie dostrzegalnie skinął głową.

\* \* \*

Tego dnia o zmierzchu tor był już pusty - ostatni widzowie i personel zniknęli. Zamyślony Macalpine stał samotnie u wejścia do boksów Coronado, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie szarego gabardynowego garnituru. A jednak nie był tak samotny, jak miał prawo sądzić. W ciemnościach sąsiednich boksów Cagliari ukryła się postać odziana w czarny golf i czarną skórzaną kurtkę. Johnny Harlow opanował do perfekcji sztukę trwania w absolutnym bezruchu i w tym momencie korzystał z niej w całej pełni. Wyglądało jednak na to, że poza tymi dwiema postaciami na torze nie ma żywego ducha. Były za to dźwięki. Do boksów doleciał narastający ryk silnika i w oddali ukazało się coronado z zapalonymi światłami. Kierowca zredukował biegi, zwolnił mijając boksy Cagliari i zatrzymał się u wejścia do boksów Coronado. Jacobson wysiadł z wozu i zdjął kask.

- I jak? - rzucił Macalpine.

- Z tym defektem to jedna wielka lipa. - Głos mechanika był naturalny, lecz jego oczy zimne. - Leciał jak ptak. Nasz Johnny niewątpliwie ma bujną wyobraźnię. To już coś więcej niż tylko błąd kierowcy, panie Macalpine. Macalpine zawahał się. To, że Jacobson w doskonałym czasie zrobił jedno okrążenie, niczego jeszcze nie dowodziło. Siłą rzeczy nie był w stanie prowadzić coronado z prędkością choćby zbliżoną do szybkości osiąganym przez Harlowa. Poza tym defekt mógł się ujawnić dopiero wtedy, gdy silnik rozgrzał się do maksimum, a było wysoce nieprawdopodobne, żeby Jacobson mógł go tak rozgrzać na jednym okrążeniu. I wreszcie, te mocno podrasowane silniki wyścigowe, których cena dochodziła do ośmiu tysięcy funtów, były tworam nadzwyczaj kapryśnymi, które znakomicie potrafiły ujawniać i maskować swoje wady bez najmniejszej ingerencji człowieka. Jacobson naturalnie wziął milczenie Macalpine'a za przejaw zwątpienia lub nawet wyraźnej zgody.

- Może jednak zaczyna się pan wreszcie ze mną zgadzać, panie Macalpine? - powiedział. Milioner ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Zostaw samochód tutaj - polecił. - Przyślemy Henry'ego z chłopakami, to go zabiorą transporterem. Chodź, wracamy na obiad. Zasłużyliśmy na to. I na coś mocniejszego. Na to też zasłużyliśmy. Na dobrą sprawę, przez całe życie nie zasłużyłem sobie na parę głębszych tak, jak w ciągu ostatnich czterech tygodni.

- Trudno mi się z panem nie zgodzić, panie Macalpine. Niebieski aston martin Macalpine'a stał zaparkowany na tyłach boksów. Obaj mężczyźni wsiedli do niego i odjechali. Harlow spoglądał za oddalającym się samochodem. Jeżeli nawet przejął się wnioskami, do jakich doszedł Jacobson, lub tym, że Macalpine na pozór zgadzał się z mechanikiem, to nie było tego widać po jego spokojnej twarzy. Poczekał, aż samochód zniknie w narastających ciemnościach, rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, i wszedł w głąb boksów Cagliari. Otworzył płócienną torbę,

którą miał ze sobą, wyciągnął wielką latarkę o płaskiej podstawie, młotek, dłuto oraz śrubokręt, i położył je na najbliższej skrzyni. Nacisnął wyłącznik na obudowie reflektora i silne białe światło zalało wnętrze boksów. Przesunął dźwignię u podstawy latarki i natychmiast miejsce białego blasku zajęło przytłumione, czerwone światło. Harlow chwycił młotek i dłuto i energicznie zabrał się do pracy. Do większości skrzyń i pudeł nie musiał się nawet włamywać, jako że egzotyczna kolekcja znajdujących się w nich części zamiennych do silnika i podwozia przypuszczalnie nie zainteresowałaby przypadkowego złodzieja: zapewne nie wiedziałby, czego szukać, a gdyby nawet - co było wysoce nieprawdopodobne - to na pewno nie udałoby mu się upłynnić tych części. Harlow musiał otworzyć na siłę jedynie kilka skrzyń, lecz wykonał to ostrożnie, delikatnie, starając się robić jak najmniej hałasu. Skracał poszukiwania do niezbędnego minimum, pewnie dlatego, że niepotrzebna zwłoka zwiększa tylko ryzyko wpadki. Sprawiał wrażenie człowieka, który doskonale wie, czego szuka. Zawartość kilku pudeł obrzucił jedynie pobieżnym spojrzeniem, ale nawet zbadanie największej skrzyni zajęło mu więcej niż minutę. Niecałe pół godziny od rozpoczęcia operacji zabrał się za zamykanie skrzyń. Te, których wieka musiał przedtem wyłamać, zamknął za pomocą młotka owiniętego materiałem, by do minimum zmniejszyć hałas i zostawić jak najmniej śladów swojej wizyty. Gdy skończył, schował narzędzia i latarkę do płóciennej torby, wyszedł z boksów i zniknął w ciemnościach. Jeżeli czuł się rozczarowany wynikami inspekcji, to nie było tego po nim widać - ale też on rzadko kiedy okazywał wzruszenie.

\* \* \*

Czternaście dni później Nicolo Tracchia spełnił obietnicę złożoną Macalpine'owi, a zarazem swoje życiowe marzenie - wygrał Grand Prix Austrii. Harlow, jak można się było spodziewać, nic nie zwojował. Co gorsza, nie dość, że nie ukończył wyścigu, to na dobrą sprawę prawie go nie zaczął, jako że przejechał zaledwie o cztery okrążenia więcej niż w Anglii... a tam miał kraksę już na pierwszym. Rozpoczął wyścig wcale nieźle. Wystartował znakomicie, nawet jak na swoje możliwości, i z powodzeniem prowadził przez pięć okrążeń, ze znaczną przewagą nad rywalami. Na szóstym zjechał jednak do boksów. Wsiadając z samochodu wyglądał całkiem normalnie - nie było po nim widać ani śladu strachu czy choćby zimnego potu. A jednak zaciśnięte w pięści dłonie wepchnął głęboko w kieszenie kurtki - w ten sposób nie można poznać, czy komuś trzęsą się ręce, czy nie. Na chwilę wyciągnął z kieszeni jedną rękę, by odprawić ludzi z ekipy, którzy - z wyjątkiem wciąż przykutej do krzesła Mary - rzucili się w jego stronę.

- Spokojnie. - Potrząsnął głową. - Nie spieszy się. Czwarty bieg nawalił. - Ponuro spoglądał na tor. Macalpine przyjrzał mu się uważnie i zerknął na Dunneta, który skinął głową, choć na pozór nie zauważył nawet spojrzenia milionera. Dziennikarz wpatrywał się w zaciśnięte pięści Harlowa.

- Zdejmiemy Nikkiego. Możesz wziąć jego wóz - powiedział Macalpine. Harlow nie odpowiedział od razu. Skinął głową w kierunku toru, słysząc narastający ryk silnika. Inni poszli za jego wzrokiem. Przed boksami mignęło jasnozielone coronado, lecz Harlow dalej patrzył na tor. Minęło co najmniej piętnaście sekund, zanim pojawił się następny samochód - granatowe cagliari Neubauera. Harlow odwrócił się i spojrzał na Macalpine'a. Na jego zazwyczaj kamiennej twarzy malowało się teraz jawne niedowierzanie.

- Zdjąć go? Na miłość boską, Mac, czyś ty zwariował? Teraz, kiedy ja już odpadłem, Nikki ma piętnaście sekund do przodu. Nie ma siły, żeby przegrał. Nasz signor Tracchia nigdy by mi - a raczej

tobie - nie wybaczył, gdybyś go teraz zdjął. To będzie jego pierwsze Grand Prix... w dodatku to, które najbardziej chciał zdobyć. Odwrócił się i odszedł, jak gdyby sprawa została zamknięta. Mary i Rory spoglądali za nim - ona z niemym żalem w oczach, on z mieszaniną triumfu i pogardy, której nawet nie próbował ukryć. Macalpine zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, lecz w końcu także odwrócił się i odszedł, tyle że w przeciwną stronę. Dunnet ruszył za nim. Obaj przystanęli w kącie boksów.

- I co? - rzucił Macalpine.

- Co „co”? - spytał Dunnet.

- Daj spokój, proszę.

- Chodzi ci o to, czy widziałem to samo, co ty? Jego ręce?

- Znow mu się trzęsą. - Macalpine zamilkł na chwilę, a potem westchnął i potrząsnął głową. - Stale to powtarzam. Tak kończą wszyscy. Nieważne, jak zimni, odważni czy utalentowani... szlag by to trafił, mówiłem to już ze sto razy. A u ludzi o tak lodowatym spokoju i żelaznej dyscyplinie jak Harlow... cóż, jak już nadchodzi załamanie, to na całej linii.

- A kiedy to załamanie nastąpi?

- Myślę, że raczej szybko. Dam mu jeszcze jedno Grand Prix. Wiesz, co on teraz zrobi? A raczej później, wieczorem... nieźle się w tym wycwanił.

- Wolałbym nie wiedzieć.

- Strzeli sobie kielicha.

- On już sobie strzelił - odezwał się za nimi czyjś głos o silnym szkockim akcencie. Macalpine i Dunnet odwrócili się powoli. Z mroku budki za ich plecami wychynał mały człowieczek o niewiarygodnie pomarszczonej twarzy, którego rzadkie białe wąsy dziwnie kontrastowały z mniszą łysiną. Jeszcze dziwniejsze było długie, cienkie, niebywale pogniecione czarne cygaro, zwisające z kącika jego kompletnie bezzębnych ust. Człowieczek ten nazywał się Henry i był kierowcą transportera - choć wiek emerytalny miał już dawno za sobą - a cygaro było jego znakiem firmowym. Mówiono o nim, że zdarzało mu się jeść z cygarem w ustach.

- Podśluchiwałeś, co? - powiedział sucho Macalpine.

- Podśluchiwałem! - Trudno orzec, czy ton i wyraz twarzy Henry'ego wyrażały oburzenie czy niedowierzanie, w każdym bądź razie uczucia prezentował na skalę olimpijską. - Wie pan doskonale, Żanie Macalpine, że ja nigdy nie podśluchuję. Tak sobie tylko słuchałem. To chyba różnica, prawda?

- Coś ty przed chwilą powiedział?

- Dobrze wiem, że pan słyszał, co powiedziałem. - Henry nadal był wspaniale niewzruszony. - Wie pan, że on jeździ jak wariat i że inni kierowcy zaczynają się go bać. Na dobrą sprawę, oni już

się go boją. Nie można go więcej wypuścić na tor. Facet jest postrzelony, chyba pan widzi. A w Glasgow, jak mówimy, że ktoś jest postrzelony, to...

- Wiemy, co chcesz powiedzieć - przerwał mu Dunnet. - Myślałem, Henry, że jesteś jego przyjacielem?

- A tak, jestem, jak najbardziej. Najwspanialszy dżentelmen, jakiego znam, z przeproszeniem panów. Właśnie dlatego, że jestem jego przyjacielem, nie chcę, żeby się zabił... albo żeby go posadzili za zabójstwo.

- Pilnuj swojego nosa, Henry, i prowadź transporter - powiedział Macalpine bez cienia niechęci w głosie. - A prowadzenie zespołu Coronado zostaw mnie. Henry skinął głową i odszedł z powagą na twarzy. Szedł sztywno, jak gdyby chciał pokazać, że spełnił swój obowiązek, przekazał czarnoksiężskie proroctwo, a jeżeli jego ostrzeżenie zostanie zbagatelizowane, to nie on, Henry, będzie ponosił konsekwencje. Macalpine, z równie poważną twarzą, potarł w zamyśleniu policzki i stwierdził:

- A jednak Henry może mieć rację. Na dobrą sprawę, mam wszelkie powody, żeby uważać, że Harlow jest...

- Jaki?

- Jest na równi pochyłej. Na mieliźnie. Postrzelony, jakby powiedział Henry.

- Postrzelony przez kogo? Przez co?

- Przez niejakiego Bacchusa, Alexis. To taki jeden, który woli strzelać trunkiem niż kulami.

- Masz na to dowody?

- Nie tyle mam dowody na to, że pije, co brak dowodów, że nie pije. Na jedno wychodzi.

- Przepraszam, James, ale nie całkiem kojarzę. Czyżbyś coś przede mną ukrywał? Macalpine skinął głową i opowiedział mu pokrótce o swoich dwulicowych poczynaniach. Od dnia, w którym zginął Jethou, a Harlow dowiódł braku doświadczenia tak w nalewaniu brandy, jak w jej picciu, Macalpine zaczął podejrzewać, że Harlow wyrzekł się hołdowanej przez całe życie abstynencji. Oczywiście, żadne spektakularne libacje nie miały miejsca, to bowiem automatycznie spowodowałoby natychmiastowe wyrzucenie go z torów - jako geniusz w unikaniu towarzystwa, Harlow zabrał się do tego spokojnie, sumiennie, wytrwale i ponad wszystko dyskretnie, zawsze pijąc samotnie, zazwyczaj w ustronnych i odległych miejscach, co zmniejszało lub wręcz przekreślało szanse złapania go na gorącym uczynku. Macalpine wiedział o tym, ponieważ wynajął detektywa, którego zadaniem było śledzenie Harlowa praktycznie przez okrągłą dobę, jednak Harlow albo miał wyjątkowe szczęście, albo też wiedząc, co się dzieje - nie zbywało mu na inteligencji, musiał więc podejrzewać, że jest śledzony - ujawnił swą wyjątkową przebiegłość i wprawę w wymykaniu się spod obserwacji. W rezultacie zaledwie trzy razy udało się dotrzeć za nim do źródła jego dostaw: małych „Weinstuben”, zagubionych w lasach otaczających tory w Hockenheim i Nurburgring. Ale



nawet w tych przypadkach zaobserwowano jedynie, że niespiesznie i z godnym podziwu umiarem sączył małą lampkę wina reńskiego, która nie mogła zaważyć nawet na krańcowo wyostrzonych zdolnościach i reakcjach kierowcy Formuły I; wszystko to razem wzięte było tym dziwniejsze, że Harlow wyjeżdżał zawsze swoim jaskrawoczerwonym ferrari - najbardziej wpadającym w oko samochodem na drogach Europy. W tych okolicznościach Macalpine uznał, że te nadzwyczajne - i nadzwyczaj skuteczne - wyniki kierowcy w gubieniu „cieni” są dowodem na to, że jego częste, tajemnicze i niewyjaśnione wypadki mają związek z równie częstymi, samotnymi bibkami. Macalpine zakończył relację stwierdzeniem, że do tego wszystkiego doszedł ostatnio jeszcze bardziej złowieszczy fakt - od jakiegoś czasu dzień w dzień ma niezbity dowód wyraźnej skłonności Harlowa do whisky. Dunnet milczał, dopóki nie zorientował się, że Macalpine najwyraźniej nic więcej nie zamierza powiedzieć.

- Dowód? - zapytał. - Jaki dowód?

- Zapach. Dunnet zamilkł na moment.

- Ja nigdy nic nie poczułem - stwierdził po chwili.

- Tylko dlatego, Alexis, że ty kompletnie nie masz węchu - powiedział Macalpine łagodnie.

- Nie czujesz zapachu oleju, nie czujesz paliwa, nie czujesz nawet swądu płonących opon. Jak wobec tego chcesz poczuć zapach whisky? Dunnet przyznał mu rację skinieniem głowy.

- A ty coś poczułeś? - zapytał. Macalpine zaprzeczył.

- A więc?

- On mnie ostatnio unika jak zarazy, a wiesz, jak blisko się zawsze trzymaliśmy - wyjaśnił Macalpine. - Teraz, jeśli już się do mnie zbliża, to pachnie silnie miętówkami. Nic ci to nie mówi?

- Daj spokój, James. To nie jest żaden dowód.

- Być może. Ale Tracchia, Jacobson i Rory zaklinają się, że tak jest.

- Och, stary, i to mają być bezstronni świadkowie? Jeżeli Johnny będzie zmuszony odejść, to kto zostanie w Coronado kierowcą numer jeden, z poważnymi widokami na zdobycie mistrzostwa świata? Kto, jeśli nie nasz Nikki? Jacobson i Johnny nigdy nie żyli na dobrej stopie, a teraz ich stosunki są jeszcze gorsze... Jacobson nie lubi, jak mu się rozbija samochody, a jeszcze mniej podoba mu się to, że Harlow nie poczuwa się do winy, co stawia pod znakiem zapytania kwalifikacje Jacobsona. Natomiast co do Rory'ego... cóż, szczerze mówiąc, nienawidzi Johnny'ego do szpiku kości, częściowo za to, co zrobił Mary, a częściowo dlatego, że ten wypadek, w najmniejszym stopniu nie zmienił jej stosunku do niego. Obawiam się, James, że twoja córka jest ostatnią osobą w ekipie, która nadal jest całkowicie oddana Johnny'emu Harlowowi.

- Tak, wiem. - Macalpine zamilkł na moment, po czym wyznał drewnianym głosem: - Mary pierwsza mi to powiedziała.

- O Jezu! - Dunnet z przygnębieniem wyrzwał na tor i nie patrząc na Macalpine'a stwierdził: - Nie masz teraz wyboru. Musisz go wyłąć. Najlepiej jeszcze dziś.

- Zapominasz, Alexis, że ty dopiero co się o tym dowiedziałeś, podczas gdy ja wiem o tym już od dawna. Podjąłem decyzję. Jeszcze jedno Grand Prix.

\* \* \*

W zapadającym zmroku parking wyglądał jak miejsce ostatniego spoczynku monstrów z minionej ery. Olbrzymie transportery, którymi przewożono samochody wyścigowe, części zamienne i przenośne warsztaty, majaczyły groźnie w półmroku, zaparkowane bez składu i ładu. Ze zgaszonymi światłami były kompletnie pozbawione wszelkich oznak życia, podobnie jak i całe otoczenie... jeżeli nie liczyć postaci, która wynurzyła się z mroku i weszła przez bramę na parking. Johnny Harlow najwyraźniej nie zamierzał ukrywać się przed wzrokiem przypadkowego obserwatora, gdyby się tam taki znalazł. Wymachując płócienną torbą, przeszedł przez parking i zatrzymał się przy jednym z olbrzymich pojazdów. Na bokach i z tyłu ciężarówki widniał wielki napis: „Ferrari”. Nie tracąc czasu na sięganie do klamki, Harlow wyciągnął wielki pęk dziwacznych wytrychów i otworzył drzwi transportera w kilka sekund. Wszedł do środka, przekręcając za sobą klucz. Przez dobre pięć minut spacerował od okna do okna po obu stronach wozu, cierpliwie sprawdzając, czy ktoś nie zwrócił uwagi na jego bezprawne wtargnięcie do ciężarówki. Wyglądało na to, że nikt go nie zauważył. Usatysfakcjonowany, Harlow wyciągnął z torby latarkę, zapalił czerwone światełko, pochylił się nad najbliższym samochodem ferrari i zaczął drobiazgowo oględziny.

\* \* \*

Wieczorem w hallu hotelowym zebrało się ze trzydzieści osób, wśród nich Mary Macalpine z bratem, Henry oraz dwaj rudzi bliźniacy Rafferty. Natężenie rozmów było wyraźnie odczuwalne - w hotelu zatrzymało się na weekend kilka ekip wyścigowych, a brać samochodziarska nie słynie z powściągliwości i umiaru. Całe towarzystwo - składające się głównie z kierowców oraz z kilku mechaników - przebrało się z roboczych kombinezonów w ubrania stosowne do kolacji, do której brakowało jeszcze godziny. Szczególnie rzucał się w oczy Henry, w szarym garniturze w prążki i z czerwoną różą w butonierce. Wydawało się nawet, że doprowadził do ładu wąsy. Obok niego siedziała Mary, a nieco dalej Rory, który czytał jakieś czasopismo, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Mary siedziała w milczeniu, z pochmurną twarzą, nieustannie ściskając i kręcąc jedną z kul, do których była teraz przypisana. Nagle zwróciła się do Henry'ego:

- Dokąd Johnny wychodzi co wieczór? Ostatnio po obiedzie prawie go nie widzimy.

- Johnny? - Henry poprawił kwiat w butonierce. - Nie mam pojęcia, panienko. Może woli własne towarzystwo. A może woli jadać gdzie indziej. Różnie może być. Rory wciąż siedział z czasopismem przed sobą, najwyraźniej jednak nie czytał, gdyż jego oczy nie przesuwwały się ani o jotę. Widać było, że cały zamienił się w słuch.

- A może to nie tylko jedzenie bardziej mu odpowiada gdzie indziej? - podsunęła Mary.

- Dziewczyny, panienko? Johnny Harlow nie interesuje się dziewczynami. - Henry łypnął na

nią, co w jego przekonaniu miało pewnie wypaść łośbuzersko w zestawieniu ze światowym przepychem wieczorowego garnituru. - Z wyjątkiem... sama pani wie której.

- Nie udawaj głupiego! - Mary Macalpine nie zawsze była potulna jak owieczka. - Wiesz, o co mi chodzi.

- A o co panience chodzi?

- Nie zgrywaj przede mną cwaniaka, Henry! Henry przybrał zasmucony wyraz twarzy człowieka, którego wszyscy mylnie osądzają.

- Nie jestem aż taki cwany, żeby zgrywać cwaniaka przed innymi. Mary popatrzyła na niego zimnym, badawczym wzrokiem i odwróciła się gwałtownie. Równie szybko odwrócił się Rory. Sprawiał wrażenie głęboko zamyślonego, a uczucia przebijające przez jego zadumę trudno byłoby określić jako przyjemne.

\* \* \*

Harlow, korzystając tylko z przytłumionego czerwonego światelka, zajrzał w czeluść skrzyni z częściami zapasowymi. Nagle wyprostował się, przekręcił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, zgasił latarkę, podszedł do bocznego okna i wyrztał. Wieczorny mrok gęstniał, była już właściwie czarna noc, lecz żółtawy rogal księżyca, przesuwający się za postrzępionymi chmurami, rzucał co nieco światła. Dwaj ludzie szli przez parking transporterów, kierując się wprost do części zajętej przez ciężarówkę Coronado, oddalonej nie więcej niż siedem metrów od miejsca, w którym stał Harlow. Johnny bez trudu rozpoznał Macalpine'a i Jacobsona. Podszedł do drzwi transportera Ferrari i ostrożnie uchylił je na tyle, by mieć widok na drzwi transportera Coronado. Macalpine wkładał właśnie klucz do zamka.

- A więc nie ma wątpliwości - mówił. - Harlow nie zmyślał. Czwarty bieg nawalił.

- Kompletnie.

- Więc może on jest jednak czysty? - W głosie Macalpine'a zabrzmiała niemal błagalna nuta.

- Różnie to mogło być z tymi biegami. - W tonie Jacobsona trudno byłoby się doszukać potwierdzenia.

- No właśnie, ano właśnie. No już, rzućmy okiem na tę przeklętą skrzynię. Obaj mężczyźni weszli do środka i zapalili światło. Harlow, o dziwo niemal uśmiechnięty, pokiwał powoli głową, delikatnie zamknął drzwi na klucz i wrócił do inspekcji transportera. Działał równie przezornie, jak w boksach Cagliari, w razie konieczności wyważając wieka skrzyń i pudeł na siłę, ale na tyle delikatnie, by móc je potem zamknąć bez pozostawienia śladów. Pracował szybko, w skupieniu, przerywając tylko raz, gdy usłyszał dochodzące z zewnątrz dźwięki. Sprawdził źródło hałasu i ujrzał Macalpine'a i Jacobsona, schodzących po stopniach transportera Coronado i oddalających się przez opustoszały plac. Po chwili wrócił do pracy.

\* \* \*



## ROZDZIAŁ 4

Kiedy Harlow dotarł w końcu do hotelu, w hallu, spełniającym także funkcję baru, nie było już ani jednego wolnego miejsca, a przy ladzie tłoczyło się kilkunastu mężczyzn. Macalpine i Jacobson siedzieli przy jednym stole z Dunnetem. Mary, Henry i Rory nadal tkwili w fotelach. W chwili, gdy Harlow zamykał za sobą drzwi wejściowe, rozległ się gong wzywający na obiad - był to ten typ małego wiejskiego hoteliku, celowo zresztą tak pomyślany, w którym wszyscy jadali albo o tej samej porze, albo wcale. Ułatwiało to życie kierownictwu i pracownikom hotelu, tyle że kosztem gości. Goście akurat wstawali z miejsc, gdy Harlow przechodził przez hall ku schodom. Nikt nie pomachał mu na powitanie, mało kto nawet spojrzał na niego. Macalpine, Dunnet i Jacobson zignorowali go całkowicie. Rory łypał spode łba z jawną pogardą. Mary zerknęła na niego, zagryzła wargę i odwróciła się szybko. Dwa miesiące temu Johnny Harlow straciłby pięć minut, zanim udałoby mu się dotrzeć do schodów, tym razem jednak zabrało mu to niecałe dziesięć sekund. Jeżeli nawet czuł się rozczarowany doznaniem przyjęciem, to skutecznie ukrył konsternację. Jego twarz była nieprzenikniona, niczym twarz drewnianej figurki Indianina. W pokoju umył się pobieżnie, przyczesał włosy, podszedł do szafy i z najwyższej półki zdjął butelkę whisky. Wszedł do łazienki, łyknął nieco alkoholu i przepłukał nim usta. Skrzywił się i splunął z niesmakiem. Szklanekę z prawie nietkniętą zawartością zostawił na brzegu umywalki, schował butelkę do szafy i zszedł do jadalni. Dotarł tam ostatni. Ktoś całkiem obcy zwróciłby na siebie większą uwagę niż on. Harlow przestał być kimś, z kim należało się pokazywać. Prawie cała jadalnia była zajęta. Przeważały w niej stoły czteroosobowe, choć stało tam też kilka dwuosobowych. Tylko przy trzech z czteroosobowych stołów były wolne miejsca. Przy dwuosobowych jedynie Henry siedział sam. Usta Harlowa drgnęły, być może mimowolnie, w każdym razie tak szybko, że raczej można sobie to było wyobrazić niż zobaczyć. Johnny bez wahania przeszedł przez jadalnię i usiadł przy stoliku Henry'ego.

- Można, Henry? - zapytał.

- Naturalnie, panie Harlow - odparł Henry niczym chodząca serdeczność i równie serdeczny pozostał przez cały posiłek, bez przerwy gadając i co chwila przeskakując z tematu na temat. Harlow stwierdził, że pomimo usilnych starań nie potrafi zainteresować się wywodami ograniczonego staruszka, i że z największym trudem udaje mu się dorzucić coś od siebie do steku jego komunałów. Co gorsza, zmuszony był wysłuchiwać spostrzeżeń Henry'ego z odległości mniej więcej piętnastu centymetrów, co było wątpliwym przeżyciem estetycznym, jako że nawet z odległości kilku metrów, mimo najlepszych chęci, nie sposób było uznać Henry'ego za osobę fotogeniczną. Zdawało się jednak, że Henry uważa tak bliski kontakt za konieczność, a zważywszy na okoliczności, Harlow nie mógł się z tym nie zgodzić. Panujące w jadalni milczenie przypominało nabożną, kościelną ciszę, której nie usprawiedliwiały bynajmniej rozkosze podniebienia, jakoś kolacji wyrobiłaby bowiem Austriakom wśród mistrzów sztuki kulinarnej jak najgorszą opinię. Dla Harlowa, jak zresztą dla wszystkich na sali, było oczywiste, że to jego obecność stanowi czynnik niemal zupełnie hamujący normalne rozmowy. Henry uznał zatem, iż roztropnie będzie ściszyć głos do grobowego szeptu, nie wykraczającego poza granice ich stołu, co z kolei wymagało tak bliskiego kontaktu. Kiedy kolacja dobiegła końca, Johnny poczuł niewypowiedzianą ulgę - Henry miał w dodatku nieprzyjemny oddech. Harlow wstał jako jeden z ostatnich. Przez chwilę krążył bez celu po znów zatłoczonym hallu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przystanął, wyraźnie niezdecydowany, rozglądając się dookoła. W pobliżu dostrzegł Mary i Rory'ego, a po drugiej stronie sali Macalpine'a, pogrążonego w na pozór

przypadkowej rozmowie z Henrym.

- I jak? - spytał Macalpine. Henry przybrał obłudny wyraz twarzy.

- Śmierdział jak gorzelnia. Macalpine uśmiechnął się lekko.

- Jesteś z Glasgow, więc powinieneś coś o tym wiedzieć. Dobra robota, Henry. Jestem ci winien przeprosiny. Henry pochylił głowę.

- Przyjęte, panie Macalpine. Harlow odwrócił wzrok od tej scenki. Nie słyszał ani słowa z rozmowy, ale nie musiał. Ni stąd, ni zowąd, jak człowiek, który podjął nagłą decyzję, skierował się do wyjścia. Mary zobaczyła, jak wychodzi, rozejrzała się, czy nikt jej nie obserwuje, najwidoczniej doszła do wniosku, że nie, i wspierając się na kulach, pokuśtykała za nim. Z kolei Rory odczekał z dziesięć sekund po wyjściu siostry i pozornie bez celu ruszył do drzwi. Pięć minut później Harlow wszedł do kawiarni i usiadł przy wolnym stoliku, skąd miał widok na drzwi. Podeszła do niego młoda, ładna kelnerka, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się uroczo. W Europie niewielu młodych ludzi obojga płci nie potrafiłoby rozpoznać Harlowa na pierwszy rzut oka. Harlow też się uśmiechnął.

- Proszę tonik z wodą. Otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Słucham...?

- Tonik z wodą. Kelnerka, która w mgnieniu oka zrewidowała swoją opinię o mistrzach świata kierownicy, przyniosła napój. Harlow popijał z przerwami, spoglądając na drzwi wejściowe. Zmarszczył brwi, gdy do kawiarni weszła wyraźnie wylękniona Mary. Natychmiast dostrzegła Harlowa, pokuśtykała ku niemu i usiadła przy jego stoliku.

- Witaj, Johnny - powiedziała głosem kogoś, kto nie jest pewny, jakiego dozna przyjęcia.

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się kogo innego.

- Co?

- Spodziewałem się kogo innego.

- Nie rozumiem... Kogo...

- Nieważne - burknął. Jego ton był równie szorstki, jak słowa.

- Kto cię tu wysłał na przeszpiegi?

- Na przeszpiegi? Szpiegować cię? - Patrzyła na niego, ale na jej twarzy nie malowało się niedowierzanie; widać było, że nic z tego nie rozumie. - O cóż ci chodzi? Harlow był nieprzejednany.

- Wiesz chyba, co znaczy słowo „szpiegować”?

- Och, Johnny! - W jej wielkich brązowych oczach odbijała się ta sama uraza, co w głosie. - Wiesz, że ja nigdy bym cię nie szpiegowała.

- Więc skąd się tu wzięłaś? - zapytał Harlow nieco łagodniejszym tonem.

- Nie cieszysz się, że przyszedłam?

- To nie ma nic do rzeczy. Co tu robisz?

- Ja... ja tylko przechodziłam i...

- I zobaczyłaś mnie, i weszłaś. - Gwałtownie odsunął krzesło i powstał. - Zaczekaj tu. Podeszedł do drzwi wejściowych, zerknął na nie i wyszedł na zewnątrz. Odwrócił głowę i przez kilka sekund spoglądał w kierunku, z którego przyszedł, a potem w przeciwną stronę. Jednak prawdziwym obiektem jego zainteresowania były drzwi dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Stała w nich jakaś postać, głęboko wsunięta we wnękę. Na pozór jej nie dostrzegając, Harlow wrócił do kawiarni, zamknął za sobą drzwi i usiadł przy stoliku.

- Niezła rzecz, taki rentgen w oczach - powiedział. - Całe okna zaparowane, a ty mnie zobaczyłaś siedzącego w środku.

- No dobrze, Johnny. - W głosie jej zabrzmiało znużenie.

- Szłam za tobą. Martwię się. Strasznie się martwię.

- Kto się nie martwi? Powinnaś mnie czasem zobaczyć na torze. - Zamilkł na chwilę, po czym spytał na pozór bez związku: - Czy kiedy wychodziłaś, Rory był w hotelu? Zamrugła ze zdziwieniem.

- Tak, był tam. Widziałam go tuż przed wyjściem.

- A on ciebie widział?

- Śmieszne pytanie.

- Bo jestem śmieszny facet. Spytaj pierwszego lepszego na torach. Widział cię?

- No... tak. Chyba tak. Dlaczego... dlaczego interesujesz się Rorym?

- Nie chciałbym, żeby mały za granicą sam wychodził po nocy i się przeziębził... albo dostał po głowie. - Harlow przerwał, zastanawiając się nad tym, co powiedział. - Chociaż to wcale niezły pomysł.

- Och, przestań, Johnny! Przestań! Wiem, wiem, że on cię nie znosi, nie odzywa się do ciebie, odkąd... odkąd...

- Odkąd cię okaleczyłem.

- O Boże jedyny! - Jej zrozpaczona twarz nie kłamała. - Rory jest moim bratem, Johnny, ale on to nie ja. Co ja mogę na to poradzić, skoro... słuchaj, on czuje do ciebie urazę, ale czy nie możesz mu tego zapomnieć? Jesteś najbardziej uprzejmym człowiekiem pod słońcem, Johnny...

- Uprzejmość nie popłaca, Mary.

- Ale i tak jesteś taki. Wiem o tym. Nie możesz mu tego zapomnieć? Nie możesz mu wybaczyć? Jesteś na to dość wielki, więcej niż wielki. A on to przecież jeszcze chłopiec. Ty jesteś mężczyzną. W czym on ci może zagrażać? Jaką krzywdę może ci wyrządzić?

- Powinnaś zobaczyć, jaką krzywdę może wyrządzić dziesięciolatek w Wietnamie, jeśli dostanie do rąk karabin. Odsunęła krzesło. Łzy w jej oczach kontrastowały z bezbarwnym głosem.

- Wybacz mi, proszę - powiedziała. - Nie powinnam ci była przeszkadzać. Dobranoc, Johnny. Delikatnie położył dłoń na jej nadgarstku. Nie starała się oswobodzić ręki, siedziała jedynie ze zmartwiałą, zrozpaczoną twarzą.

- Nie odchódź - powiedział. - Chciałem się tylko upewnić.

- Że co?

- Teraz to już bez znaczenia. Zapomnijmy o Rorym. Pomówmy lepiej o tobie. - Przywołał kelnerkę. - Jeszcze raz to samo. Mary spojrzała na świeżo napełnioną szklanekę.

- Co to jest? Dżin? Wódka?

- Tonik z wodą.

- Och, Johnny!

- Może łaskawie skończysz z tym „och, Johnny!”? Trudno powiedzieć, czy irytacja w jego głosie była prawdziwa, czy nie. - No więc tak. Twierdzisz, że się martwisz... jak gdybyś musiała o tym komukolwiek mówić, a tym bardziej mnie. Pozwól, że odgadnę twoje troski, Mary. Powiedziałbym, że jest ich pięć: Rory, ty, twój tata, twoja mama i ja. - Chciała się odezwać, lecz uciszył ją. - Możesz zapomnieć o Rorym i jego niechęci do mnie. Za miesiąc będzie to uważał za koszmarny sen. Teraz ty... i nie zaprzeczaj, że nie martwisz się o nasze, nazwijmy to, stosunki. One też się poprawią, ale to wymaga czasu. Zostaje jeszcze twój tata, twoja mama, no i znów ja. Mam rację?

- Już od dawna nie rozmawiałaś ze mną w ten sposób.

- Czyli że mam rację? Potaknęła głową w milczeniu.

- A więc twój tata. Wiem, że wygląda nie najlepiej, że stracił na wadze. Przypuszczam, że martwi się o twoją matkę i o mnie, w takiej właśnie kolejności.

- Moja matka... - wyszeptała.



- Skąd się o niej dowiedziałeś? Oprócz mnie i taty nikt o tym nie wie.

- Podejrzewam, że Alexis Dunnet może coś wiedzieć, oni są bardzo zaprzyjaźnieni, ale nie jestem tego pewien. Natomiast mnie twój tata powiedział o tym dwa miesiące temu. Wiem, że mi ufał, wtedy gdy jeszcze byliśmy na stopie przyjacielskiej.

- Proszę cię, Johnny...

- No, to już chyba lepiej niż „och, Johnny”. Pomimo tego, co się ostatnio wydarzyło, wierzę, że twój ojciec wciąż mi ufa. Obiecuj, że mu nic nie powiesz, ponieważ dałem słowo, że nikomu tego nie zdradzę. Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Przez ostatnie dwa miesiące twój ojciec był niezbyt komunikatywny. To zrozumiałe. Nie wydaje mi się zresztą, żebym w mojej sytuacji miał prawo go pytać. Brak postępów, brak śladów, brak wiadomości, odkąd trzy miesiące temu wyszła z waszego domu w Marsylii?

- Nic. Zupełnie nic. - Nie wyłamywała palców, ale to tylko dlatego, że nie miała tego nawyku. - A zwykle dzwoniła do nas codziennie, kiedy nie byliśmy razem, pisała co tydzień, a teraz my...

- A twój ojciec wyczerpał już wszystkie możliwości?

- Tata jest milionerem. Nie sądzisz chyba, że mógłby nie zrobić wszystkiego, co tylko możliwe?

- Tak właśnie myślałem. No więc jesteś zmartwiona. A co ja mogę zrobić? Mary szybko zabębniła palcami po blacie stołu i spojrzała na niego. Oczy miała pełne łez.

- Mógłbyś mu zdjąć z głowy drugi poważny problem.

- Mówisz o mnie? Mary skinęła głową.

\* \* \*

Dokładnie w tej samej chwili Macalpine nader aktywnie zajmował się swoim drugim poważnym problemem. W towarzystwie Dunnet stał przed drzwiami pokoju hotelowego, wkładając klucz do zamka. Dunnet rozejrzał się z obawą.

- Nie sądzę, żeby recepcjonista uwierzył choćby w jedno słowo z tego, co mu powiedziałeś - mruknął.

- No to co? - Macalpine przekręcił klucz w zamku. - Zdobyłem klucz Johnny'ego, tak?

- A jakby ci się nie udało?

- Wykopałbym te cholerne drzwi. Raz już to zrobiłem, pamiętasz? Obaj mężczyźni weszli,

zamykając za sobą drzwi na klucz. Bez słowa, metodycznie, zaczęli przeszukiwać pokój Harlowa, zaglądając zarówno we wszystkie oczywiste, jak i w najbardziej nieprawdopodobne miejsca - a liczba kryjówek w pokojach hotelowych jest wyraźnie ograniczona. Zakończyli poszukiwania po trzech minutach, poszukiwania tyle owocne, co niepokojące. Przez chwilę, w niemal hipnotycznym milczeniu, obaj gapili się w dół, na leżącą na łóżku Harlowa zdobycz - cztery pełne butelki whisky i jedną napoczętą. Spojrzeli po sobie, a Dunnet podsumował ich uczucia w maksymalnie zwięzły i treściwy sposób:

- Jezu! Macalpine pokiwał głową. Rzecz niezwykła, wydawało się, że zabrakło mu słów. Nie musiał zresztą nic mówić, by Dunnet zrozumiał i podzielił jego uczucia, związane z wyjątkowo nieprzyjemnym dylematem, przed którym stanął Macalpine. Postanowił dać Johnny'emu ostatnią szansę, a oto miał przed sobą aż nadto wystarczający powód, by go natychmiast zwolnić.

- I co z tym zrobimy? - spytał Dunnet.

- Zabierzemy stąd tę cholerną truciznę, oto co zrobimy! - Macalpine miał przybity wzrok, a niski głos ochrypli z napięcia.

- Ależ on na pewno to zauważy. I to natychmiast. Sądząc z tego, co już o nim wiemy, zaraz po powrocie sięgnie po najbliższą butelkę.

- A kogo to obchodzi, co on zauważy, co zrobi? Co na to poradzi? Mało tego, co będzie mógł na to powiedzieć? Polecą do recepcji i krzykną: „Jestem Johnny Harlow. Ktoś mi właśnie rąbnął z pokoju pięć butelek whisky!”? Nic nie będzie mógł powiedzieć ani zrobić.

- Oczywiście, że nie. Ale zauważy, że butelki zniknęły. Co sobie o nas pomyśli?

- A kogo to obchodzi, co ten młody opóć sobie pomyśli? Zresztą, dlaczego akurat o nas? Jeżeli to my byśmy zabrali butelki, to spodziewałby się, że ledwie wróci, zwalimy mu na łeb wszystkich świętych. Ale on tak nie pomyśli. My nic nie powiemy... na razie. Mogła to być robota złodzieja, który podszył się pod kogoś z personelu. A tak w ogóle, nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy faktycznie ktoś z personelu bawi się w drobne kradzieże.

- Więc nasz ptaszek nie będzie śpiewał?

- Nasz ptaszek nie może. Niech go cholera, cholera, cholera!

\* \* \*

- Za późno, Mary - powiedział Harlow. - Nie mogę już jeździć. Johnny Harlow się stoczył. Spytaj, kogo chcesz.

- Nie to miałam na myśli, i wiesz o tym. Mówię o twoim picciu.

- Ja? Piję? - Twarz Harlowa była jak zawsze kamienna. - Kto tak mówi?

- Wszyscy.

- Wszyscy kłamią. Taka uwaga gwarantowała zakończenie dyskusji. Łzy spłynęły z twarzy Mary na jej zegarek, ale Harlow powstrzymał się od komentarza, nawet jeśli to zauważył. Po jakimś czasie Mary westchnęła i stwierdziła:

- Poddaję się. Byłam głupia, że w ogóle próbowałam. Johnny, idziesz dziś na przyjęcie do burmistrza?

- Nie.

- Myślałam, że chciałbyś mnie tam zabrać. Proszę cię...

- I zrobić z ciebie cierpiętnicę? Nie.

- Dlaczego akurat ty nie idziesz? Wszyscy inni kierowcy tam będą.

- Ja to nie inni kierowcy. Ja jestem Johnny Harlow, parias i wyrzutek. Jestem z natury delikatny i wrażliwy, i nie lubię jak nikt się do mnie nie odzywa. Mary przykryła jego dłonie swoimi.

- Ja się do ciebie odzywam, Johnny, i wiesz, że zawsze tak będzie.

- Wiem. - W głosie Harlowa nie było goryczy ani ironii. - Zrobiłem z ciebie kalekę na całe życie, a ty zawsze będziesz się do mnie odzywać. Trzymaj się ode mnie z daleka, mała Mary. Jestem jak trucizna.

- Niektóre trucizny mogłabym polubić, i to nawet bardzo. Harlow uściśnął jej dłoń i wstał.

- Chodźmy, musisz się przebrać na ten bal. Odprowadzę cię do hotelu. Wyszli z kawiarni. Mary jedną ręką ścisnęła kulę, drugą zaś trzymała Harlowa pod ramię. Harlow, niosąc drugą kulę, dostosował się do kuśtykania Mary i zwolnił kroku. Kiedy szli powoli w górę ulicy, Rory Macalpine wynurzył się z cienia bramy naprzeciw kawiarni. Dygotał z zimna, lecz chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Sądząc z wyrazu szczerzej satysfakcji na jego twarzy, Rory myślał o innych, przyjemniejszych sprawach. Przeszedł przez jezdnię i trzymając się w bezpiecznej odległości, śledził Harlowa i Mary aż do pierwszego skrzyżowania. Tam skręcił na prawo i puścił się biegiem. Gdy dotarł do hotelu, już nie drżał, lecz pocił się obficie, jako że pędził przez całą drogę. Zwolnił dopiero w hallu, wbiegł po schodach na górę i wpadł do pokoju. Umył się i uczesał, poprawił krawat, spędził kilka minut przed lustrem ćwicząc zasmucony, lecz sumienny wyraz twarzy, dopóki nie uznał, że wychodzi mu wcale nieźle, a następnie ruszył do pokoju ojca. Zapukał, usłyszał mrukliwe zaproszenie i wszedł do środka. Apartament Jamesa Macalpine'a bez wątplenia był najbardziej komfortowy w całym hotelu. Jako milioner, Macalpine mógł sobie dogadzać; jako milioner i jako mężczyzna nie widział powodu, by tego nie czynić. W tym momencie jednak Macalpine ani sobie nie dogadzał, ani też - zagłębiany w przepastnym fotelu - nie sprawiał wrażenia człowieka napawającego się otaczającym go komfortem. Zdawało się natomiast, że jest pogrążony w głębokich, prywatnych rozmyśleniach, z których otrząsnął się na tyle, by apatycznie spojrzeć na syna, zamykającego za sobą drzwi.

- No, synku, o co chodzi? Nie można z tym poczekać do rana?

- Nie, tato, nie można.

- No to wal. Widzisz, że jestem zajęty.

- Tak, tato, wiem. - Zasmucony, lecz sumienny wyraz twarzy Rory'ego trwał na posterunku. - Ale muszę ci coś powiedzieć. - Zawahał się, jak gdyby krępowało go to, co miał do powiedzenia. - Chodzi o Johnny'ego Harlowa, tato.

- Cokolwiek powiesz na jego temat, potraktuję z daleko idącą rezerwą. - Wbrew zapowiedzi, na wychudzonej twarzy Macalpine'a pojawił się cień zainteresowania. - Wszyscy wiemy, co o nim myślisz.

- Tak, tato. Myślałem nad tym, zanim przyszedłem do ciebie. - Rory znów się zawahał. - Słyszałeś te historie o Johnnym Harlowie? Jak mówią, że on za dużo pije?

- I co? - spytał Macalpine dyplomatycznie. Rory z najwyższym trudem zachowywał nabożny wyraz twarzy: zapowiadało się to na trudniejszą przeprawę, niż się spodziewał.

- To prawda. Znaczy się, że pije. Widziałem go dziś w knajpie.

- Dziękuję, Rory, możesz odejść. - Zamilkł na chwilę. - Ty też byłeś w tej knajpie?

- Ja? Daj spokój, tato. Stałem na zewnątrz. Ale widziałem, co się dzieje w środku.

- Szpiegowałeś, co?

- Tylko tamtędy przechodziłem

- oświadczył chłopak urażonym tonem. Macalpine odprawił go machnięciem ręki. Rory ruszył do drzwi, ale prawie natychmiast z powrotem zwrócił się do ojca.

- Możliwe, że nie lubię Johnny'ego Harlowa. Ale lubię Mary. Lubię ją bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. - Macalpine kiwnął głową potakująco; wiedział, że to prawda. - Nie chcę, żeby jej się stała krzywda. To dlatego do ciebie przyszedłem. Ona była w tej knajpie z Harlowem.

- Co?! - Twarz Macalpine'a momentalnie spurpurowiała z gniewu.

- Bij zabij, ale to prawda.

- Jesteś pewny?

- Tak, tato. Oczywiście, że jestem pewny. Póki co, oczy mam dobre.

- Z pewnością! - bąknął machinalnie Macalpine. Spojrzał na syna nieco spokojniejszym wzrokiem. - Po prostu nie chcę tego przyjąć do wiadomości. Ale uważaj, szpiegowania nie lubię!

- Ja nie szpiegowałem, tato. - Oburzenie Rory'ego wyływało czasami ze szczególnie

obrzydliwie pojętego poczucia sprawiedliwości. - To była robota detektywistyczna. Kiedy w grę wchodzi dobre imię zespołu Coronado... Macalpine podniósł dłoń, by przerwać ten potok słów, i westchnął ciężko.

- Dobrze już, dobrze, ty chodząca cnoto. Powiedz Mary, że chcę ją tu widzieć. Natychmiast. Ale nie mów jej dlaczego. Pięć minut później miejsce Rory'ego zajęła Mary, wylękciona, lecz nastawiona buntowniczo.

- Kto ci o tym powiedział? - spytała.

- Nieważne. Czy to prawda?

- Mam dwadzieścia dwa lata, tato. - Była bardzo spokojna. - Nie muszę ci się opowiadać. Sama potrafię troszczyć się o siebie.

- Potrafisz? Ty się potrafisz troszczyć o siebie? A gdybym tak wyrzucił cię z ekipy Coronado? Nie masz pieniędzy i nie będziesz ich miała, póki żyję. Nie masz dokąd pójść. Nie masz teraz matki, przynajmniej nie pod ręką. Nie masz żadnych kwalifikacji. Kto zatrudni kalekę bez kwalifikacji?

- Chciałabym, żebyś mi powtórzył te wszystkie okropności w obecności Johnny'ego Harlowa.

- Zdziwisz się pewnie, ale ujdzie ci to płazem. W twoim wieku byłem równie niezależny, może nawet bardziej, i miałem niewysokie mniemanie o ojcowskim autorytecie. - Przerwał, a po chwili zapytał z ciekawością: - Kochasz się w tym facecie?

- To nie jest żaden facet! To Johnny Harlow! - Macalpine uniósł brew, słysząc jej podniesiony głos. - A wracając do pytania... czy nie mam już prawa do żadnych sekretów?

- Dobrze już, dobrze. - Macalpine westchnął. - Umowa: jeżeli odpowiesz na moje pytania, to powiem ci, dlaczego je zadaję. Zgoda? Potaknęła.

- Świetnie. A więc czy to prawda?

- Jeżeli twoi szpiegowie są pewni swego, to po co mnie tato, pytasz?

- Uważaj, co mówisz! - Uwaga o szpiegach dotknęła Macalpine'a do żywego.

- To przeproś mnie za to, coś przed chwilą powiedział!

- Boże jedyny! - Macalpine popatrzył na córkę ze zdumieniem, na które złożyła się irytacja i podziw. - Cała moja córka. Przepraszam. Czy pił?

- Tak.

- Co?

- Nie wiem. Coś przezroczyściego. Powiedział, że to woda z tonikiem.

- I ty się zadajesz z takim łgarzem. Cholerna woda z tonikiem! Trzymaj się od niego z daleka, Mary, bo inaczej odeślę cię z powrotem do Marsylii.

- Dlaczego, tato? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

- Bo Bóg mi świadkiem, że mam dość własnych kłopotów i bez tego, że moja córka pakuje się w kłopoty z alkoholem.

- Johnny alkoholem! Słuchaj, tato, ja wiem, że on trochę pije... Macalpine uciszył ją, sięgając po telefon.

- Tu Macalpine. Niech pani poprosi pana Dunneta, żeby do mnie zajrzał. Tak, natychmiast. Odłożył słuchawkę. - Dałem słowo, że wytłumaczę ci, dlaczego zadaję te pytania. Wolałbym tego uniknąć, ale nie mam wyboru. Dunnet wszedł, zamykając za sobą drzwi. Sprawiał wrażenie człowieka, który niezbyt radośnie zapatruje się na najbliższe kilka minut. Macalpine wskazał mu fotel.

- Powiedz jej, Alexis, dobrze? Dziennikarz jeszcze bardziej zmarmotniał.

- Czy to konieczne, James?

- Niestety, tak. Mnie by nie uwierzyła, gdybym jej powiedział, co znaleźliśmy u niego w pokoju. Mary spoglądała to na jednego, to na drugiego, z jawnym niedowierzaniem na twarzy.

- Przeszukiwaliście pokój Johnny'ego... - powiedziała. Dunnet zaczerpnął tchu.

- W dobrej wierze, Mary, i Bogu dzięki, że to zrobiliśmy. Sam jeszcze nie mogę w to uwierzyć. W jego pokoju znaleźliśmy ukryte pięć butelek whisky. Jedna była na wpół pusta. Mary patrzyła na nich sparaliżowana. Widać było, że wierzy im bez zastrzeżeń. Po chwili Macalpine odezwał się łagodnie:

- Naprawdę bardzo mi przykro. Wszyscy wiemy, jak bardzo go lubiłaś. Nawiasem mówiąc, zabraliśmy te butelki.

- Zabraliście butelki... - powtórzyła powoli drewnianym głosem, najwyraźniej niewiele z tego pojmując. - Ależ on się dowie. Zgłosi kradzież. Przyjedzie policja, zdejną odciski palców... Wasze odciski. I wtedy...

- Wyobrażasz sobie, Johnny'ego Harlowa przyznającego się przed kimś, że miał schowane pięć butelek whisky? No, biegnij się przebrać. Musimy wyjść na to cholerne przyjęcie za dwadzieścia minut... bez twojego Johnny'ego, jak mi się wydaje. Nie ruszyła się z miejsca, lecz kamiennym wzrokiem patrzyła ojcu prosto w oczy. Po chwili jego rysy złagodniały i uśmiechnął się.

- Przepraszam - powiedział. - To było nie na miejscu. Dunnet przytrzymał drzwi, gdy Mary kuśtykając wychodziła z pokoju. Obaj mężczyźni patrzyli, jak oddala się ze smutkiem w oczach.



## ROZDZIAŁ 5

Dla bractwa związanego z wyścigami Formuły I, jak zresztą dla wszystkich obieżyświatów, hotel to hotel - to miejsce do spania, jedzenia, to przystanek przed następnym wielkim nieznanym. A jednak hotel Villa-cessni, wybudowany na przedmieściach Monza, niewątpliwie stanowił wyjątek od tej reguły. Wspaniale zaprojektowany, wspaniale zbudowany i wyposażony we wspaniałe ogrody, miał olbrzymie klimatyzowane pokoje z mistrzowsko dobranym umeblowaniem, luksusowe łazienki, okazałe, przestronne balkony, wystawną kuchnię i serdeczną obsługę - można by pomyśleć, że oto jest niezrównany zajazd dla co bardziej nadzianych milionerów. I pewnie kiedyś nim będzie, ale jeszcze nie teraz. Na razie hotel Villa-cessni musiał sobie zdobyć własną klientelę, własny klimat, reputację i - z biegiem czasu tradycję, a osiągnięcie tych ze wszech miar upragnionych celów wymaga okazałej dawki reklamy, która zarówno luksusowym hotelom, jak i kioskom z hot-dogami, może przynieść całkiem miłe rezultaty. Żaden sport na świecie nie ma kibiców w tak wielu krajach, jak wyścigi Formuły I, dlatego też dyrekcja nowego hotelu uznała za stosowne zaprosić największe stajnie wyścigowe w gościnę do swego pałacu na czas trwania Grand Prix Italii, za śmiesznie niską, symboliczną opłatą. Niewiele ekip odrzuciło zaproszenie i mało kto zaprzętał sobie głowę filozoficznymi i psychologicznymi motywami, kierującymi zarządem hotelu - wszyscy wiedzieli, że Villa-cessni jest hotelem o niebo bardziej luksusowym, a jednocześnie ciut tańszym, od kilku austriackich, które z przyjemnością opuścili dwanaście dni wcześniej. Wszystko wskazywało na to, że za rok w Villa-cessni nie pozwolą im nawet upchać się w piwnicach... ale to dopiero za rok. Tego piątkowego wieczoru pod koniec sierpnia było ciepło, ale nie na tyle, by usprawiedliwić włączenie klimatyzacji. A jednak w hallu Villa-cessni klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, skutkiem czego w tym luksusowym azylu, do którego pospólstwo nie miało prawa wstępu, panował nieprzyjemny chłód. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że klimatyzacja jest najzupełniej zbędna, jednak prestiż hotelu stanowczo wymagał jej włączenia. Prestiż stał się obsesją dyrekcji - toteż klimatyzacja działała. Z nadejściem upalnych dni Cessni miało stać się przystanią wybrańców. Macalpine i Dunnet siedząc - a raczej leżąc - obok siebie w olbrzymich, krytych aksamitem fotelach, których imponująca konstrukcja izolowała ich tak skutecznie, że prawie się nie widzieli, mieli na głowie ważniejsze sprawy niż parę stopni Celsjusza w tę czy w tamtą stronę. Odzywali się z rzadka, a jeśli już, to z wyraźnym brakiem entuzjazmu - sprawiali wrażenie ludzi, którzy zupełnie nie mają się czym entuzjasmować. Dunnet poruszył się.

- Nasz wędrowiec coś się dzisiaj spóźnia.

- Ma wymówkę - odparł Macalpine. - A przynajmniej mam taką nadzieję. Jedno mu trzeba oddać, że zawsze sumiennie przykładał się do roboty. Mówił, że chce zrobić kilka dodatkowych okrążeń, żeby się przyzwycząić do zawieszenia i skrzyni biegów w nowym wozie. Dunnet spochmurniał.

- A nie można by dać tego wozu Tracchii?

- Wykluczone, Alexis, i dobrze o tym wiesz. Wszechpotężny protokół. Johnny jest nie tylko kierowcą numer jeden w Coronado, lecz także na świecie. Nasi kochani sponsorzy, bez których nie moglibyśmy działać - ja bym mógł, ale musiałbym upaść na głowę, żeby wywalać taki majątek - otóż nasi sponsorzy to nadzwyczaj wrażliwi ludzie. Wrażliwi na opinię publiczną. Tylko dlatego wypisują



nazwy swoich cholernych produktów na naszych wozach, że kibice kupią potem te ich cholerne towary. To nie dobroczyńcy torów wyścigowych... oni się tylko reklamują. A ten, kto sobie robi reklamę, chce zdobyć jak największy rynek. Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć dziesiątych procenta tego rynku leży poza światkiem wyścigów, więc nie muszą wiedzieć, co się w naszym światku dzieje. Ważne jest to, w co oni wierzą. A wierzą, że Harlow wciąż jest jedyny. Dlatego to właśnie on dostaje najlepszy i najnowszy model. Jeżeli nie dostanie, to publiczność straci zaufanie do Harlowa, do Coronado i do tych, których reklamujemy, i to niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

- Cóż, możliwe, że zdarzy się jeszcze cud. Ostatecznie od dwunastu dni nikt go nie widział pijącego. Może nas jednak zaskoczy. Do Grand Prix Italii zostały już tylko dwa dni.

- Więc na co mu były te dwie butelki szkockiej, które godzinę temu zabrałeś z jego pokoju?

- Mógłbym powiedzieć, że wystawił na próbę swój kręgosłup moralny, ale nie sądzę, żebyś w to uwierzył.

- A ty byś uwierzył?

- Szczerze mówiąc, też nie. - Dunnet znowu spochmurniał. Po chwili otrząsnął się z zadumy i spytał:

- Masz jakieś wieści od swoich agentów na południu, James?

- Żadnych. Niestety, Alexis, straciłem chyba nadzieję. To już czternaście tygodni, jak Marie zniknęła. Za długo, zdecydowanie za długo. Gdyby przydarzył jej się jakiś wypadek, tobym o tym usłyszał. Gdyby to była jakaś nieczysta gra, też bym wiedział. Gdyby szło o porwanie i okup... ba, to oczywiście śmieszne, ale też bym się o tym musiał dowiedzieć. Ona zwyczajnie zniknęła. Kraksa, wypadek na łodzi... sam nie wiem...

- Tyle razy mówiliśmy o amnezji...

- I tyle razy ci mówiłem, że ktoś tak znany, jak Marie Macalpine, nawet z zaburzeniami psychicznymi nie może tak po prostu przepaść bez śladu. Nie mówię tego przez brak skromności.

- Wiem. Mary pewnie bardzo to przeżywa?

- Zwłaszcza od dwunastu dni. Przez Harlowa. Alexis, złamaliśmy jej serce... przepraszam, jestem niesprawiedliwy... to ja złamałem jej serce w Austrii. Gdybym ja wtedy wiedział, jak dalece się zaangażowała... ba, ale nie miałem wyboru.

- Zabierasz ją wieczorem na przyjęcie?

- Tak, nalegałem na to. Trzeba pomóc jej się oderwać od siebie samej, ciągle to sobie powtarzam... choć może tylko po to, żeby uspokoić sumienie? Tego też nie wiem. Być może popełniam następny błąd.

- Coś mi się zdaje, że nazbierało się sporo rzeczy, z których Harlow powinien się rozliczyć. Ale to już jego ostatnia szansa, James? Koniec z wariacką jazdą, z porażkami, pićciem... a jak nie, to szlaban? Tak.

- Właśnie tak. - Macalpine skinął głową w stronę drzwi wejściowych. - Myślisz, że powinniśmy mu to teraz zakomunikować? Dunnet spojrział we wskazanym kierunku. Harlow szedł po marmurowej posadzce. Miał na sobie nieskazitelnie czysty biały kombinezon wyścigowy. Siedząca za ladą recepcji młoda piękna dziewczyna uśmiechnęła się do niego, lecz uśmiech zamarł jej na ustach, gdy Harlow spojrział na nią beznamiętnym wzrokiem. Respekt, jakim ludzie obdarzają bogów, którzy przypadkiem zstąpili na ziemię, jest tak wielki, że kiedy Johnny przechodził przez hall, ze sto osób przerwało rozmowy w pół słowa. Wydawało się, że Harlow nie dostrzega ich obecności, gdyż patrzył wprost przed siebie, a jednak spokojnie można było założyć, że jego nadzwyczajne oczy nie pominęły niczego. Założenie takie potwierdzał zresztą fakt, iż na pozór nikogo nie dostrzegając - Johnny zmienił trasę, kierując się do miejsca, gdzie siedzieli Macalpine i Dunnet.

- Whisky ani mięty nie pocujemy, to pewne - powiedział Macalpine - inaczej by mnie unikał jak ognia. Harlow stanął przed nimi.

- Cieszycie się, panowie, urokiem zachodu słońca? - zapytał bez cienia ironii czy sarkazmu w głosie.

- Powiedzmy... - bąknął Macalpine. - Ale cieszylibyśmy się jeszcze bardziej, gdybyś nam powiedział, jak się spisuje nowe coronado.

- Zapowiada się całkiem nieźle. Jacobson choć raz się ze mną zgodził, że starczą tylko niewielkie zmiany w przekładni i w tylnym zawieszeniu. Do niedzieli będzie gotowe.

- Więc nie masz zastrzeżeń?

- Nie. To świetny wóz. Jak dotąd to najlepszy model coronado. I szybki.

- Jak szybki?

- Jeszcze nie sprawdziłem. Ale na ostatnich okrążeniach dwa razy wyrównałem rekord toru.

- No, no... - Macalpine zerknął na zegarek. - Lepiej się pośpieszmy. Za pół godziny wychodzimy na przyjęcie.

- Jestem zmęczony. Wezmę prysznic, prześpię się ze dwie godziny i zjem obiad. Przyjechałem tu na Grand Prix, a nie żeby brylować w towarzystwie.

- To twoje ostatnie słowo?

- Ostatnim razem też odmówiłem. Możecie to traktować jako precedens.

- Wiesz, że to należy do twoich obowiązków?

- W moim odczuciu obowiązek i przymus to dwie różne rzeczy.

- Będzie tam kilka grubych ryb, specjalnie po to, żeby się z tobą spotkać.

- Wiem. Macalpine milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Skąd wiesz? O tym wiem tylko ja i Alexis.

- Mary mi powiedziała. - Harlow odwrócił się i odszedł.

- Uh... - warknął Dunnet i mocno zacisnął wargi. - Arogancki gówniarz. Przyszedł tylko po to, żeby nam powiedzieć, że jakby nigdy nic wyrównał rekord toru. A najlepsze w tym wszystkim jest to, że mu wierzę. Dlatego się przy nas zatrzymał, nie sądzisz?

- Żeby mi powiedzieć, że wciąż jest najlepszy? Tak, to też. Ale poza tym, żeby mi oświadczyć, że mogę się wypchać moim zakichanym przyjęciem, żeby mnie poinformować, że będzie rozmawiał z Mary, czy mi się to podoba, czy nie, i wreszcie, żeby mnie powiadomić, że Mary nie ma przed nim tajemnic. Gdzie jest ta moja piekielna córka?!

- Chętnie to sobie obejrzę...

- Niby co?

- Czy uda ci się złamać jej serce po raz drugi. Macalpine westchnął i jeszcze bardziej zapadł się w fotelu.

- Chyba masz rację, Alexis, chyba tak. Patrz, a ja mimo wszystko ciągle chciałbym ich pożenić.

\* \* \*

Harlow wyszedł z łazienki w białym płaszczu kąpielowym i otworzył szafę. Wyciągnął czysty garnitur i sięgnął na najwyższą półkę. Uniósł brwi, najwidoczniej nie znajdując tego, czego się spodziewał. Zajrzał do szafki, z równie negatywnym wynikiem. Stał zamyślony na środku pokoju, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Proszę, proszę - powiedział cicho. - Znów to samo. Spryciarze. Uśmiech na twarzy Harlowa wyraźnie świadczył, że on sam nie wierzy w to, co mówi. Sięgnął pod materac, wyciągnął napoczętą piersiówkę whisky, obejrzał ją i schował z powrotem. Następnie wszedł do łazienki, uniósł pokrywę rezerwuaru i wyjął butelkę Glenfiddich. Sprawdził zawartość - butelka była w trzech czwartych pełna. Schował ją z powrotem, opuścił pokrywę tak, by rezerwuar pozostał nie domknięty, po czym wrócił do sypialni. Włożył jasnoszary garnitur i właśnie zawiązywał krawat, gdy zza okna doleciał warkot potężnego silnika. Zgasił światło, odsunął zasłony i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Przed hotel zajechał wielki autobus, do którego wsiadali właśnie kierowcy, szefowie ekip, mechanicy i dziennikarze zaproszeni na oficjalne przyjęcie. Harlow sprawdził, czy są wśród nich ci, na których nieobecności tego wieczoru nadzwyczaj mu zależało. Byli wszyscy - Dunnet, Tracchia, Neubauer, Jacobson i Macalpine. Mary, przygnębiona i wyjątkowo blada, kurczowo trzymała ojca pod rękę. Zatrzaśnięto drzwi i autobus odjechał. Pięć minut później Harlow podszedł do recepcji. Urzędowała

tam ta sama piękna dziewczyna, którą zignorował wchodząc do hotelu. Uśmiechnął się do niej szeroko - jego koledzy nigdy by w to nie uwierzyli - a ona, szybko otrząsając się z szoku na widok drugiej strony natury Harlowa, zrewanżowała się tym samym. Zarumieniła się z wrażenia - dla ludzi spoza ścisłego grona Formuły I Harlow wciąż był kierowcą numer jeden.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, panie Harlow.

- Jej uśmiech zgasł. - Obawiam się, że spóźnił się pan na autobus.

- Mam własny transport. Uśmiech wrócił na miejsce.

- Faktycznie, wygłupiłam się. Pańskie czerwone ferrari. Czy mogę panu w czymś...

- Tak, bardzo proszę. Mam tu cztery nazwiska... Macalpine, Neubauer, Tracchia i Jacobson. Czy mogłaby mi pani podać numery ich pokoi?

- Oczywiście, panie Harlow. Ale ci panowie, niestety, właśnie odjechali.

- Wiem o tym. Specjalnie czekałem, aż odjadą.

- Nie rozumiem...

- Chcę im coś wsunąć pod drzwi. To taki stary zwyczaj przed wyścigiem.

- Ach, wy rajdowcy i te wasze dowcipy. Najprawdopodobniej nie spotkała dotychczas żadnego kierowcy Formuły I, co jednak nie przeszkodziło jej posłać mu łobuzerskiego, porozumiewawczego spojrzenia.

- Te numery to dwieście dwa, dwieście osiem, dwieście cztery i dwieście sześć.

- W takiej kolejności, jak nazwiska, które pani podałem?

- Tak.

- Dziękuję. - Harlow przyłożył palec do ust. - Tylko nikomu ani słowa.

- Ależ oczywiście, panie Harlow. - Gdy się odwracał, uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie. Harlow doskonale zdawał sobie sprawę ze sławy, jaka go otacza, i nie miał wątpliwości, że dziewczyna miesiącami będzie opowiadała o tym krótkim spotkaniu... ale z pewnością nie przed jego wyjazdem. Wrócił do siebie, wyciągnął z walizki kamerę i odkręcił śrubki przytrzymujące tylną ściankę, delikatnie zadrapując matową czerń metalu. Następnie zdjął płytkę i wyciągnął miniaturowy aparat fotograficzny nie większy od paczki papierosów. Wsunął go do kieszeni, przyśrubował tylną ściankę do kamery, którą schował z powrotem do walizki, i spojrzał z namysłem na małą, płócienną torbę z narzędziami. Tym razem nie była mu potrzebna - wiedział, że tam, gdzie się wybiera, znajdzie wszelkie potrzebne mu narzędzia i oświetlenie. Wziął jednak torbę

ze sobą. Przeszedł korytarzem pod numer dwieście dwa - apartament szefa ekipy Coronado. W przeciwieństwie do Macalpine'a nie musiał uciekać się do żadnych podstępów, by zdobyć klucze hotelowe - sam miał kilka wybornych zestawów wytrychów. Wybrał jeden z nich - czwarty z kolei klucz pasował. Harlow wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wrzucił płócienną torbę na najwyższą półkę w ściennej szafie, a następnie przystąpił do starannej rewizji pokoju. Nic nie umknęło jego uwadze - ani ubrania Macalpine'a, ani szafy, szafki czy walizki. Wreszcie natknął się na małą, przypominającą neseser walizeczkę, zamkniętą na zdumiewająco mocne, dziwaczne zamki. Miał jednak ze sobą zestaw małych, dziwacznych kluczy. Otwarcie walizeczki nie sprawiło mu najmniejszej trudności. Wnętrze nesesera stanowiło coś w rodzaju przenośnego biura - znajdowało się tam mnóstwo papierów, wśród nich faktury, pokwitowania, książeczki czekowe i kontrakty - właściciel stajni wyścigowej Coronado najwyraźniej sam sobie był księgowym. Harlow odłożył na bok wszystko z wyjątkiem ściągniętej gumką paczki przedatowanych książeczek czekowych. Przerzucił je szybko i przyjrzał się kilku pierwszym stronom jednej z nich, gdzie zanotowane były wszystkie płatności. Obejrzał dokładnie cztery zapisane strony, potrząsnął głową z jawnym niedowierzaniem i zagwizdał bezgłośnie. Wyciągnął miniaturowy aparat fotograficzny i zrobił osiem zdjęć - po dwa zdjęcia każdej strony. Odłożył wszystko na swoje miejsce, sprawdził, czy pokój wygląda tak, jak go zastał, i wyszedł. Korytarz był pusty. Harlow przeszedł do pokoju numer dwieście cztery - zajmowanego przez Tracchię - i wszedł do środka używając tego samego klucza, którym otworzył drzwi apartamentu Macalpine'a. Klucze hotelowe minimalnie tylko różnią się między sobą, muszą bowiem pasować do klucza uniwersalnego. Wytrych Harlowa był właśnie kluczem uniwersalnym. Tracchia miał znacznie mniejszy dobytek niż Macalpine, toteż poszukiwania były odpowiednio łatwiejsze. Harlow i tym razem znalazł neseser, jeszcze mniejszy, którego otwarcie nie przysporzyło mu kłopotu. W środku znalazł tylko kilka kartek, które go nie zainteresowały, oraz mały czerwono-czarny notes, zawierający coś, co wyglądało na zaszyfrowane adresy. Każdy adres - jeżeli to były adresy - poprzedzała jedna litera, a po nim następowały dwie lub trzy linijki zupełnie pozbawionych związku liter. Być może miało to jakieś znaczenie, być może nie. Harlow zawahał się, niezdecydowany, wzruszył ramionami, wyciągnął aparat i sfotografował wszystkie strony notesu. Pokój Tracchii zostawił w równie nienagannym stanie, co pokój Macalpine'a. Dwie minuty później, siedząc w pokoju numer dwieście osiem na łóżku Neubauera, z neseserem na kolanach, już się nie wahał. Miniaturowy aparat pstrykał pracowicie - cienki czerwono-czarny notes w rękach Harlowa był identyczny z tym, który posiadał Tracchia. Stamtąd Johnny przeszedł do ostatniego interesującego go pokoju - apartamentu Jacobsona. Wyglądało na to, że Jacobson albo był mniej ostrożny, albo też obdarzony mniejszą wyobraźnią od Tracchii i Neubauera. Harlow znieruchomiał, gdy otworzył jego dwie książeczki czekowe. Wynikało z nich, że dochody Jacobsona przynajmniej dwudziestokrotnie przewyższały to, co mógł zarobić jako główny mechanik. Jedna z książeczek zawierała nie zaszyfrowaną listę adresów w różnych krajach Europy. Wszystkie te szczegóły Harlow skrupulatnie utrwalił na błonie filmowej. Schował papiery do nesesera, neseser odłożył na miejsce i właśnie zabierał się do wyjścia, gdy usłyszał czyjeś kroki na korytarzu. Stał niezdecydowany, dopóki kroki nie ucichły przed drzwiami apartamentu Jacobsona. Kiedy w zamku zazgrzytał klucz, Harlow wyciągnął z kieszeni chusteczkę i w ostatniej chwili błyskawicznie ukrył się w szafie, delikatnie przymykając za sobą drzwi. Ktoś wszedł do pokoju. Ze swojej kryjówki Harlow widział tylko kompletną ciemność. Słyszał, jak ktoś porusza się po pokoju, ale nie mógł się zorientować, jakie jest źródło tych dźwięków - na jego wycucie intruz mógł właśnie zajmować się tym, czym on sam zajmował się przed chwilą. Po omacku złożył chusteczkę w trójkąt, założył ją sobie na twarz pod oczami i zawiązał z tyłu głowy. Drzwi szafy otworzyły się gwałtownie

i Harlow stanął twarzą w twarz z tęgą pokojówką w średnim wieku, trzymającą w rękach zagłówek, który widocznie chciała zmienić na noc na poduszki. Ona z kolei stanęła naprzeciw majaczącej w mroku postaci mężczyzny w białej masce na twarzy. Wywróciła oczy, zachwiała się i osunęła bezgłośnie. Harlow skoczył ku niej, chwycił ją, zanim upadła na marmurową posadzkę, i ułożył łagodnie na podłodze, podkładając jej zagłówek w charakterze poduszki. Szybko ruszył do otwartych drzwi, zamknął je, zdjął chustkę z twarzy i zaczął wycierać wszystko, czego tam dotykał, w tym także neseser. Na koniec zdjął słuchawkę telefonu z widełek, odłożył ją na stół i wyszedł, zostawiając za sobą niedomknięte drzwi. Przeszedł szybko przez korytarz, wolnym krokiem zszedł po schodach i ruszył do baru. Zamówił koktajl. Barman popatrzył na niego z nieskrywanym zdziwieniem.

- Przepraszam, co pan sobie życzy?

- Chyba mówię wyraźnie: podwójny dzin z tonikiem.

- Tak jest, panie Harlow. Naturalnie. Barman z pozorną obojętnością przygotował koktajl, z którym Harlow przeniósł się na fotel, stojący pod ścianą między dwiema wielkimi donicami. Johnny z zainteresowaniem spoglądał na drugą stronę hallu, gdzie telefonistka prowadziła niezwykle ożywioną działalność. Irytacja dziewczyny wzrastała z minuty na minutę. Światelko na centralce zapalało się i gasło, ale najwyraźniej nie można było uzyskać połączenia z pokojem. Wreszcie, zupełnie wytrącona z równowagi, dziewczyna przywołała boya i powiedziała mu coś cicho. Chłopak skinął głową twierdząco i ruszył przez hall statecznym krokiem, stosownym do rozreklamowanej atmosfery hotelu Villa-cessni. Kiedy wracał, jego krok bynajmniej nie był stateczny. Przebiegł przez hall i gorączkowo wyszeptał coś telefonistce. Opuściła posterunek, a po kilku sekundach pojawił się ni mniej, ni więcej, tylko sam dyrektor we własnej osobie, pędzący przez hall. Harlow czekał cierpliwie, od czasu do czasu udając, że pociąga ze szklanki. Wiedział, że większość gości w hallu obserwuje go ukradkiem, ale nie przejmował się tym. Z pewnej odległości jego koktajl wyglądał jak niegroźna lemoniada lub tonik. Barman oczywiście wiedział swoje, a było pewne jak dwa a dwa cztery, że pierwsze, co Macalpine zrobi po powrocie, to wyciągnie od barmana rachunek Johnny'ego Harlowa, pod pretekstem, że jest to nie do pomyślenia, by mistrz sam miał sięgać do kieszeni. Dyrektor znowu się pojawił, poruszając się z niegodnym dyrektora pośpiechem, niemal wojskowym truchtem. Dotarł do recepcji i złapał telefon. W całym hallu zapanowała atmosfera zainteresowania i oczekiwania. Wszyscy skoncentrowali uwagę na dyrektorze. Korzystając z tego, Harlow podlał roślinę w donicy zawartością swojej szklanki, po czym wstał i niespiesznie ruszył przez hall, na pozór zmierzając do frontowych drzwi. Po drodze przystanął obok dyrektora.

- Jakież kłopoty? - zapytał ze współczuciem w głosie.

- I to poważne, panie Harlow. Bardzo poważne. - Dyrektor ze słuchawką przy uchu czekał na połączenie, wyraźnie zaszczycony, że Johnny Harlow traci swój cenny czas, żeby z nim porozmawiać. - Włamywacze! Mordercy! Nasza pokojówka została brutalnie, bestialsko zaatakowana!

- Nie może być! Gdzie?

- W pokoju pana Jacobsona.

- U Jacobsona... ale przecież to tylko nasz główny mechanik. On nie ma nic takiego, co warto by było ukraść.

- Ba! To całkiem możliwe, panie Harlow. Ale skąd wlamywacz mógł o tym wiedzieć?

- Mam nadzieję, że udało jej się rozpoznać napastnika? - rzekł Johnny z z troskaniem.

- Niestety nie. Pamięta jedynie zamaskowanego olbrzyma, który wyskoczył z szafy i rzucił się na nią. Twierdzi, że miał maczugę. - Zakrył dłonią słuchawkę. - Przepraszam pana. Policja. Harlow odwrócił się, wydał długie, powolne westchnienie ulgi i odszedł. Minął drzwi obrotowe, dwukrotnie skręcił na prawo, wszedł do hotelu jednym z bocznych wejść i niepostrzeżenie wrócił do swojego pokoju. Z miniaturowego aparatu fotograficznego wyjął kasetę z przewiniętym filmem, założył nową - a przynajmniej wyglądającą jak nowa - i schował aparat do kamery. Zakładając tylną ściankę kamery, na wszelki wypadek zrobił jeszcze kilka rys na czarnej powierzchni metalu. Kasetę z filmem schował do koperty, na której napisał swoje nazwisko i numer pokoju, i zszedł na dół. W recepcji początkowa panika jakby minęła. Poprosił o schowanie koperty do sejfów i wrócił do siebie. Godzinę później siedział na skraju łóżka, czekając cierpliwie. Zamiast tradycyjnego garnituru miał na sobie marynarski golf i skórzaną kurtkę. Po raz drugi tej nocy usłyszał warkot potężnego diesla, po raz drugi zgasił światło, odsunął zasłony, otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. Wrócił autobus z uczestnikami przyjęcia. Harlow zaciągnął zasłony, zapalił światło, wyjął spod materaca pierśiówkę whisky, przepłukał usta alkoholem i wyszedł. Był już na dole schodów, kiedy do hallu weszli powracający z przyjęcia goście. Mary, posługując się jedną kulą, kuśtykała wsparta na ramieniu ojca, ale na widok Harlowa Macalpine przekazał córkę Dunnetowi. Mary patrzyła na Johnny'ego spokojnym, pewnym wzrokiem; twarz miała nieprzeniknioną. Macalpine zagroził drogę kierowcy.

- Burmistrz był nieźle zirytowany i urażony twoją nieobecnością. Nic nie wskazywało na to, by Harlow przejął się specjalnie reakcją burmistrza.

- Idę o zakład, że był w tym osamotniony - odparował.

- Pamiętasz, że z samego rana masz próbną jazdę?

- Trening należy do moich obowiązków. Czy mógłbym o nim zapomnieć? Harlow spróbował wyminąć Macalpine'a, lecz ten ponownie zagroził mu drogę.

- Gdzie idziesz?

- Wychodzę.

- Zabraniam ci...

- Nie zabroni mi pan niczego, co nie jest zapisane w moim kontrakcie. Harlow wyszedł. Dunnet spojrział na Macalpine'a i pociągnął nosem.

- Czy mi się wydaje, czy też atmosfera jakby zgęstniała?

- Coś przegapiliśmy - stwierdził Macalpine. - Chodźmy lepiej sprawdzić, co to było. Mary

spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- A więc przeszukaliście już jego pokój, kiedy był na torze. A teraz, za jego plecami, zrobicie następną rewizję. To podłość! Zwyczajna podłość! Jesteście nie lepsi od pary... pary drobnych złodziejasków! - Uwolniła się od Dunnet. - Zostawcie mnie. Sama trafię do pokoju. Patrzyli za nią, jak kuśtyka przez hall.

- Moim zdaniem to niezbyt rozsądna postawa, biorąc pod uwagę, o jaką stawkę tu idzie - rzekł Dunnet ze skargą w głosie.

- W końcu to kwestia życia lub śmierci.

- Czy miłość może być rozsądna? - Macalpine westchnął. - Sam powiedz. Na schodkach prowadzących do hotelu Harlow wpadł na Tracchię i Neubauera. Nie odezwał się do nich - choć byli jeszcze na stopie towarzyskiej - a nawet wydawało się, że ich nie zauważył. Odwrócili się obaj, spoglądając za nim. Szedł nienaturalnie wyprostowany i sztywny, jak ktoś lekko wstawiony, kto próbuje udawać, że wszystko jest w porządku. Ledwie dostrzegalnie zatoczył się, lecz zaraz złapał równowagę i wrócił na swój podejrzanie prosty kurs. Neubauer i Tracchia wymienili spojrzenia i skinęli szybko głowami, tylko raz. Austriak wszedł do hotelu, a jego kompan ruszył za Harlowem. Do tej pory wieczór był ciepły, ale teraz nastąpiło gwałtowne oziębienie, któremu towarzyszyła lekka mżawka. Było to Tracchii na rękę - mieszcuchy znane są z awersji do najłżejszej nawet wilgoci w powietrzu, a chociaż hotel Villa-cessni usytuowany był w niewielkim miasteczku, to jednak obowiązywało tu to samo prawo wielkomiejskie: wraz z pierwszymi oznakami nadciągającego deszczu ulice natychmiast zaczęły pustoszeć, dzięki czemu ryzyko stracenia Harlowa z oczu w gęstym tłumie spadło niemal do zera. Wkrótce rozpadało się na dobre i w końcu Tracchia śledził Harlowa po niemal wyludnionych ulicach. Zwiększało to oczywiście ryzyko wpadki, gdyby Johnny nagle się obejrzał, szybko jednak stało się jasne, że nic podobnego nie grozi - zachowanie Harlowa zdradzało niewzruszonego, zdeterminowanego człowieka zmierzającego w ściśle określonym celu, który w swoich najbliższych planach nie przewiduje oglądania się. Czując to, Tracchia zmniejszył dystans dzielący go od Harlowa do niecałych trzech metrów. Tymczasem Johnny zachowywał się coraz dziwniej. Szedł zygzakami, jakby nie był w stanie dłużej utrzymać linii prostej. W pewnym momencie zatoczył się na cofniętą witrynę sklepu. Tracchii mignęła jego odbita w szybie twarz i na pozór zamknięte oczy. Harlow odepchnął się od szyby i zdecydowanie ruszył chwiejnym krokiem w dalszą drogę. Tracchia jeszcze bardziej zmniejszył dystans. Na jego twarzy malowała się mieszanina rozbawienia, pogardy i niesmaku, a wyraz ten pogłębił się, gdy Harlow, którego stan wciąż się pogarszał, zatoczył się chwiejnie w lewo, niknąc za rogiem ulicy. Johnny, u którego znikły wszelkie oznaki nietrzeźwości, gdy tylko znalazł się chwilowo poza zasięgiem wzroku Tracchii błyskawicznie ukrył się w pierwszej bramie za rogiem. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął przedmiot nie noszony zazwyczaj przez kierowców wyścigowych - plecioną skórzaną pałkę z rzemienną pętlą przy uchwycie. Nasunął pętlę na rękę i czekał. Nie musiał czekać długo. Tracchia skręcił za róg, a pogarda na jego twarzy ustąpiła miejsca konsternacji, gdy spostrzegł, że kiepsko oświetlona ulica jest pusta. Zaniepokojony, wydłużył krok i po chwili dotarł do ciemnej bramy, w której czatował Harlow. Kierowcom Formuły I potrzebne jest wyczucie czasu, precyzja i dobry wzrok. Wszystkie te cechy Harlow miał w nadmiarze, a poza tym był w wyjątkowej formie. Tracchia stracił przytomność natychmiast. Johnny przeszedł nad rozciągniętym na ziemi ciałem nawet nie rzuciwszy na nie okiem i



szybko ruszył w drogę... tyle że w przeciwnym niż dotąd kierunku. Wracał tą samą trasą przez jakieś ćwierć mili, po czym skręcił w lewo i prawie natychmiast znalazł się na parkingu transporterów. Po odzyskaniu przytomności Tracchia nie powinien mieć nawet bladego pojęcia o tym, dokąd zmierzał Harlow. Johnny skierował się wprost do najbliższego transportera. Nawet pomimo deszczu i panujących ciemności, na ścianach ciężarówki wyraźnie odznaczał się półmetrowej wysokości napis: Coronado. Harlow otworzył drzwi transportera, wszedł do środka i zapalił światło - silne, ostre reflektory, służące mechanikom do pracy nad wyjątkowo delikatnym sprzętem. Tutaj nie musiał korzystać z czerwonej latarki, tu nic nie musiał robić potajemnie, ukradkiem - nikt by nie zakwestionował jego prawa do przebywania we własnym transporterze. Na wszelki wypadek zamknął jednak drzwi, zostawiając w zamku przekręcony klucz, by nie można ich było otworzyć od zewnątrz. Zasłonił także okna, by nikt go nie mógł podejrzeć. Dopiero wtedy poszedł do stojaka z narzędziami i wybrał te, które mu były potrzebne.

\* \* \*

Nie po raz pierwszy już Macalpine i Dunnet znajdowali się bezprawnie w pokoju Harlowa, ale nie byli tym specjalnie zachwyceni... to znaczy nie byli zachwyceni tym, co znaleźli. Stali w łazience Johnny'ego. Dunnet trzymał pokrywę rezerwuaru, a Macalpine, ociekającą wodą butelkę whisky. Spojrzeli po sobie, najwyraźniej nie znajdując słów.

- Zasobny gość, ten nasz Johnny - odezwał się w końcu Dunnet. - W coronado wozi pewnie całą skrzynkę pod fotelem. Ale myślę, że lepiej będzie zostawić tę butelkę.

- Niby dlaczego? Co to ma za sens?

- Być może dzięki temu uda nam się poznać jego dzienną dawkę. Jeżeli nie będzie mógł sobie gołnąć tutaj, z tej butelki, to pewne jak dwa a dwa cztery, że się napije gdzie indziej... znasz te jego niesamowite sposoby znikania w czerwonym ferrari. A wtedy nigdy się nie dowiemy, ile pije.

- Tak, chyba masz rację. - Macalpine spojrzał na butelkę z żalem w oczach. - Najbardziej utalentowany kierowca swoich czasów, może nawet wszechczasów, a popatrz, do czego doszło. Wiesz, Alexis, dlaczego bogowie dobijają takich ludzi, jak Johnny Harlow? Bo zaczynają się do nich zbytnio zbliżać.

- Odłóż butelkę z powrotem, James.

\* \* \*

Dwa pokoje dalej siedziała inna para niezbyt zachwyconych mężczyzn, przy czym u jednego z nich ten stan ducha i ciała dawał się zauważyć gołym okiem. Tracchia, sądząc po tym, jak nieustannie masował kark, cierpiał niezgorzej. Neubauer spoglądał na niego z mieszaniną współczucia i gniewu na twarzy.

- Jesteś pewien, że to ten sukinsyn Harlow? - zapytał.

- Oczywiście. Portfel wciąż mam przy sobie.

- To był błąd z jego strony. Coś mi się zdaje, że zgubię klucz i będę sobie musiał pożyczyć uniwersalny. Tracchia na chwilę przestał masować obolały kark.

- Po kiego diabła?

- Zobaczysz. Zaczekaj tu na mnie. Neubauer wrócił po dwóch minutach, obracając na palcu kółko kluczy.

- W niedzielę zabieram tę blondynkę z recepcji na przyjęcie - oświadczył. - Następnym razem poproszę ją pewnie o klucze do sejfu.

- To nie czas i miejsce na komedie, Willi - zganił go Tracchia. Pomimo bólu starał się zachować cierpliwość.

- Przepraszam. - Neubauer otworzył drzwi i obaj wyszli na korytarz. Był pusty. Dziesięć sekund później stali już w pokoju Harlowa.

- A jeśli on nas tu zastanie? - spytał Tracchia.

- W czyjej skórze wolałbyś wtedy być, w jego czy w naszej? Poszukiwania nie trwały nawet minuty.

- Miałaś rację, Nikki - odezwał się nagle Neubauer. - Nasz drogi przyjaciel faktycznie jest nieostrożny. Pokazał Tracchii kamerę z zadrapaniami dookoła każdej z czterech śrub przytrzymujących tylną ściankę. Sięgnął po składany scyzoryk, odkręcił śrubki, zdjął tylną ściankę kamery i wyjął miniaturowy aparat fotograficzny. Następnie wyciągnął z niego kasetę i obejrzał ją w zamyśleniu.

- Zabieramy ją? - zapytał. Niewiele myśląc, Tracchia zaprzeczył gwałtownym potrząśnięciem głowy i natychmiast skrzywił się z bólu. Przez chwilę dochodził do siebie.

- Nie. Zorientowałby się, że tu byliśmy.

- A więc zostaje nam tylko jedno? Tracchia skinął głową i znowu skrzywił się z bólu. Neubauer otworzył kasetę, rozwinął film i przesunął go pod silnym światłem lampy na biurku. Następnie pracowicie zwinął film z powrotem, włożył go do kasety, kasetę schował do aparatu fotograficznego, a aparat do kamery.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - powiedział Tracchia. - Skontaktujemy się z Marsylią? Neubauer kiwnął głową. Obaj wyszli z pokoju.

\* \* \*

Harlow popchnął coronado z pół metra do tyłu. Spojrzał na odkryty w ten sposób fragment podłogi, sięgnął po silną latarkę i przyklęknął, dokładnie oglądając drewniane klepki. Na jednej z nich zauważył dwie poprzeczne rysy, oddalone od siebie o jakieś czterdzieści centymetrów. Przetarł je brudną szmatą i przekonał się, że nie są to rysy, lecz idealnie równe, głębokie nacięcia. Na

błyszczących główkach dwóch gwoździ, którymi przybito deski, nie było żadnych śladów. Harlow podważył klepki dłutem i część drewnianej podłogi uniosła się ze zdumiewającą łatwością. Włożył rękę do schowka, sprawdzając jego długość i głębokość. Nieznacznie unióśł brwi, zdziwiony rozmiarami skrytki, wyciągnął rękę i przytknął palce do ust i nosa. Z kamienną twarzą wstawił deski na miejsce, przybił je delikatnie trzonkiem dłuta i zasmarował gwoździe i szczelinę między deskami zatłuszczoną szmatą. Od wyjścia Harlowa z hotelu Villa-cessni do jego powrotu upłynęło czterdzieści pięć minut. Olbrzymi hall sprawiał wrażenie niemal wyludnionego, chociaż znajdowało się w nim ponad sto osób. Byli to przeważnie uczestnicy przyjęcia u burmistrza, czekający na spóźnioną kolację. Harlow dostrzegł Macalpine'a i Dunnet'a, siedzących przy małym stoliku nad koktajlami. Dwa stoliki dalej siedziała samotnie Mary, z lemoniadą i jakimś czasopismem przed sobą. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto czyta, a z jej postawy przebijała jakaś sztywna rezerwa. Harlow zastanawiał się, przeciw komu skierowana była wrogość dziewczyny. Prawdopodobnie przeciwko niemu samemu, choć z drugiej strony od pewnego czasu wyczuwało się narastającą oziębłość między Mary a ojcem. Po Rorym nie było ani śladu. Pewnie znów gdzieś szpieguje, pomyślał Johnny. Cała ta trójka dostrzegła Harlowa niemal w tym samym momencie, w którym on ich zauważył. Macalpine wstał natychmiast.

- Byłbym ci wdzięczny, Alexis, gdybyś zabrał Mary na kolację. Ja idę do jadalni. Boję się, że gdybym tu dłużej został...

- W porządku, James. Rozumiem. Harlow beznamiętnie obserwował odchodzącego Macalpine'a, lecz jego pozorna obojętność wobec tego świadomego afrontu szybko przeszła w lęk, gdy podchwycił spojrzenie Mary. Teraz już nie miał wątpliwości, przeciw komu skierowana była jej wrogość. Dziewczyna wyraźnie na niego czekała. Zauważył, że uroczy uśmiech, dzięki któremu stała się ulubienicą torów, zdecydowanie gdzieś się ulotnił. Zebrał się w sobie, wiedząc, że zaraz usłyszy cichy, niemniej odpowiednio srogi głos.

- Czy już wszyscy muszą cię oglądać w takim stanie? I w takim miejscu? - rzuciła z furią. Harlow zmarszczył brwi ze zdziwieniem. - Znowu to robiłeś!

- Zgadza się. No, śmiało, maltretuj niewinnego. Daję ci honor słowu.. znaczy się słowo honoru...

- To jest niesmaczne! Na trzeźwo ludzie nie przewracają się na ulicy. Popatrz na swoje ubranie, na te brudne ręce. No, dalej! Popatrz tylko na siebie! Johnny popatrzył na siebie.

- Ooo... Aha... Ano, słodkich snów, słodka Mary. Odwrócił się i wszedł na schody, lecz na piątym stopniu zatrzymał się gwałtownie, gdy stanął twarzą w twarz z Dunnetem. Przez chwilę spoglądali na siebie kamiennym wzrokiem, po czym Dunnet ledwie dostrzegalnie unióśł brew.

- Możemy zaczynać - szepnął Harlow.

- Coronado?

- Tak.

- No to zaczynamy.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 6

Harlow dopił kawę - już od pewnego czasu zwykł jadać samotnie w swojej sypialni - i podszedł do okna. Tego dnia nigdzie jakoś nie było widać słynnego wrześniowego słońca Italii. Zachmurzenie było duże, lecz ziemia sucha, a widoczność wyśmienita - kombinacja taka stwarza wręcz idealne warunki do wyścigów. Wszedł do łazienki, otworzył okno na oścież, zdjął pokrywę rezerwuaru i wyciągnął butelkę whisky. Odkręcił kurek z gorącą wodą i wylał połowę alkoholu do umywalki. Odstawił butelkę do schowka, obficie spryskał pokój preparatem odświeżającym i wyszedł. Samotnie - jako że ostatnimi czasy miejsce dla pasażera w jego czerwonym ferrari rzadko kiedy bywało zajęte - pojechał na tor, gdzie zastał Jacobsona z mechanikami oraz Dunnet. Przywitał się z nimi szybko i wkrótce, ubrany w kombinezon i kask, siedział w fotelu swojego nowego coronado. Jacobson zaszczycił go tradycyjnie posępnym, pesymistycznym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, Johnny, że dzisiaj będziesz miał dobry czas na treningu - powiedział.

- Zdawało mi się, że wczoraj nie wypadłem najgorzej - odparł Harlow uprzejmie. - Ale spróbować nie zawadzi. - Z palcem na przycisku startera zerknął na Dunnet. - A gdzież to się dziś podziewa nasz szanowny chlebobdawca? Do tej pory jakoś nie zauważyłem, żeby choć raz opuścił próbną jazdę.

- Został w hotelu. Ma coś do załatwienia. Macalpine rzeczywiście miał coś do załatwienia. To, czym się zajmował właśnie w tym momencie, stało się już niemal tradycją - na bieżąco kontrolował stan zapasów alkoholu w apartamencie Harlowa. Już na progu łazienki uświadomił sobie, że sprawdzanie poziomu whisky w butelce schowanej w rezerwuarze będzie tylko czczą formalnością - szeroko otwarte okno i duszący zapach aerozolu w zasadzie eliminowały konieczność dalszej inspekcji. Mimo to zajrzał do rezerwuaru. Był prawie pewien, czego się może spodziewać, a jednak twarz jeszcze bardziej mu spochmurniała, gdy wyciągnął do połowy pustą butelkę. Odstawił ją, wypadł z pokoju, przebiegł przez hall i wskoczył do swojego astona. Wystartował z piskiem opon, pozostawiając osłupiałych widzów w przekonaniu, że pomylił dziedziniec hotelu Villa-cessni z torem w Monza. Do boksów Coronado również wpadł biegiem, niemal zderzając się z Dunnetem, który właśnie stamtąd wychodził.

- Gdzie ten skurczybyk Harlow? - wysapał. Dunnet nie odpowiedział od razu. Zdawało się, że jest pochłonięty powolnym kiwaniem głową z boku na bok.

- Na miłość boską, człowieku, gdzie jest ten moczymorda? - Macalpine niemal krzyczał. - Nie wolno mu się zbliżyć do tego cholernego toru!

- Większość kierowców w Monza przyznałaby ci rację.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że ten moczymorda właśnie pobił rekord toru o dwie i jedną dziesiątą sekundy. - Dunnet znów zaczął kiwać głową z niedowierzaniem. - Wierzyć się nie chce.

- O dwie i jedną dziesiątą?! Dwie i jedną? - Teraz na Macalpine'a przyszła kolej na kiwanie

głową. - Niemożliwe. O dwie i jedną dziesiątą? Wykluczone!

- Spytaj kontrolerów czasu. On to zrobił dwa razy.

- Chryste Panie!

- Nie jesteś tak zadowolony, jak powinieneś być, James.

- Zadowolony! Jestem przerażony jak cholera. Jasne, jasne, że on wciąż jest najlepszym kierowcą na świecie... z wyjątkiem prawdziwych zawodowców, kiedy wysiadają mu nerwy. Ale to nie talent pozwolił mu zrobić taki czas. To pijacka odwaga. Normalna, samobójcza pijacka odwaga.

- Nie rozumiem cię.

- On ma w sobie pół butelki whisky, Alexis. Dunnet wybałuszył na niego oczy.

- Nie wierzę - wydusił w końcu. - Nie mogę w to uwierzyć. Faktem jest, że jechał jak sam szatan, ale jednocześnie jak anioł. Pół butelki whisky? Przecież on by się zabił.

- Dobrze się chyba stało, że nikogo nie było wtedy na torze. Innych też mógłby pozabijać.

- Ale... ale całe pół butelki?!

- Chcesz rzucić okiem na rezerwuar w jego łazience?

- Nie, nie. Myślisz, że wątpię w twoje słowa? Tyle tylko, że kompletnie tego nie rozumiem.

- Ja też nie. A gdzie się teraz podziewa nasz mistrz świata?

- Odjechał. Oświadczył, że na dziś już skończył. Powiedział, że wywalczył już sobie najlepszą pozycję startową na jutro, a jeżeli ktoś mu ją odbierze, to wtedy wróci i znów ją odbierze temu komuś. Nasz Johnny jest dziś wyjątkowo zarozumiały.

- A nigdy w ten sposób nie gadał. To nie jest zarozumiałstwo, Alexis, to ta cholerna euforia tańcząca na oparach czterdziestu procent. Boże Wszechmogący, mam problem, czy nie mam?

- Masz problem, James.

\* \* \*

Gdyby Macalpine znalazł się tego dnia po południu na pewnej obskurnej uliczce w Monza, miałby wszelkie powody przypuszczać, że jego problemy się podwoiły, a nawet potroiły. Dokładnie naprzeciwko siebie, po obu stronach wąskiej uliczki, znajdowały się dwie niezbyt wytworne kawiarenki. Obie miały takie same fasady z odpadającym tynkiem, czerwone zasłony w oknach, przykryte obrusami stoliki ustawione w szachownicę na chodniku oraz funkcjonalne wsporniki banalne wnętrza. Obie też, jak zwykle kawiarnie tego rodzaju, wyposażone były w przegrodzone wysokimi oparciami wnęki, usytuowane frontem do ulicy. W takiej to właśnie wnęce, z dala od okna,

po zacięionej stronie ulicy siedzieli Neubauer i Tracchia. Przed nimi stały nietknięte koktajle. Nietknięte, ponieważ ich nie interesowały - całe zainteresowanie obu kierowców skupiło się na kawiarence naprzeciwko, gdzie - przy samym oknie - Harlow i Dunnet, ze szklankami w rękach, dyskutowali z przejęciem w swojej wnęce.

- Doszliśmy tu za nimi, Nikki, ale co dalej? - zapytał Neubauer. - Nie potrafisz chyba czytać z warg, co?

- Poczekać i zobaczyć, co się stanie? Podłuchać ich? Bóg mi świadkiem, Willi, że chciałbym umieć czytać z warg. Ale chciałbym też wiedzieć, dlaczego ci dwaj nagle tak się zaprzyjaźnili... chociaż ostatnio prawie ze sobą nie rozmawiają publicznie? I dlaczego musieli przyjść aż na taką boczną uliczkę, żeby pogadać? Wiemy, że Harlow coś kombinuje... do tej pory czuję się tak, jakbym miał złamany kark, ledwie mi się dziś udało nałożyć kask. A skoro on i Dunnet są w takiej komitywie, to kombinują razem. Ale Dunnet jest tylko dziennikarzem. Co mogą mieć ze sobą wspólnego dziennikarz i były kierowca?

- Były? Widziałeś jego dzisiejszy czas?

- Powiedziałem: „były”, i tak uważam. Zobaczysz... rozwali się jutro, tak jak w ostatnich czterech wyścigach.

- Właśnie. To jeszcze jedna dziwna sprawa. Dlaczego jest taki dobry na treningach, a na zawodach tak nawala?

- To nic dziwnego. Powszechnie wiadomo, że Harlow prawie wpadł w alkoholizm... a moim zdaniem wpadł już na dobre. Zgoda, potrafi zrobić szybko jedno okrążenie, może trzy. Ale na Grand Prix, gdzie masz osiemdziesiąt okrążeń... czy można się spodziewać po alkoholiku, że jego kondycja, refleks i nerwy wytrzymają do końca? Rozwali się. - Oderwał wzrok od drugiej kawiarni i ponuro pociągnął ze szklanki. - Boże, co ja bym dał, żeby się znaleźć w sąsiedniej wnęce! Neubauer położył dłoń na ramieniu Tracchii.

- Może to nie będzie konieczne, Nikii. Może właśnie znaleźliśmy uszy, które podłuchają za nas. Spójrz! Tracchia spojrział. Rory Macalpine skradał się chyłkiem do wnęki sąsiadującej z wnęką Harlowa i Dunnet. W rękach trzymał jakiś kolorowy napój. Usiadł plecami do Harlowa, tak że był oddalony od niego może o trzydzieści centymetrów, i wyprostował się, mocno przyciskając plecy i głowę do przegrody. Widać było, że wytęża słuch. Wyglądał jak ktoś, kto planuje karierę superszpiega lub podwójnego agenta. Bez wątpienia miał rzadki talent do podglądania i podłuchiwania.

- Jak sądzisz, co tu robi młody Macalpine? - spytał Neubauer.

- Tu i teraz? - Tracchia rozłożył ręce. - Bóg raczy wiedzieć. Ale jedno jest pewne, że Harlowowi to on dobrze nie życzy. Myślę, że próbuje coś o nim wywąchać. Cokolwiek. To zawzięty bachor... i nienawidzi Harlowa. Muszę przyznać, że wolałbym nie trafić na jego czarną listę.

- Więc mamy sprzymierzeńca, co?

- Czemu nie? Trzeba wymyślić dla niego jakąś ładną bajeczkę.

- Spojrzał na drugą stronę ulicy. - Zdaje się, że młody Macalpine jest z czegoś niezadowolony. Rory był niezadowolony. Na jego twarzy malowała się złość, irytacja i zakłopotanie - z powodu wysokiej przegrody za plecami oraz hałasu powodowanego przez innych klientów kawiarni docierały do niego jedynie strzępy rozmowy prowadzonej w sąsiedniej wnęce. Nie ułatwiał mu zadania fakt, że Harlow i Dunnet rozmawiali rzeczywiście cicho. Obaj mieli przed sobą wysokie szklanki z jakimś bezbarwnym napojem, kostkami lodu i plasterkami cytryny, ale tylko w jednej z nich był dżin. Dunnet spojrzał z namysłem na małą kasetę z filmem, którą kołysał w dłoni, i schował ją do wewnętrznej kieszeni.

- Zdjęcia szyfru? Jesteś pewny?

- To na pewno szyfr. Niewykluczone, że w jakimś egzotycznym języku. Niestety, w tych sprawach nie jestem ekspertem.

- Ja też nie. Ale mamy ekspertów od tych rzeczy. A transporter Coronado... Co do niego też jesteś pewny?

- Na sto procent.

- A więc wyhodowaliśmy zmię na własnym łonie... jeżeli to odpowiedni zwrot.

- Trochę to żenujące, nie sądzisz?

- I nie masz wątpliwości, że Henry nie maczał w tym palców?

- Henry? - Harlow zdecydowanie potrząsnął głową. - Daję głowę, że nie.

- Nawet mimo tego, że jako kierowca transportera jest jedyną osobą, która bierze udział w każdym kursie?

- Nawet.

- I Henry musi odejść?

- A mamy jakieś inne wyjście?

- Tak, Henry zniknie... czasowo, choć nie będzie o tym wiedział. Po wszystkim wróci do swojej starej pracy. Będzie urażony, oczywiście... ale czymże jest jeden człowiek skrzywdzony na pewien czas wobec tysięcy innych, skrzywdzonych na całe życie?

- A jeżeli odmówi?

- To go porwę - stwierdził Dunnet beznamiętnie. - Albo usunę w inny sposób... bezboleśnie, ma się rozumieć. Ale on na to pójdzie. Mam już nawet podpisane świadectwo lekarskie.



- A co z etyką zawodową?

- Kombinacja pięciuset funtów i autentycznego zaświadczenia lekarskiego o szmerach w sercu powoduje, że skrupuły lekarzy topnieją jak śnieg w rzece. Obaj mężczyźni dopili koktajle, wstali i wyszli. Rory na wszelki wypadek odczekał chwilę i poszedł w ich ślady. W kawiarni naprzeciwko Neubauer i Tracchia wstali pośpiesznie, szybko ruszyli za Rorem i dogonili go w pół minuty. Widać było, że chłopak jest zaskoczony.

- Chcemy z tobą pogadać, Rory - zagaił konfidencjonalnie Tracchia. - Potrafisz dochować tajemnicy? Chłopiec był wyraźnie zaintrygowany, jednak wrodzona ostrożność rzadko kiedy go opuszczała.

- A co to za tajemnica?

- Coś ty taki podejrzliwy?

- Co to za tajemnica?

- Johnny Harlow.

- A, to co innego. - Rory natychmiast zapałał chęcią do współpracy. - Oczywiście, że potrafię dochować tajemnicy.

- No to ani mru-mru - rzekł Neubauer. - Ani słowa, bo inaczej wszystko przepadnie. Rozumiesz?

- Oczywiście - potwierdził Rory, choć nie miał nawet bladego pojęcia, o czym mówi Austriak.

- Słyszałeś o Skgp?

- Jasne. Stowarzyszenie Kierowców Grand Prix.

- Właśnie. No więc Skgp postanowiło, że dla naszego bezpieczeństwa, zawodników i widzów, należy skreślić Harlowa z listy kierowców Formuły I. Chcemy, żeby nie miał prawa wstępu na żaden tor w Europie. Wiesz, że on pije?

- Kto nie wie?

- Pije tyle, że stał się najbardziej niebezpiecznym kierowcą w Europie. - Neubauer mówił cicho, konspiracyjnie, przekonywająco. - Nikt nie chce z nim startować. Żaden z nas nie wie, kiedy zostanie następnym Jethou.

- Pan... pan myśli...

- On był wtedy pijany. Dlatego zginął przyzwoity człowiek, Rory... bo ktoś wypił o pół butelki whisky za dużo. Czy twoim zdaniem różni się to czymś od morderstwa?

- Nie, jak Bożę kocham!

- Dlatego też na zlecenie Skgp ja i Nikki mamy zebrać dowody, że Harlow pije. Zwłaszcza przed zawodami. Pomożesz nam?

- Nawet mnie nie musicie prosić.

- Wiemy, chłopcze, wiemy. - Neubauer, w geście pociechy i zrozumienia, położył dłoń na ramieniu Rory'ego. - My też lubimy Mary. Widziałeś w tej kawiarni Harlowa i pana Dunnet. Czy Harlow pił?

- Właściwie to ich nie widziałem. Byłem w sąsiedniej wnie. Ale słyszałem, jak pan Dunnet powiedział coś na temat dżinu i widziałem, jak kelnerka podała im dwie wysokie szklanki z czymś, co wyglądało jak woda.

- Woda! - Tracchia ze smutkiem pokiwał głową. - Ale to jeszcze nie wszystko. Chociaż nie wierzę, żeby pan Dunnet... ba, zresztą kto wie? Słyszałeś, żeby mówili coś na temat alkoholu?

- Pan Dunnet? Z nim też jest coś nie w porządku?

- Na temat pana Dunnet nic nie wiem - odpowiedział Tracchia wymijająco, zdając sobie sprawę, że jest to najlepsza metoda na wzbudzenie zainteresowania Rory'ego. - Ale wracajmy do picia.

- Mówili bardzo cicho. Co nieco usłyszałem, ale niewiele. Nie o picciu. Słyszałem tylko coś o jakiejś zamianie kaset... kaset z filmami, czy czegoś takiego... czegoś, co Harlow dał panu Dunnetowi. Dla mnie to było bez sensu.

- To nas nie interesuje - powiedział Tracchia. - Ale inne sprawy tak. Miej oczy i uszy otwarte, dobrze? Rory, starannie skrywając rozpierające go poczucie ważności, skinął im głową i odszedł. Tracchia i Neubauer spojrzeli po sobie z furią.

- Cwany skurwiel! - syknął Tracchia przez zęby. - Zamienił kasety. Zniszczyliśmy lipny film.

\* \* \*

Wieczorem tego samego dnia Dunnet i Henry siedzieli na uboczu w hallu hotelu Villa-cessni. Dunnet, jak zwykle, miał nieodgadniony wyraz twarzy. Henry sprawiał wrażenie lekko oszołomionego, choć widać było, że jego wrodzony narodowy spryt pracuje pełną parą, dokonując oceny sytuacji i przeglądu sposobów dostosowania się do rozwoju wypadków. Henry za wszelką cenę starał się jednak nie zdradzać ze swoim sprytem.

- Niewątpliwie potrafi pan wykladać karty na stół, panie Dunnet - powiedział, z wyraźną nutą szacunku dla wyższego intelektu. Dunnet zachował całkowitą obojętność.

- Jeżeli przez wykładanie kart na stół rozumiesz zwięzłe i jasne stawianie spraw, Henry, to owszem. Wyłożyłem karty. Więc tak czy nie?

- O Jezus, panie Dunnet, pan nie zostawia człowiekowi wiele czasu do namysłu.

- To chyba nie wymaga namysłu, Henry - powiedział Dunnet cierpliwie. - Tak czy nie? Decyduj się. Staruszek zdusił w sobie przebiegłe spojrzenie.

- A jeżeli nie?

- Jak będzie trzeba, to i z tym damy sobie radę. Henry był wyraźnie nieswój.

- Brzmi to niezbyt zachęcająco, panie Dunnet.

- Tak? A jak to według ciebie brzmi?

- No, hm... pan mnie chyba nie szantażuje, nie grozi mi ani nic takiego? Dunnet wyglądał tak, jakby liczył do dziesięciu.

- Gadasz bzdury, Henry. Przykro mi, ale sam tego chciałeś. Jak można szantażować kogoś, kto prowadzi się tak nienagannie, jak ty? Sam powiedz. A dlaczego miałbym ci grozić? Czym? - zrobił dłuższą przerwę. - Więc tak czy nie? Henry westchnął na znak, że przegrał.

- Tak, do licha. Nie mam nic do stracenia. Zresztą za pięć tysięcy funtów i pracę w naszym garażu w Marsylii sprzedałbym własną babkę, Panie, świeć nad jej duszą.

- To nie będzie konieczne, nawet gdyby było możliwe. Trzymaj tylko język za zębami, to wszystko. Masz tu zaświadczenie od miejscowego lekarza, w którym stwierdza się, że cierpisz na poważne schorzenie serca i nie nadajesz się już do wykonywania ciężkiej pracy, na przykład takiej jak prowadzenie transportera.

- Ostatnio nie czułem się najlepiej, to fakt. Dunnet pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

- Tak też myślałem.

- Czy pan Macalpine wie o tym?

- Dowie się, jak mu powiesz. Pokaż mu tylko to zaświadczenie.

- Myśli pan, że on to kupi?

- Jeżeli chodzi ci o to, czy się zgodzi, to owszem. Nie będzie miał wyboru.

- A można wiedzieć, jaki jest powód tego wszystkiego?

- Nie. Dostajesz pięć tysięcy funtów po to, żeby nie zadawać pytań. I nie gadać. Nigdy i z nikim.

- Zabawny z pana dziennikarz, panie Dunnet.

- Jeszcze jak.

- Mówiono mi, że był pan kiedyś księgowym. Dlaczego pan to rzucił?

- Rozedma płuc - Henry. Wszystko przez te płuca.

- Coś takiego jak z moim sercem?

- W dzisiejszej dobie stresów i wiecznego napięcia, Henry, dobre zdrowie to przywilej dostępny nielicznym. No, idź już lepiej do pana Macalpine'a. Henry odszedł. Dunnet napisał krótką notatkę, zaadresował grubą, wypchaną kopertę, w jej górnym lewym rogu napisał „Ekspres” i „Pilne”, włożył do niej mikrofilm i notatkę i wyszedł z hotelu. Przechodząc korytarzem nie zauważył, że drzwi pokoju sąsiadującego z jego apartamentem są lekko uchylone, a tym bardziej nie zauważył oka, wyglądającego przez wąską szparę w drzwiach. Było to oko Tracchii. Kierowca zamknął drzwi, wyszedł na balkon i pomachał ręką. Na ten znak w oddali jakaś ledwie widoczna postać uniosła dłoń. Tracchia czym prędzej zszedł do hallu, odszukał Neubauera i razem usiedli przy barze, zamawiając coś zimnego do picia. Rozpoznało ich przynajmniej ze dwadzieścia osób, jako że byli nie mniej znani niż sam Harlow, ale zapewnianie sobie połowicznego alibi nie leżało w zwyczaju Tracchii.

- O piątej spodziewam się telefonu z Mediolanu - powiedział do barmana. - Która u pana godzina?

- Dokładnie piąta, panie Tracchia.

- Niech pan da znać telefonistce, że jestem tutaj.

\* \* \*

Najkrótsza droga z hotelu na pocztę prowadziła wąską, dwustumetrową alejką, otoczoną po obu stronach blokami mieszkalnymi i garażami. Nie było na niej widać żywego ducha, z wyjątkiem mężczyzny w kombinezonie, pracującego przed otwartym garażem nad silnikiem samochodu. Dunnet nie zdziwiła ta pustka - ostatecznie była sobota po południu. Mechanik, bardziej na francuską niż włoską modłę, nosił nisko opuszczony na oczy beret, a grube pokłady smaru i oleju dokładnie maskowały rysy jego twarzy. „Taki facet nie utrzymałby się w ekipie Coronado przez pięć sekund - pomyślał Dunnet. - Inna sprawa, że praca nad wozem coronado a mordęga nad zdezelowanym fiatem 600 to dwie różne rzeczy”. Akurat w chwili, gdy Dunnet mijał fiata, mechanik wyprostował się raptownie. Dunnet nieco zboczył z drogi, nie chcąc na niego wpaść, mechanik jednak odepchnął się z całej siły od samochodu i z impetem wyrznął w dziennikarza. Dunnet stracił równowagę, zatoczył się w otwarte drzwi garażu i upadł. Jego drogę ku ziemi przyspieszyli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w maskach z pończochy na twarzach, którzy najwyraźniej nie mieli nabożeństwa dla delikatniejszych metod perswazji. Drzwi garażu zamknęły się za nimi.

\* \* \*

Kiedy Dunnet wrócił do hotelu, Rory czytał komiks, a Tracchia i Neubauer, zapewniwszy sobie

alibi, nadal siedzieli przy barze. Dziennikarz natychmiast ściągnął na siebie uwagę wszystkich obecnych w hallu, ale też nic dziwnego - wpadł przez drzwi, zataczając się jak pijany i trzymając się na nogach wyłącznie dzięki dwóm policjantom, podtrzymującym go z obu stron. Krwawił obficie z ust i z nosa, nerwowo mrugał prawym okiem, nad którym widniała potężna rana, i ogólnie rzecz biorąc, był nieźle pokiereszowany. Tracchia, Neubauer, Rory i recepcjonistka dopadli go niemal równocześnie.

- A cóż się panu stało, na miłość boską? - zapytał Tracchia. Zaskoczenie w jego głosie wspaniale korespondowało z wyrazem jego twarzy. Dunnet spróbował zdobyć się na uśmiech, lecz skrzywił się tylko i zrezygnował.

- Wygląda na to, że ktoś mnie stuknął - wymamrotał niewyraźnie.

- Ale któż... to znaczy... dlaczego, panie Dunnet, dlaczego? - włączył się Neubauer. Jeden z policjantów podniósł rękę i zwrócił się do recepcjonistki:

- Proszę wezwać lekarza. Natychmiast.

- Za minutkę. Nawet szybciej. Mieszka u nas siedmiu lekarzy. - Odwróciła się do Tracchii. - Wie pan, gdzie jest pokój pana Dunnet, panie Tracchia. Gdyby był pan tak dobry i pokazał policjantom...

- Nie trzeba. Zaprowadzimy go na górę z Neubauerem.

- Niestety - wtrącił się policjant. - Będzie nam potrzebne zeznanie... Przerwał, jak większość ludzi, którzy stanęli w obliczu najbardziej onieśmielającej miny z bogatego repertuaru Tracchii.

- Zostawcie tej panię swoje numery służbowe. Zawiadomimy was, jak lekarz pozwoli panu Dunnetowi mówić. Nie wcześniej. Na razie trzeba go natychmiast położyć do łóżka. Zrozumiano? Zrozumieli, skinęli głowami i wyszli bez słowa. Tracchia, Neubauer i Rory, którego zdziwienie przewyższała jedynie obawa, zaprowadzili Dunnet do pokoju. Kiedy kładli go do łóżka, nadszedł lekarz. Był to młody Włoch, który uprzejmie acz zdecydowanie poprosił ich o opuszczenie pokoju.

- Dlaczego ktoś to zrobił panu Dunnetowi? - zapytał Rory na korytarzu.

- Kto wie? - odrzekł Tracchia.

- Na tym świecie, Rory, nie brakuje łajdaków. - Zerknął szybko na Neubauera, tak żeby chłopiec to zauważył. - Złodziei, bandytów, ludzi, którzy wolą kraść i zabijać, niż wziąć się za uczciwą pracę... Zostawmy to lepiej policji.

- To znaczy, że nie zajmiecie się...

- Jesteśmy kierowcami, a nie detektywami, chłopcze - powiedział Neubauer.

- Nie jestem żadnym chłopcem! Niedługo skończę siedemnaście lat! I nie jestem taki głupi. - Rory powściągnął gniew i spojrzał na nich z namysłem. - W tym wszystkim coś mocno śmierdzi.

Założę się, że Harlow maczał w tym palce.

- Harlow? - Tracchia uniósł brew z rozbawieniem, co niezbyt przypadło chłopcu do gustu. - Daj spokój, Rory. Przecież na własne oczy widziałeś go na konfidencjonalnym „tete-a-tete” z Dunnetem.

- No właśnie. Nie wiem, o czym mówili. Słyszałem ich głosy, ale nie rozróżniałem słów. Kto wie, może Harlow mu groził. - Rory przerwał, rozważając swój nowy intrygujący pomysł, i w tej samej chwili zakiełkowało w nim przekonanie. - Oczywiście, że tak było. Harlow mu groził, bo Dunnet szantażował go albo kantował.

- Rory, stanowczo powinieneś przestać czytać te twoje komiksy - zaprotestował Tracchia łagodnie. - Gdyby nawet tak było, to co by mu dało pobicie Dunnetu? On wciąż żyje, prawda? Nadal go może kantować i szantażować, jak sugerujesz. Coś mi się zdaje, Rory, że musisz wymyślić coś lepszego.

- Może właśnie wymyśliłem - odrzekł chłopiec.

- Dunnet powiedział, że pobito go w tej wąskiej alejce prowadzącej do głównej ulicy. Wiecie, co jest na końcu tej alejki? Urząd pocztowy. Możliwe, że Dunnet szedł tam wysłać dowody, które obciążały Harlowa. Może stwierdził, że noszenie tych dowodów przy sobie jest zbyt ryzykowne? Więc Harlow załatwił, żeby Dunnet nie mógł ich wysłać. Neubauer zerknął na Tracchię. Już się nie uśmiechał.

- Jakie dowody, Rory? - zapytał.

- A skąd mam wiedzieć? - Rory był wyraźnie zirytowany. - Przecież dopiero co to wymyśliłem. A może wy dwaj też byście wreszcie ruszyli trochę głową?

- Czemu nie. - Tracchia także spoważniał i popadł w zadumę. - Ale nie rozpowiadaj tego nikomu, mały. Raz, że nie mamy na to cienia dowodu, a dwa, że jest coś takiego jak paragraf mówiący o zniesławieniu.

- Mówiłem wam już, że nie jestem taki głupi - odrzekł Rory zgryźliwie. - Zresztą, wy dwaj też byście wyglądali niespecjalnie, gdyby się rozeszło, że chcecie ruszyć Harlowa.

- Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał - powiedział Tracchia.

- Oho, złe wieści rozchodzą się szybko. Idzie pan Macalpine. Macalpine wszedł po schodach. Jego twarz, znacznie chudsza, za to bardziej porwana zmarszczkami, była teraz posępna i ściągnięta z gniewu.

- Ta historia z Dunnetem to prawda? - zapytał.

- Niestety tak - odparł Tracchia. - Ktoś dał mu niezły wycisk.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Wygląda to na napad rabunkowy.

- Rozbój w biały dzień! Chryste Panie, oto dobrodziejstwa cywilizacji. Kiedy to się stało?

- Chyba nie dalej, jak dziesięć minut temu. Kiedy wychodził z hotelu, siedziałem z Willim w barze. Była dokładnie piąta. Wiem, bo tak się złożyło, że sprawdzałem czas u barmana, czekając na telefon. Jak wrócił, ciągle siedzieliśmy przy barze i na wszelki wypadek sprawdziłem godzinę... pomyślałem, że może się przydać policji. Było dokładnie dwanaście po piątej. Przez ten czas nie mógł zajść daleko.

- Gdzie on teraz jest?

- U siebie.

- To dlaczego wy trzej...

- Jest u niego lekarz. Wyrzucił nas.

- Mnie - oświadczył Macalpine z przekonaniem - nie wyrzuci. Nie wyrzucił. Po pięciu minutach lekarz wyszedł z pokoju Dunneta, a po dalszych pięciu pojawił się Macalpine, który ruszył wprost do swojego pokoju. Kiedy Harlow wrócił do hotelu, Tracchia, Neubauer i Rory siedzieli w hallu przy stoliku pod ścianą. Możliwe, że ich zauważył, ale nie zwracając na nich uwagi, skierował się wprost ku schodom. Raz czy dwa uśmiechnął się lekko w odpowiedzi na niezobowiązujące pozdrowienia i pełne szacunku powitania, lecz poza tym jego twarz była beznamiętna jak zawsze.

- No proszę - odezwał się Neubauer. - Trzeba przyznać, że nasz Johnny nie przejmuje się zbyt wiele życiem.

- Na pewno nie. - Odpowiedź Rory'ego trudno byłoby określić jako warknięcie, ale to tylko dlatego, że jeszcze nie wypracował do końca tej sztuki, choć do pełnego sukcesu niewiele mu już brakowało. - Śmierć też go chyba specjalnie nie martwi. Założę się, że gdyby chodziło o jego własną babkę...

- Rory! - Tracchia przerwał mu, podnosząc rękę. - Za bardzo cię ponosi wyobraźnia. Stowarzyszenie Kierowców Grand Prix to bardzo szacowne towarzystwo. Mamy, jak to się mówi, poważanie u społeczeństwa, i nie chcemy go stracić. Jasne, że się cieszymy, że jesteś po naszej stronie, ale takie gadanie może tylko zaszkodzić wszystkim zainteresowanym. Rory wykrzywił się do nich, wstał i odszedł sztywnym krokiem.

- Mam wrażenie, Nikki, że nasz młody podrzegacz niedługo doświadczy najbardziej bolesnych chwil w swoim życiu - powiedział Neubauer niemal ze smutkiem w głosie.

- To mu nie zaszkodzi - skwitował Tracchia. - Nam zresztą też nie. Przepowiednia Neubauera spełniła się zadziwiająco szybko.

\* \* \*

Harlow zamknął za sobą drzwi i spojrzął na leżącego na łóżku Dunnetta, którego twarz - pomimo starannej i fachowej pomocy lekarskiej - wyglądała tak, jakby jej właściciel przed kilkoma minutami miał ciężki wypadek drogowy. Spoza siniaków i plastrów wyzierały jedynie szwy na czole i górnej wardze, dwa razy większy niż zwykle nos oraz zamknięte prawe oko we wszystkich kolorach tęczy. Były to dostateczne dowody niedawnych przeżyć Dunnetta. Harlow niedbale cmoknął ze współczuciem, zrobił dwa szybkie kroki w stronę drzwi i otworzył je na oścież. Rory dosłownie wpadł do pokoju i wyciągnął się jak długi na marmurowej posadzce hotelu Villa-cessni. Harlow bez słowa pochylił się i złapał chłopaka za czarne kręcone włosy, stawiając go na nogi. Rory nic nie powiedział, jedynie z głębi serca wydał przeszywający krzyk bólu. Harlow chwycił chłopaka za ucho i - wciąż milcząc - zaprowadził go korytarzem do pokoju Macalpine'a. Zapukał do drzwi i wszedł do środka, wciągając Rory'ego za sobą. Po zrozpaczonej twarzy chłopca płynęły łzy bólu. Leżący na łóżku Macalpine uniósł się na łokciu. Oburzenie szefa Coronado z powodu tak okrutnego traktowania jego syna przewyższał jedynie fakt, że to Harlow tak go traktował.

- Wiem, że nie jestem w Coronado w specjalnych łaskach - odezwał się Harlow. - Wiem też, że to pański syn. Ale jeżeli jeszcze raz złapię tego szczeniaka, jak podsłuchuje pod moimi drzwiami, to naprawdę zdrowo mu przyłożę. Macalpine spojrzął na Harlowa, na swojego syna, i z powrotem na kierowcę.

- Nie do wiary. Zupełnie nie do wiary. - W jego matowym głosie nie było ani cienia przekonania.

- Nie interesuje mnie, czy pan mi wierzy, czy nie. - Harlow nieco się uspokoił, a kamienna maska wróciła na jego twarz. - Ale wiem, że uwierzy pan Alexisowi Dunnetowi. Niech go pan spyta. Byłem właśnie u niego w pokoju, kiedy chyba zbyt nieoczekiwanie dla naszego przyjaciela otworzyłem drzwi. Tak się do nich przyciskał, że poleciał na podłogę. Pomogłem mu wstać. Za włosy. Dlatego płacze. Macalpine popatrzył na syna w niezbyt ojcowski sposób.

- Czy to prawda? Rory przetarł rękawem oczy, spoglądając posępnie na czubki butów i przezornie nic nie mówiąc.

- Zostaw go mnie, Johnny. - Macalpine nie sprawiał wrażenia kogoś szczególnie rozgniewanego czy zmartwionego, po prostu był wymęczony. - Przepraszam, jeśli odniosłeś wrażenie, że wątpię w twoje słowa. Nie wątpię. Harlow skinął głową, wrócił do pokoju Dunnetta i zamknął drzwi na klucz. Następnie, pod baczny spojrzeniem dziennikarza, zaczął starannie przeszukiwać pokój. Po kilku minutach wyraźnie niezadowolony wszedł do łazienki, odkręcił wodę pod prysznicem i wrócił do pokoju, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Nawet najbardziej czuły mikrofon ma kłopoty z czystym wyłapaniem głosu ludzkiego przez szum płynącej wody. Harlow bez zwłoki przeszukał ubranie, które Dunnet miał na sobie w chwili napadu. Odłożył je i spojrzął na porwaną koszulę dziennikarza i biały ślad, pozostawiony na jego opalonym nadgarstku przez pasek od zegarka.

- Nie przyszło ci czasem do głowy, Alexis, że twoja działalność wzbudza w pewnych kręgach niezadowolenie i że ktoś cię próbuje zastraszyć?

- Zabawne. Zabawne jak jasna cholera. - Dunnet, co rozumiałe, mówił tak ochryple i



niewyraźnie, że w jego przypadku stosowanie jakiegokolwiek zabezpieczenia przed podsłuchem było całkowicie zbyteczne. - To dlaczego mnie nie zastraszyli nieodwracalnie?

- Tylko głupiec zabija bez potrzeby. A to nie byli głupcy. Choć z drugiej strony kto wie, co jeszcze może się zdarzyć? No proszę. Portfel, drobne, zegarek, spinki, nawet twoje pół tuzina długopisów i kluczyki do samochodu... wszystko zniknęło. Wygląda to na robotę zawodowców, nie sądzisz?

- Idź do diabła. - Dunnet splunął krwią w chusteczkę. - Najważniejsze, że kasetka zniknęła. Harlow zawahał się i chrząknął nieśmiało.

- Powiedzmy, że zniknęła jakaś kasetka. Jediną względnie całą częścią twarzy Dunnetta było jego prawe, podbite oko. Po chwili zaskoczenia dziennikarz skorzystał z tego, łypiąc na Harlowa podejrzliwie.

- O czym ty gadasz, do ciężkiej cholery? Johnny wpatrywał się w przestrzeń.

- Jak by ci to powiedzieć, Alexis, przykro mi trochę z tego powodu, ale kasetka, o którą chodzi, znajduje się w hotelowym sejfie. Ta, którą mają teraz nasi przyjaciele - ta, którą ci dałem - to była tylko przynęta. Dunnet, którego nieliczne widoczne skrawki twarzy spurpurowiały ze złości, spróbował usiąść, lecz Harlow łagodnie acz stanowczo ułożył go z powrotem.

- No, no, Alexis - zaprotestował. - Tylko sobie nie zrób krzywdy. Następnej. Mieli na mnie oko, więc musiałem oczyścić się z podejrzeń, bo byłbym skończony. Bóg mi świadkiem, że nie przypuszczałem, że cię spotka coś takiego. - Zamilkł na chwilę. - Teraz już jestem czysty.

- Nie bądź tego taki pewny. - Dunnet opadł na poduszki, lecz jego gniew opaść nie zamierzał.

- Jestem pewny. Po wywołaniu tej rolki stwierdzą, że zawiera ona mikrofilmy... około stu szkiców prototypu silnika z napędem turbo. Dojdą do wniosku, że jestem takim samym przestępcą jak oni, tyle że moja działka to szpiegostwo przemysłowe, więc nie zachodzi konflikt interesów. Stracą całe zainteresowanie moją osobą. Dunnet spojrzał na niego przybitym wzrokiem.

- Spryciarz z ciebie, szkoda gadać.

- I owszem. - Harlow podszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się. - Zwłaszcza na koszt innych.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 7

Następnego dnia w boksach Coronado ciężko wzdychający Macalpine i mocno pokiereszowany Dunnet prowadzili cichą, lecz natarczywą sprzeczkę. Na twarzach obu mężczyzn malowała się troska. Macalpine nawet nie próbował ukryć rozsadzającej go wściekłości.

- Ależ człowieku, butelka jest całkiem pusta! Wyszuszona do ostatniej kropelki. Dopiero co sprawdziłem. Chryste Panie, przecież nie mogę pozwolić, żeby wyjechał na tor i znów kogoś zabił!

- Jeżeli go zatrzymasz, to będziesz musiał podać prasie powód. Wywołasz sensację, w świecie sportu wybuchnie z tego skandal dziesięciolecia. Johnny'ego to wykończy. Zawodowo, ma się rozumieć.

- Lepiej go wykończyć zawodowo, niż żeby on miał wykończyć kogoś naprawdę.

- Daj mu dwa okrążenia - doradził Dunnet. - Jak będzie prowadził, to go zostaw. Na takiej pozycji nikogo nie zabije. Jak nie, to go ściągnij z toru. Dla prasy coś się wysmaży. A zresztą, pamiętasz, czego dokonał wczoraj po takiej samej ilości?

- Wczoraj miał szczęście. A dziś...

- Dziś już jest za późno. Nawet z odległości ponad stu metrów ryk dwudziestu czterech silników samochodów wyścigowych, ruszających z szachownicy startowej, działał obezwładniająco, niemal druzgocąco, zarówno przez zaskoczenie, jak i przez rozsadzające uszy natężenie dźwięku. Macalpine i Dunnet spojrzeli po sobie i jednocześnie wzruszyli ramionami. W tej sytuacji nie widzieli bardziej stosownego komentarza czy reakcji. Pierwszym kierowcą, który minął boksy z lekką przewagą nad Nicolo Tracchią, był Harlow w swoim jasnozielonym coronado. Macalpine odwrócił się do Dunnetu.

- Jedna jaskółka nie czyni wiosny - powiedział. Po dalszych ośmiu okrążeniach Macalpine zaczął powątpiewać w swoją znajomość ornitologii. Sprawiał wrażenie lekko zaszokowanego. Dunnet zajęty był unoszeniem brwi. Twarz Jacobsona nie wyrażała specjalnego zachwyty, Rory zaś, choć mężnie starał się nic po sobie nie pokazywać, siedział zdecydowanie naburmuszony. Tylko Mary bez żadnych zahamowań ujawniała swoje prawdziwe uczucia. Wręcz promieniała.

- Trzy razy pobił rekord toru - powiedziała z niedowierzaniem.

- Trzy rekordy na osiem okrążeń! Pod koniec dziewiątego okrążenia uczucia ludzi w boksach Coronado zmieniły się radykalnie. Jacobson i Rory z trudem skrywali radość. Mary z niepokojem ogryzała ołówek. Macalpine wyglądał jak chmura gradowa, spoza której wyzierał głęboki lęk.

- Czterdzieści sekund straty! - warczał. - Czterdzieści sekund! Wszyscy już przejechali, a jego nie ma jeszcze nawet na widoku! Cóż mu się mogło stać, na miłość boską?

- Zadzwoń do stanowisk kontroli sędziowskiej? - zapytał Dunnet. Macalpine skinął głową. W pierwszych dwóch punktach kontroli Dunnet niczego się nie dowiedział i właśnie dzwonił po raz

trzeci, gdy na widoku pojawiło się jasnozielone coronado. Harlow zjechał do boksów. Wydawało się, że samochód jest w doskonałym stanie, czego jednak nie można było powiedzieć o samym kierowcy, który wysiadł z wozu i zdjął kask i gogle. Oczy miał mętne i przekrwione. Popatrzył na ludzi z ekipy i rozłożył ręce. Drżały niewątpliwie.

- Przepraszam. Musiałem zjechać na pobocze o milę stąd. Wszystko widziałem podwójnie. Nie miałem pojęcia, dokąd jadę. Na dobrą sprawę wciąż jeszcze nie widzę tak, jak trzeba.

- Przebieraj się! - Oschłość głosu Macalpine'a zaskoczyła wszystkich. - Jedziemy do szpitala. Harlow zawahał się, jakby chciał się odezwać, ale wzruszył tylko ramionami i odszedł.

- Nie zaprowadzisz go chyba do lekarza dyżurnego? - powiedział cicho Dunnet.

- Wezmę go do mojego przyjaciela. To znany okulista, ale nie tylko. Chcę, żeby wykonał dla mnie pewną analizę, której na torze nie mógłbym zrobić dyskretnie i bez rozgłosu.

- Badanie krwi? - Dunnet zadał pytanie spokojnie, niemal ze smutkiem.

- Właśnie, jedno cholerne badanie krwi.

- I to będzie koniec drogi naszej supergwiazdy?

- Koniec drogi.

\* \* \*

Jak na kogoś, kto miał wszelkie powody przypuszczać, że oto dobiegł kres jego zawodowej kariery, Harlow, siedząc spokojnie na krześle w korytarzu szpitala, wydawał się dziwnie bez troski. O dziwo, palił papierosa, którego trzymał w dłoni tak pewnej, jakby wyrzeźbionej z marmuru. W zamyśleniu spoglądał na drzwi po drugiej stronie korytarza. Za tymi drzwiami, James Macalpine, z mieszaniną niedowierzania i konsternacji na twarzy, patrzył na siedzącego po drugiej stronie biurka mężczyznę - starszego, brodatego lekarza o dobrotliwej twarzy.

- Niemożliwe - oświadczył Macalpine stanowczo. - To absolutnie niemożliwe. Chcesz mi wmówić, że w jego krwi nie ma alkoholu?

- Możliwe czy nie, jest tak, jak mówię. Mój kolega, który w tych sprawach ma duże doświadczenie, właśnie powtórzył próbę. Ten chłopak ma we krwi tyle alkoholu, co odwieczny abstynent. Macalpine potrząsnął głową.

- Niemożliwe - powtórzył. - Profesorze, ja mam dowód...

- Dla nas, lekarzy, nie ma rzeczy niemożliwych. Szybkość, z jaką poszczególni osobnicy spalają alkohol, różni się niewiarygodnie. Taki młody człowiek jak ten tam, w korytarzu, najwyraźniej w dobrej formie...

- Ale jego oczy! Sam przecież widziałeś jego oczy! Mętne, przekrwione...

- W tym wypadku można by podać dziesięć różnych powodów.

- A dlaczego widział podwójnie?

- Mnie się wydaje, że z jego oczami jest wszystko w porządku. W tej chwili trudno powiedzieć, na ile dobrze widzi. Zawsze istnieje możliwość, że oczy są całkiem zdrowe, ale nastąpiło uszkodzenie nerwu wzrokowego. - Lekarz powstał. - Wyrywkowe badanie jest tu niewystarczające, w tym przypadku potrzebna będzie cała seria testów, nawet kilka serii. Ale to niestety nie teraz... jestem już spóźniony. Czy mógłby tu zajrzeć wieczorem, około siódmej? Macalpine odparł, że tak, podziękował i wyszedł. Podchodząc do Harlowa obrzucił wzrokiem papierosa w jego dłoni, samego kierowcę, i znów papierosa, ale nic nie powiedział. W milczeniu wyszli ze szpitala, wsiedli do astona Macalpine'a i ruszyli w stronę Monza. Po pewnym czasie Harlow przerwał nieprzyjemną ciszę.

- Jako głównemu zainteresowanemu powinien mi pan chyba powtórzyć, co stwierdził lekarz - odezwał się uprzejmie.

- Jeszcze nie jest pewny - warknął Macalpine. - Chce przeprowadzić serię testów. Pierwszy będzie dziś wieczorem, o siódmej.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - rzekł Harlow. Macalpine zerknął na niego podejrzliwie.

- A to co ma znaczyć?

- Pół kilometra dalej jest szerokie pobocze. Proszę tam stanąć. Chcę panu coś powiedzieć.

\* \* \*

Tego samego dnia o siódmej wieczorem, kiedy Harlow miał zameldować się w szpitalu, Dunnet siedział w apartamencie Macalpine'a. Atmosfera w pokoju była zdecydowanie pogrzebowa. Obaj mężczyźni trzymali wielkie szklanki whisky.

- O Jezu! - jęknął Dunnet. - Tak po prostu? Powiedział, że mu wysiadły nerwy, że wie, że jest skończony, i że chciałby zerwać kontrakt?

- Dokładnie tak. Bez owijania w bawełnę, jak sam się wyraził. Bez oszukiwania... szczególnie siebie samego. Bóg jeden wie, ile to go musiało, biedaka, kosztować.

- A co z whisky? Macalpine przypomniał sobie o swojej szklance, łyknął nieco trunku i westchnął ze smutkiem.

- Ubawiło go to, naprawdę. Powiedział, że nie cierpi tego świństwa i że jest szczęśliwy, że więcej nie będzie miał powodu do picia. Tym razem to Dunnet sięgnął po szklankę.

- A co z nim teraz będzie? Nie zapominam o tym, ile cię to kosztowało, James... straciłeś najlepszego kierowcę na świecie. Ale teraz bardziej mnie niepokoi Johnny.

- Mnie też. Ale co ja mogę zrobić? Co mam zrobić?

\* \* \*

Tymczasem człowiek, który był przyczyną zatroskania Dunnetta i Macalpine'a, wykazywał daleko posuniętą bez troskę. Jak na centralną postać największego załamania kariery w historii sportu samochodowego, Johnny Harlow wydawał się niebywale radosny. Poprawiając krawat przed lustrem w swoim apartamencie, pogwizdywał fałszywie, przerywając co chwila, by uśmiechnąć się do własnych, prywatnych myśli. Nałożył kurtkę, wyszedł z pokoju i zszedł do hallu. Zamówił w barze oranżadę i usiadł z nią przy stoliku. Nim jeszcze zdążył pociągnąć pierwszy łyk, nadeszła Mary i usiadła koło niego.

- Johnny! - szepnęła, ściskając jego dłonie. - Och, Johnny! Harlow popatrzył na nią ze smutkiem w oczach.

- Tata właśnie powiedział mi o wszystkim - ciągnęła. - Och, Johnny, co my teraz zrobimy?

- My? Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, po czym oderwała wzrok i wyszeptała:

- Stracić dwóch najlepszych przyjaciół w ciągu jednego dnia... - Oczy miała suche, za to głos pełen łez.

- Twoich dwóch... kogo masz na myśli?

- Myślałam, że wiesz. - Teraz już łzy spłynęły po jej policzkach. - Henry ma poważne kłopoty z sercem. Musi odejść.

- Henry? Moja ty kochana. - Harlow uściśnął jej dłonie, wpatrując się w przestrzeń. - Biedny stary Henry. Ciekaw jestem, co teraz ze sobą pocznie?

- Z tym nie ma problemu. - Pociągnęła nosem. - Tata zatrudni go w Marsylii.

- No, to pewnie wszystko się ułoży... On zresztą już się nie nadawał do tej roboty. Przez kilka sekund Harlow siedział w milczeniu, głęboko zadumany, po czym poklepał Mary po dłoniach.

- Mary, kocham cię. Poczekaaj tu na mnie, dobrze? Wracam za chwilę. Minutę później stał w pokoju Macalpine'a. Był tam także Dunnet, który z najwyższym trudem hamował gniew. Macalpine, wyraźnie strapiony, bez przerwy kręcił głową.

- Za żadną cenę - oponował. - W żadnym wypadku. Nie, nie, i jeszcze raz nie! Absolutnie wykluczone. Dzisiaj mistrz świata, a jutro kierowca transportera... Człowieku, staniesz się pośmiewiskiem całej Europy!

- Bardzo możliwe - przyznał Harlow. Mówił spokojnie, bez śladu gorczy w głosie. - Ale to nic w porównaniu z tym, co by się działo, gdyby ludzie znali prawdziwy powód mojej decyzji, panie Macalpine.

- Panie Macalpine? A to co znowu? Dla ciebie, mój chłopcze, zawsze byłem i jestem James.

- Teraz już nie. Może pan przecież wyjaśnić, że mam kłopoty ze wzrokiem, oświadczyć, że zostałem zaangażowany w charakterze konsultanta. Co w tym dziwnego? A zresztą potrzebuje pan kierowcy transportera. Macalpine nieodwołalnie potrząsnął głową.

- Johnny Harlow nie będzie prowadził żadnego z moich transporterów, i kropka. - Zasłonił twarz rękami. Harlow spojrzał na Dunnet, który ruchem głowy wskazał mu drzwi. Kierowca wyszedł z pokoju. Dunnet milczał przez kilka sekund. Po chwili odezwał się, starannie dobierając słowa:

- Na mnie też możesz postawić krzyżyk, James. Muszę się z tobą pożegnać. Z przyjemnością będę wspominał każdą minutę naszej współpracy... z wyjątkiem ostatniej. Macalpine oderwał rękę od twarzy, powoli uniósł głowę i spojrzał na dziennikarza ze zdziwieniem.

- Psiakrew, a to co znowu ma znaczyć?!

- Dokładnie to, co powiedziałem. To chyba jasne? Za bardzo sobie cenię własne zdrowie, żeby tu zostać i dostawać mdłości na każde wspomnienie tego, co przed chwilą zrobiłeś. Ten chłopak żyje tylko wyścigami, to jedyne, na czym on się zna, a dzięki tobie nie ma już dla niego miejsca na świecie. Chciałbym ci tylko przypomnieć, że w ciągu ostatnich czterech lat stajnia Coronado z głębin zapomnienia wyszła na sam szczyt, stając się najbardziej cenionym i odnoszącym największe sukcesy zespołem Formuły I, a wszystko to wyłącznie dzięki jednej, jedynej rzeczy... niepowtarzalnemu geniuszowi tego chłopca, któremu właśnie przed chwilą pokazałeś drzwi. To nie ty, James, nie ty, lecz Johnny Harlow stworzył Coronado. No, ale ty nie możesz sobie przecież pozwolić na porażkę... a on już do niczego nie jest ci potrzebny, więc go spisujesz na straty. Mam nadzieję, że dobrze będzie pan dziś spał, panie Macalpine. Bo i czemu nie? Ma pan wszelkie powody do zadowolenia z siebie. Ruszył do drzwi.

- Alexis - powiedział cicho Macalpine. W oczach miał łzy. Dunnet odwrócił się.

- Jeżeli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w ten sposób, to skręcę ci ten twój wredny kark. Jestem zmęczony, zmordowany jak cholera, i przed obiadem chcę się trochę przespać. Idź, powiedz mu, że może sobie wziąć każdą posadę w Coronado, jaką tylko chce... choćby i moją.

- Wybacz, proszę - powiedział Dunnet. - Zachowałem się jak cham. Ale bardzo ci dziękuję, James.

- Już nie „panie Macalpine”?

- Szef Coronado uśmiechnął się lekko.

- Powiedziałem: „dziękuję, James”. Uśmiechnęli się do siebie. Dunnet wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi, i zszedł do hallu, gdzie Harlow i Mary siedzieli obok siebie, z nietkniętymi napojami przed sobą. Dunnet zamówił w barze koktajl, dołączył do Johnny'ego i Mary i uniósł szklanekę.

- Za najszybszego kierowcę transportera w Europie - powiedział z uśmiechem. Harlow nie tknął swojej szklanki.

- Nie jestem w nastroju do żartów, Alexis.

- Pan James Macalpine nagle i radykalnie raczył zmienić zdanie - oświadczył Dunnet radośnie. - Jego ostatnie słowa brzmiały: „Idź, powiedz mu, że może sobie wziąć każdą posadę w Coronado, jaką tylko chce... choćby i moją”. Harlow potrząsnął głową.

- Na miłość boską, Johnny, przecież bym cię nie nabierał. Harlow ponownie potrząsnął głową.

- Nie wątpię w to, co mówisz, Alexis. Po prostu jestem zaskoczony. Jak ci się, u licha, udało... a zresztą, może to i lepiej, że nie wiem. - Uśmiechnął się lekko. - Nie sądzę, żebym chciał objąć posadę pana Macalpine'a.

- Och, Johnny! - Mary miała łzy w oczach, ale nie były to łzy smutku, nie na tak rozpromienionej twarzy. Wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek. Harlow był lekko zaskoczony, ale bynajmniej nie speszony.

- Cała moja dziewczyna - powiedział Dunnet z aprobatą. - Ostatnie długie pożegnanie z najszybszym kierowcą ciężarówki w Europie. Mary spojrzała na niego.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Transporter wyrusza dziś do Marsylii. Ktoś go musi poprowadzić, a zwykle robi to chyba kierowca.

- Do licha! - rzekł Harlow. - Całkiem o tym zapomniałem. Już teraz?

- Jak zwykle. Zdaje się, sprawa jest pilna. Myślę, że powinieneś zobaczyć się z Jamesem. Harlow skinął głową, wstał i poszedł do swojego pokoju. Przebrał się w ciemne spodnie, marynarski golf i skórzaną kurtkę, po czym udał się na rozmowę z Macalpine'em. Zastał go wyciągniętego na łóżku, bladego i zdecydowanie wymizerowanego.

- Przyznam się, Johnny - powiedział milioner - że tę decyzję podjąłem głównie we własnym interesie. Tweedledum i Tweedledee to dobrzy mechanicy, ale nie potrafią poprowadzić nawet taczek. Jacobson wyjechał już do Marsylii, załatwić wszystkie sprawy związane z załadunkiem. Zdaję sobie sprawę, że to wielka prośba, ale muszę mieć na jutro w południe numer czwarty, nowy model „X” i zapasowy silnik na torze treningowym w Vignolles... dostaliśmy ten tor tylko na dwa dni. Wiem, że to kawał drogi i że złapiesz tylko parę godzin snu, jeżeli w ogóle ci się to uda. Będziesz musiał przystąpić do załadunku w Marsylii o szóstej rano.

- Świetnie. A co mam zrobić ze swoim samochodem?

- Ha! Jesteś jedynym kierowcą transportera w Europie, posiadającym własne ferrari. Jutro rano Alexis weźmie mojego astona, a ja osobiście odprowadzę tę twoją zardzewiałą kupę żelastwa do Vignolles. Potem będziesz musiał zabrać swoje ferrari do naszego garażu w Marsylii i je tam

zostawić. Obawiam się, że na dobre.

- Rozumiem, panie Macalpine.

- Panie Macalpine, ciągle ten pan Macalpine! Jesteś pewien, Johnny, że to jest to, co chciałbyś robić?

- Jak najbardziej. Harlow zszedł do hallu i stwierdził, że Mary i Dunneta już tam nie ma. Wrócił na górę i znalazł dziennikarza w jego pokoju.

- Gdzie Mary? - zapytał.

- Wyszła na spacer.

- Cholernie zimno jak na spacer.

- Wątpię, żeby w obecnym stanie mogło jej być zimno - stwierdził Dunnet sucho. - Zdaje się, że to się nazywa euforia. Widziałeś się ze starym?

- Tak. Stary, jak go nazywasz, rzeczywiście się starzeje. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy przybyło mu z pięć lat.

- Raczej dziesięć. To chyba zrozumiałe, skoro jego żona tak nagle zniknęła. Może gdybyś sam stracił kobietę, która przez dwadzieścia pięć lat była twoją żoną...

- On stracił o wiele więcej.

- Co masz na myśli?

- Sam nie wiem. Stracił nerwy, pewność siebie, energię, całą wolę walki i zwycięstwa. - Harlow uśmiechnął się. - Ale jeszcze w tym tygodniu zwrócimy mu te dziesięć lat.

- Nie znam bardziej aroganckiego i pewnego siebie drania niż ty - stwierdził Dunnet z podziwem w głosie. Nie doczekał się odpowiedzi, więc westchnął i wzruszył ramionami.

- Ale żeby zostać mistrzem świata trzeba mieć chyba trochę zaufania do siebie. Co teraz?

- Jadę. Po drodze wezmę z hotelowego sejfu ten drobiazg i dostarczę go naszemu przyjacielowi na ulicy St. Pierre... zdaje się, że to dużo pewniejszy sposób niż wyprawa na pocztę. Co byś powiedział na wizytę w barze, żeby się przekonać, czy nikt się mną nie interesuje?

- Dlaczego ktokolwiek miałby się tobą interesować? Oni już mają właściwą kasetę... a raczej tak sądzą, co w sumie na jedno wychodzi.

- Bardzo możliwe. Ale jest równie możliwe, że lichy im coś podszepta, jak zobaczą, że odbieram z hotelowego sejfu kopertę, rozdieram ją, wydaję kasetę z filmem, kopertę wyrzucam, a kasetę oglądam i wkładam do kieszeni. Wiedzą, że już raz zostali wykiwani. Daję głowę, że liczą się



z tym, że po raz drugi zostali wystawieni do wiatru. Przez dłuższą chwilę Dunnet gapił się na Harlowa z niedowierzaniem. Gdy się w końcu odezwał, jego głos był ledwie cichym szeptem:

- Ty się nie prosisz o kłopoty. Sam sobie zbijasz sosnową trumnę.

- Dla mistrzów świata robią tylko z najprzedniejszego dębu. Ze złotymi uchwyty. No, idziemy. Zeszli razem do hallu. Dunnet skierował się do baru, a Harlow ruszył do recepcji. Podczas gdy Dunnet wodził wzrokiem dookoła, Harlow odebrał kopertę, otworzył ją i wyciągnął kasetę, którą zbadał uważnie, nim schował ją do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. Wracając z recepcji na pozór przypadkowo minął się z dziennikarzem, który rzucił cicho:

- Tracchia. Mało mu oczy nie wyskoczyły. Pognał do najbliższego telefonu. Harlow w milczeniu kiwnął głową, wyszedł przez drzwi obrotowe i zatrzymał się, gdy drogę zastąpiła mu jakaś postać w skórzanym płaszczu.

- Co tu robisz, Mary? - zapytał. - Zimno jak diabli.

- Chciałam się tylko pożegnać.

- Mogłaś to zrobić w środku.

- Tak, ale jestem skryta z natury.

- A zresztą jutro mnie przecież zobaczysz. W Vignolles.

- Naprawdę, Johnny? Naprawdę?

- Oho! Następna, która nie wierzy, że potrafię prowadzić samochód.

- Nie dowcipkuj, Johnny, bo nie jestem w nastroju do żartów! Czuję się chora. Mam okropne przecucie, że stanie się coś straszego. Tobie.

- To przez tę twoją góralską krew - rzucił Harlow niefrasobliwie. - Dar jasnowidzenia. Ale wiedz, że tacy prorocy mylą się niemal w stu procentach, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha.

- Nie śmieję się ze mnie, Johnny. - W jej głosie zabrzmiały łzy. Otoczył ją ramieniem.

- Śmiać się z ciebie? Z tobą, to tak, ale z ciebie - nigdy.

- Wróć do mnie, Johnny.

- Zawsze będę do ciebie wracał, Mary.

- Co takiego? Co powiedziałaś, Johnny?

- Takie małe przejęzyczenie. - Uścisnął ją, cmoknął szybko w policzek i przepadł w zapadających ciemnościach.

\*\*\*

## ROZDZIAŁ 8

Gigantyczny transporter Coronado, którego olbrzymia sylwetka obrysowana była co najmniej dwiema dziesiątkami świateł po bokach i z tyłu, nie wspominając już o czterech potężnych reflektorach, pędził z łoskotem przez ciemność po niemal zupełnie pustych szosach. Rozwijał szybkość, która bez wątpienia nie znalazłaby uznania u włoskiej drogówki, gdyby jej patrole stały gdzieś po drodze. Ale nie stały. Harlow wybrał autostradę prowadzącą do Turynu, następnie skręcił na południe do Cuneo i podjeżdżał pod Col de Tende - tę przerażającą górską przełęcz, szczytem której biegnie tunel, stanowiący granicę włosko-francuską. Strone podjazdy oraz na pozór nie kończące się serie morderczych wiraży po obu stronach tego tunelu powodują, że jest to chyba najbardziej niebezpieczna i najtrudniejsza trasa w Europie. Nawet jazda samochodem osobowym, w biały dzień i przy dobrych warunkach drogowych, wymaga tam od kierowcy maksymalnej koncentracji, toteż prowadzenie olbrzymiego transportera na granicy przyczepności, i to podczas deszczu, który właśnie zaczął padać, było przedsięwzięciem ryzykownym ponad wszelką miarę. Dla niektórych było to zresztą nie tylko ryzykowne, lecz także nad wyraz męczące. Dwaj rudzi mechanicy, z których jeden siedział skulony na składanym krzeselku obok Harlowa, a drugi leżał na wąskiej ławie za przednimi siedzeniami, mimo krańcowego wyczerpania nigdy w życiu nie byli równie dalecy od zaśnięcia. Jechali przerażeni, spoglądając po sobie wylęknionym wzrokiem lub zamykając oczy, gdy wściekle rozkołysany samochód brał poślizgiem następujące jeden po drugim wiraże. Gdyby wypadli z drogi, to nie skończyłoby się zderzeniem z czymś na poboczu - zwaliliby się w przepaść, której głębokość nie rokowała żadnych nadziei na przeżycie. Bliźniacy zaczęli rozumieć, dlaczego Henry nie został kierowcą Formuły I. Jeżeli nawet Harlow zdawał sobie sprawę z ich stanu ducha, to nie dał tego po sobie poznać. Ciałem i duszą skoncentrowany był na prowadzeniu ciężarówki i na obserwacji drogi przed sobą. Tracchia i spółka wiedzieli już, że ma on przy sobie kasety z filmem, i Harlow ani przez chwilę nie łudził się, że pozwolą mu ją zatrzymać. Tyle że miejsca i celu ataku mógł się jedynie domyślać. Pnąc się w górę serpentyny prowadzącej na szczyt Col de Tende, transporter stanowił znakomity cel dla zamachowców. Harlow był święcie przekonany, że jego prześladowcy, kimkolwiek byli, mieli stałą siedzibę w Marsylii, a zatem nie odważą się wejść w konflikt z prawem włoskim. Był także pewny, że od wyjazdu z Monza nikt go nie śledził. Niewykluczone, że nawet nie wiedzieli, jaką wybrał trasę. Może czekali, aż zbliży się do ich siedziby, lub nawet do niej dojedzie. Z drugiej jednak strony, musieli brać pod uwagę i taką możliwość, że pozbędzie się kasety gdzieś po drodze... Takie rozważania prowadziły donikąd, były bezcelowe. Harlow przestał więc rozpatrywać ewentualne możliwości, wybił je sobie z głowy, i skupił się na prowadzeniu, jednocześnie napinając wszystkie zmysły na wypadek niebezpieczeństwa. Wjechali jednak na szczyt Col bez żadnych przygód, uporali się z włoskimi i francuskimi celnikami, i ruszyli w dół zdradliwą serpentyną po drugiej stronie tunelu. Dojeżdżając do La Giandola Harlow zawahał się. Mógł wybrać drogę na Ventimiglia, tym samym korzystając z nowej autostrady biegnącej na zachód wzdłuż Riwiery, albo krótszą, za to bardziej krętą szosę prowadzącą wprost do Nicei. Biorąc pod uwagę, że jadąc przez Ventimiglia musiałby jeszcze dwukrotnie spotykać się z włoskimi i francuskimi celnikami, wybrał krótszą trasę. Do Nicei dojechał bez przeszkód, następnie autostradą przez Cannes dotarł do Tuluzy i skręcił na szosę N-#8 do Marsylii. Mniej więcej dwadzieścia mil za Cannes, koło wioski Beausset, stało się to, czego się od dłuższego czasu spodziewał. Pokonując zakręt, zauważył o jakieś ćwierć mili przed sobą cztery światła, dwa stałe i dwa ruchome. Ruchome światła, w kolorze czerwonym, przesuwały się jednostajnym ruchem po dziewięćdziesięciostopniowym łuku, jak gdyby ktoś nimi ręcznie poruszał. Gwałtowna zmiana

brzmienia silnika, gdy Harlow zredukował bieg, poderwała drzemiących bliźniaków niemal na równe nogi, w samą porę, by - sekundę po Harlowie - zdążyli odczytać napisy na dwóch nieruchomych reflektorach, zapalających się na przemian: na jednym widniał napis „Stop”, na drugim - „Policja”. Za reflektorami stało kilku mężczyzn, z których dwaj blokowali szosę. Harlow, nisko pochylony nad kierownicą, zmrużył oczy. Nagle podjął decyzję, przesunął idealnie zgraną rękę i nogę, i po raz drugi nastąpiła zmiana w brzmieniu silnika, gdy potężny diesel przeszedł na niższy bieg. Na wprost ciężarówki dwie czerwone lampy przestały się kiwać. Dla tych, którzy je trzymali, jedno było oczywiste - transporter zwalniał, żeby się zatrzymać. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed blokadą Harlow wcisnął pedał gazu do samej podłogi. Wcześniej już przeszedł na bieg, który zapewniał najlepsze przyspieszenie transportera, a teraz, zwiększając obroty silnika, coraz szybciej zbliżał się do reflektorów na szosie. Dwaj mężczyźni, trzymający czerwone światła, ocknęli się i błyskawicznie uskoczyli na bok, gdy zaświtało im wreszcie, że kierowca ciężarówki nie ma najmniejszego zamiaru stanąć. Na twarzach Tweedledum i Tweedledee malowało się identyczne uczucie - zabarwione niedowierzaniem przerażenie. Twarz Harlowa nie wyrażała niczego - beznamiętnie obserwował majaczące w ciemności postacie ludzi, którzy jeszcze przed chwilą z pewnością siebie stali na środku szosy, a teraz w popłochu uskakiwali na pobocze. Nawet wciąż narastający ryk silnika Diesla nie zagłuszył brzęku tłuczonego szkła i zgrzytu miazdżonego metalu, kiedy transporter przetoczył się po reflektorach, ustawionych na środku szosy. Po przejechaniu dalszych dwudziestu metrów ludzie w ciężarówce usłyszeli dolatującą z tyłu serię głuchych, matowych dźwięków, które ustały, gdy rozkołysany transporter wszedł w ostry zakręt. Harlow dwa razy zmienił biegi, przechodząc na najwyższy. Wydawał się zupełnie beztroski, czego jednak nie można było powiedzieć o bliźniakach.

- Bój się Boga, Johnny! - szepnął Tweedledum napiętym głosem. - Czyś ty zwariował? Przecież trafimy do pudła! Człowieku, to była blokada policyjna!

- Blokada policyjna bez policyjnych wozów, motocykli i mundurowych. Ciekaw jestem, w jakim to celu litościwa Bozia dała wam po parze oczu na twarz.

- Ale te znaki policyjne... - zaczął Tweedledee.

- Oszczędzę wam uśmiešku politowania, ale nie przemęczajcie sobie mózgow - powiedział Harlow z kurtuazją. - Chciałbym wam tylko zwrócić uwagę na pewien drobiazg, mianowicie, że francuska policja nie nosi masek, tak jak ci na szosie, ani nie używa pistoletów z tłumikami.

- Pistoletów z tłumikami? - wykrzyknęli bliźniacy jednocześnie.

- Słyszeliście chyba ten stukot z tyłu? Jak wam się zdaje, co oni robili... rzucali w nas kamieniami?

- No to kto... - bąknął Tweedledum.

- Bandyci. W tych stronach to wielce poważany zawód. - Harlow miał nadzieję, że to szkalowanie znanych z uczciwości mieszkańców Prowansji będzie mu kiedyś wybaczone. Nie potrafił skomponować na poczekaniu czegoś bardziej sensownego, ale też nie musiał - bliźniacy byli wprawdzie znakomitymi mechanikami, jednak, z gruntu łatwowierni, wierzyli ochoczo w wszystko,

co mówili im ludzie takiego kalibru, jak Harlow.

- A skąd wiedzieli, że akurat tędy będziemy przejeżdżać?

- Znikąd. - Harlow improwizował na oczekaniu. - Zwykle są w kontakcie radiowym z czujkami, wystawionymi na szosie o jakiś kilometr od nich w obu kierunkach. My też pewnie minęliśmy taką czujkę. I jak przejeżdża jakiś rokujący niezłe widoki obiekt, na przykład taki jak nasze pudło, to po paru sekundach mają już ustawioną blokadę na szosie i biorą się do roboty.

- Zacofane te żabojady - zauważył Tweedledum.

- No nie? Nawet jeszcze nie wpadli na pomysł obrabiania pociągów. Bliźniacy ponownie zapadli w drzemkę. Harlow nadal był czujny i napięty. Nie było po nim widać ani śladu zmęczenia. Po kilku minutach ujrzał we wstecznym lusterku parę silnych, szybko zbliżających się reflektorów. Przemknęło mu przez myśl, że może powinien zjechać na środek szosy i zablokować ją, na wypadek, gdyby pasażer czy pasażerowie samochodu byli wrogo nastawieni, ale natychmiast porzucił ten pomysł. Zawsze przecież mogli poszatkować kulami opony transportera, co było nadzwyczaj skutecznym sposobem zatrzymania ciężarówki. Pasażerowie samochodu nie przejawiali jednak wrogich zamiarów, choć wydarzyło się coś zastanawiającego. Wyprzedzając transporter, kierowca samochodu zgasił wszystkie światła swojego wozu i zapalił je ponownie dopiero wtedy, gdy oddalił się dobre sto metrów od Harlowa. Przez ten czas prowadził korzystając z reflektorów transportera. Kiedy zapalił światła, był już zbyt daleko, żeby Harlow mógł odczytać jego numery rejestracyjne. Kilka sekund później Harlow zobaczył następną parę silnych świateł, zbliżających się z jeszcze większą prędkością. Tym razem kierowca samochodu nie zgasił reflektorów wyprzedzając Harlowa, i nic dziwnego - był to bowiem wóz policyjny, z włączoną syreną i migającym niebieskim światłem na dachu. Harlow uśmiechnął się z zadowoleniem, a wyraz błogiego oczekiwania wciąż gościł na jego twarzy, kiedy po przejechaniu następnej mili delikatnie naciskał na hamulec. Na poboczu drogi stał wóz policyjny z migającym światłem na dachu. Tuż obok stał następny samochód, a jeden z policjantów, z notesem w rękę, indagował kierowcę przez otwarte okno. Cel tej indagacji nie budził żadnych wątpliwości - z wyjątkiem autostrad, dopuszczalna prędkość na drogach Francji wynosi sto dziesięć kilometrów na godzinę, a tymczasem kierowca zatrzymanego samochodu wyprzedzając transporter rozwijał co najmniej sto pięćdziesiąt. Harlow zjechał na lewą stronę szosy, omijając stojące pojazdy, zwolnił i odczytał numery rejestracyjne zatrzymanego samochodu: Pniik.

\* \* \*

W Marsylii, podobnie jak i w innych wielkich miastach, są miejsca warte obejrzenia oraz takie, których nie sposób zaliczyć do tej kategorii, położone zwłaszcza w północno-zachodniej części: zapuszczone, niegdyś podmiejskie tereny o przemysłowym charakterze, których typowym przykładem była rue Gerard. Określenie: „szkaradna” zakrawałoby może w stosunku do niej na przesadę, niemniej była to ze wszech miar nieatrakcyjna ulica, niemal w całości zajęta przez małe fabryczki i wielkie garaże. Mniej więcej w połowie jej długości stał największy na tej ulicy budynek - monstrualna konstrukcja z cegły i stali. Nad olbrzymimi metalowymi drzwiami rzucało się w oczy jedno, jedyne słowo: „Coronado”. Jadąc po wybojach rue Gerard Harlow nie sprawiał wrażenia kogoś, kto przejmuje się niemiłym dla oka widokiem, jaki się przed nim roztacza. Obaj bliźniacy chrapali donośnie. Kiedy Harlow podjechał do garażu i zaczął ustawiać transporter do wjazdu,

brama podjechała w górę, a w środku pomieszczenia zapaliły się światła. Był to przepastny garaż, o wymiarach dwadzieścia pięć metrów na piętnaście. Wydawało się, że jest stary jak świat, był jednak dobrze utrzymany i - na ile to możliwe - czysty. Z prawej strony, pod ścianą, stały obok siebie trzy samochody coronado Formuły I, a dalej, na specjalnych stojakach, leżały trzy charakterystyczne silniki V-#8 firmy Ford-cosworth. Najbliżej drzwi, po tej samej stronie, stał czarny Citroen Ds-#21. Lewą stronę garażu zajmowały bogato wyposażone warsztaty, a w głębi ustawiono wysokie na chłopa stopy skrzyń z częściami zapasowymi i oponami. Sufit przecinały wzdłuż i w szerz dźwigary, za pomocą których przesuwano silniki i ładowano je na transportery. Harlow bez kłopotu wprowadził transporter do garażu i zatrzymał się dokładnie pod głównym dźwigarem. Wyłączył silnik, potrząsnął śpiącymi bliźniakami i zeskoczył na podłogę, gdzie czekał już na niego Jacobson. Główny mechanik nie był specjalnie zachwycony widokiem Harlowa, ale swoją drogą on rzadko kiedy był zachwycony. Spojrzał na zegarek i odezwał się z niechęcią w głosie:

- Druga w nocy. Szybko poszło.

- Pusta szosa. Co teraz?

- Spać. Tuż za rogiem mamy starą willę. Żaden luksus, ale od biedy ujdzie. Rano zaczynamy załadunek... to znaczy po zakończeniu rozładunku. Pomogą nam dwaj tutejsi mechanicy.

- Jacques i Harry?

- Oni wyjechali. - Jacobson był jeszcze bardziej zgorzkniały niż zwykle. - Powiedzieli, że się stęsknili za domem. Oni zawsze tęsknią za domem. Jak im się praca wydaje za ciężka. Ci dwaj nowi to Włosi. Nawet nie najgorsi. Dopiero teraz Jacobson zauważył tył transportera.

- A co to znowu, do ciężkiej cholery? - warknął.

- Ślady po kulach. Próbowali napaść na nas po tej stronie Tulonu, ale spartaczyli robotę.

- A po kiego diabła ktoś miałby na was napadać? Na co komu dwa coronado?

- Na nic. Może mieli złe informacje. Takimi ciężarówkami przewozi się zwykle transporty whisky i papierosów. Ładunki po milion, dwa miliony franków... coś, co już warto rąbnąć. A zresztą, nic się w końcu nie stało. Kwadrans klepania i lakierowania i będzie jak nowy.

- Rano zawiadomię policję - powiedział Jacobson. - W świetle prawa francuskiego niezgłoszenie takiego wypadku traktowane jest jak przestępstwo. Inna sprawa - dorzucił z goryczą - że i tak guzik to da. Czterej mężczyźni wyszli z garażu. Po drodze Harlow obojętnie rzucił okiem na czarnego citroena i odczytał numer na tablicy rejestracyjnej: Pniik.

\* \* \*

Jak to trafnie ujął Jacobson, stara willa za rogiem nie była szczytem luksusu, ale można było się zgodzić, że ujdzie. Od biedy. Harlow usiadł na krześle pod ścianą skąpo umeblowanego pokoju, którego całe wyposażenie, oprócz wąskiego łóżka i kawałka zniszczonego linoleum, stanowiło jeszcze jedno krzesło, spełniające także rolę nocnego stolika. W oknach położonej na parterze

sypialni nie było zasłon, a jedynie cienka druciana siatka. Harlow nie zapalił światła, korzystając z wpadającego do pokoju słabego blasku licznych latarni. Uchylił siatkę w oknie i wyjrzał na zewnątrz. Obskurna wąska uliczka, w porównaniu z którą rue Gerard mogła uchodzić za autostradę, była całkowicie wyludniona. Zerknął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki stały na drugiej piętnaście. Nagle przekręcił głowę, nasłuchując z uwagą. To pewnie tylko wyobraźnia, pomyślał. A może ten dźwięk to cichy odgłos kroków w korytarzu? Bezszelestnie podszedł do łóżka i położył się. Nic nie zaskrzypiało, jako że za całe łożo służył siennik o długiej i zapewne niezbyt chlubnej przeszłości. Harlow sięgnął pod poduszkę z tego samego rocznika co siennik i wyciągnął skórzaną pałkę. Nasunął pętlę na prawy nadgarstek i schował rękę pod poduszkę. Uchyliły się drzwi. Oddychając równo i głęboko, Harlow minimalnie otworzył oczy. W drzwiach majaczyła jakaś postać, ale rozpoznanie jej nie wchodziło w rachubę. Johnny leżał bez ruchu, całkowicie odprężony, jak gdyby spał głęboko. Po kilku sekundach intruz zamknął drzwi równie ukradkowo, jak je otworzył, a wyostrzony słuch Harlowa podchwycił cichy odgłos oddalających się kroków. Kierowca usiadł, zdziwiony, z wahaniem pocierając policzek. Wstał z łóżka i zajął punkt obserwacyjny przy oknie. Mężczyzna, w którym bez trudu rozpoznał teraz Jacobsona, wyszedł właśnie z willi. Przeszedł na drugą stronę ulicy, a jednocześnie zza rogu wyjechał mały ciemny renault i zatrzymał się niemal dokładnie naprzeciwko. Jacobson nachylił się i powiedział coś do kierowcy, który wysiadł z samochodu. Nieznajomy zdjął ciemny płaszcz, zwinął go starannie, położył na tylnym siedzeniu auta i poklepał się po kieszeniach, sprawdzając, czy niczego nie zapomniał. Z jego ruchów przebijała złowróżbna pewność siebie. Skinął głową Jacobsonowi i przeszedł przez jezdnię. Mechanik odszedł. Harlow wrócił do łóżka i położył się, zwrócony głową do okna. Lekko uchylił powieki. Pod poduszką trzymał skórzaną pałkę. Wkrótce w oknie ujrzał niewyraźną, oświetloną od tyłu postać mężczyzny, który zaglądał do pokoju. Człowiek ten uniósł prawą rękę i spojrzał na trzymany w niej przedmiot. Harlow nie widział rysów jego twarzy, ale w wypadku tego przedmiotu nie miał najmniejszych wątpliwości: był to wielki, niesympatyczny pistolet. Na oczach Harlowa nieznajomy odciągnął bezpiecznik, Johnny zaś ujrzał długi, cylindryczny przedmiot przykręcony do lufy: tłumik - coś, co miało uciszyć huk wystrzału na ułamek sekundy, a Harlowa na zawsze. Mężczyzna zniknął. Johnny żwawo wyskoczył z łóżka. W porównaniu z pistoletem, pałka ma raczej niewielki zasięg działania. Przeszedł przez pokój i oparł się o ścianę jakieś pół metra od drzwi, od strony zawiasów. Przez całe długie dziesięć sekund, które nawet Harlowa przyprawiły o dreszczyk emocji, panowała absolutna cisza. Następnie w korytarzu cicho skrzypnęła deska w podłodze - nikt nie zatroszczył się o wyposażenie willi w puszyste dywany. Klamka opadła w dół, milimetr po milimetrze, po czym wróciła do poprzedniej pozycji, a drzwi, gładko i delikatnie, zaczęły się otwierać. Luka między drzwiami a futryną powiększała się, aż osiągnęła jakieś trzydzieści centymetrów. W tym momencie drzwi zatrzymały się. Przez szparę wsunęła się czyjaś głowa. Intruz miał szczupłą, śniadą twarz, przyлизane czarne włosy i cieniutkie jak kreska wąsy. Harlow oparł cały ciężar ciała na lewej nodze, uniósł prawą i z całej siły kopnął piętą w drzwi, tuż poniżej zamka, z którego wcześniej ktoś przezornie wyciągnął klucz. Rozległ się stłumiony dźwięk - ni to chrząknięcie, ni okrzyk bólu. Gwałtownym szarpnięciem Johnny otworzył drzwi na oścież i do pokoju wpadł niski, ubrany w czarny garnitur mężczyzna. Obie dłonie - w prawej wciąż jeszcze trzymał pistolet - przyciskał do zalanej krwią twarzy. Nos miał niewątpliwie złamany, natomiast ocenę stanu jego kości policzkowych i zębów można było odłożyć na bardziej dogodny moment. Harlowa to zresztą nie interesowało. Jego twarz nie wyrażała cienia żalu. Zamachnął się i niezbyt łagodnie opuścił pałkę tuż powyżej prawego ucha intruza. Mężczyzna jęknął i opadł na kolana. Johnny wyjął pistolet z bezwładnej dłoni i wolną ręką zrewidował leżącego. Mężczyzna nosił u pasa nóż, od którego ochoczo go uwolnił. Piętnastocentymetrowy sztylet miał

dwustronne ostrze, jakiego nie powstydziliby się brzytwa, zakończone ostrym jak igła szpicem. Harlow ostrożnie schował go do kieszeni kurtki, lecz zmienił zdanie, wyciągnął nóż, a na jego miejsce schował pistolet. Zanurzył dłoń w tłustych włosach mężczyzny i dźgnął go nożem w plecy, aż ostrze przebiło skórę.

- Wychodź! - polecił. Mając swój własny nóż wciśnięty w kręgosłup, niedoszły zabójca Harlowa nie miał wielkiego wyboru. Dwaj mężczyźni wyszli z willi i podeszli do czarnego renaulta. Harlow wepchnął Włocha na przednie siedzenie, a sam usiadł z tyłu.

- Jazda! - warknął. - Na policję!

- Ja nie prowadzić - wyjąkał mężczyzna stłumionym głosem. Harlow sięgnął po pałkę i rąbnął go z podobną co poprzednim razem siłą, tyle że za lewym uchem. Mężczyzna opadł ciężko na kierownicę.

- Jazda! - powtórzył Johnny. - Na policję! Pojechali, jeżeli akrobatyczne wyczyny Włocha za kierownicą można było nazwać jazdą. Harlow nigdy w życiu nie odbył równie męczącej, zwariowanej przejażdżki. Nie dość, że facet był prawie nieprzytomny, to jeszcze musiał prowadzić jedną ręką, puszczając kierownicę przy zmianie biegów, ponieważ drugą dłonią przyciskał zakrwawioną chusteczkę do zmasakrowanej twarzy. Na szczęście ulice były puste, a komisariat oddalony zaledwie o dziesięć minut jazdy. Harlow na wpół wepchnął, na wpół wtaszczył nieszczęsnego Włocha do komisariatu, niezbyt łagodnie rzucił go na ławę i podszedł do biurka, przy którym stali dwaj potężnie zbudowani mundurowi o jowialnym wyglądzie. Jeden z nich był w stopniu inspektora, drugi - sierżanta. Zaskoczeni, z wyraźnym zainteresowaniem przyglądali się człowiekowi na ławie, który - kompletnie załamany - przyciskał obie ręce do zalanej krwią twarzy.

- Chcę złożyć zażalenie na tego człowieka - powiedział Johnny.

- Mnie się zdaje, że to raczej on powinien złożyć zażalenie na pana - odparł inspektor uprzejmie.

- Proszę, oto moje personalia - rzekł Harlow, wyjmując paszport i prawo jazdy, ale inspektor machnął ręką, nie patrząc na dokumenty.

- Nawet policjantom pańska twarz jest bardziej znana niż twarz jakiegokolwiek przestępcy w Europie. Zdawało mi się jednak, panie Harlow, że specjalizuje się pan w wyścigach, a nie w boksie. Sierżant, który z zainteresowaniem przyglądał się Włochowi, dotknął ramienia inspektora.

- No proszę - odezwał się. - Czy to aby nie nasz stary znajomy Luigi Złota Rączka we własnej osobie? Chociaż trochę ciężko go poznać. - Spojrzał na Harlowa. - W jaki sposób zawarł pan taką znajomość?

- Złożył mi wizytę. Żałuję, że nie obeszło się bez użycia siły.

- Wszelkie przeprosiny są tu nie na miejscu - wtrącił inspektor. - Luigi powinien dostawać baty regularnie, najlepiej raz na tydzień. Ale to lanie pozostanie mu chyba w pamięci przez ładnych parę



miesiący. Czy to było, hm... konieczne? Bez zbędnych słów Harlow wyciągnął z kieszeni nóż i pistolet i położył je na blacie biurka. Inspektor pokiwał głową.

- Przy swojej przeszłości dostanie co najmniej pięć lat. Oczywiście wniesie pan skargę?

- Proszę to zrobić za mnie. Mam pilną sprawę do załatwienia. Wpadnę później, jeśli mi się uda. Nawiasem mówiąc, nie sądzę, żeby Luigi zamierzał mnie okraść. On przyszedł mnie zabić. Chciałbym się dowiedzieć, na czyje polecenie.

- Da się załatwić, panie Harlow. - Ponury, zaszępiiony wyraz twarzy inspektora nie wróżył Luigiemu nic dobrego. Harlow podziękował, wyszedł i wszedł do renaulta. Bez najmniejszych skrupułów pożyczzył sobie samochód Luigiego - ostatecznie właściciel nie miał go używać przez dłuższy czas. Luigiemu droga z willi na komisariat zabrała dziesięć minut, Johnny pokonał ją w niecałe cztery. Trzydzieści sekund później zaparkował pięćdziesiąt metrów od wielkich zwijanych drzwi garażu Coronado. Były zamknięte, lecz po obu stronach przeświecały pasma światła. Kwadrans później Harlow zeszywniał i pochylił się. Otworzyły się małe drzwiczki wbudowane w główną bramę i na ulicę wyszło czterech ludzi. Nawet przy symbolicznym oświetleniu rue Gerard, Harlow bez trudu rozpoznał Jacobsona, Neubauera i Tracchię. Czwartego mężczyzny nie znał - przypuszczalnie był to jeden z mechaników Jacobsona. Jacobson pozostawił innym zamykanie drzwi i szybko ruszył w stronę willi. Mijając Harlowa po drugiej stronie ulicy, nawet na niego nie spojrzał - na ulicach Marsylii spotyka się przecież tysiące małych czarnych renaultów. Pozostali trzej mężczyźni zamknęli drzwi, wsiedli do citroena i odjechali. Samochód Harlowa oderwał się od krawężnika i ruszył za nimi ze zgaszonymi światłami. Nie wyglądało to na jakiś pościg - ot, po prostu dwa samochody, jadące powoli przedmieściami miasta, w dyskretnej odległości od siebie. Tylko raz Harlow został w tyle i zapalił światła - gdy ujrzał nadjeżdżający z przeciwka samochód policyjny. Nie miał jednak kłopotów z nadrobieniem straconego dystansu. Wkrótce wyjechali na szeroki, otoczony drzewami bulwar w zamożnej dzielnicy. Po obu stronach widać było wielkie wille, schowane za wysokimi ceglanyymi murami. Citroen skręcił za róg. Piętnaście sekund później Harlow uczynił to samo i natychmiast zapalił światła. Mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów przed nim citroen zatrzymał się przed jakąś willą, a jeden z pasażerów - Tracchia - wysiadł już z wozu i z kluczem w ręku podchodził do bramy. Harlow skręcił, omijając stojący samochód dokładnie w chwili, gdy Tracchia otworzył bramę na oścież. Dwaj pozostali pasażerowie citroena nie zwrócili uwagi na mijającego ich renaulta. Harlow skręcił w pierwszą napotkaną przecznicę i zaparkował. Wysiadł z samochodu, włożył ciemny płaszcz Luigiego i postawił wysoko kołnierz. Wrócił na bulwar, przyjrzał się na rogu tabliczce z nazwą ulicy - rue Georges Sand - i skierował się do willi, do której wjechał citroen. Nazywała się „Pustelnia”, co Harlow uznał za nazwę ze wszech miar nieadekwatną. Posiadłość otaczał wysoki na trzy metry mur, najeżony na szczycie odłamkami szkła. Brama była równie wysoka, zakończona ostrymi kolcami. Sama willa leżała jakieś dwadzieścia metrów za bramą - staromodny budynek o nieciekawej architekturze, przeładowany balkonami. Spoza zasłon w oknach na parterze i na piętrze przebijało światło. Harlow ostrożnie nacisnął klamkę u bramy. Bez skutku. Rozejrzał się, sprawdzając, czy bulwar jest pusty, po czym wyciągnął spory pęk kluczy. Obejrzał zamek w bramie, obejrzał klucze, wybrał jeden z nich i wypróbował. Pasował od razu. Harlow włożył klucze do kieszeni i odszedł. Piętnaście minut później zaparkował renaulta na małej, wyludnionej alejce. Wszedł na schody prowadzące z chodnika do domu, nim jednak doszedł do drzwi, te otworzyły się i zażywny siwowłosy staruszek, ubrany w chiński szlafrok, zaprosił go do

środku. Pokój, do którego wprowadził Harlowa, przypominał skrzyżowanie laboratorium elektronicznego z ciemnią fotograficzną. Był zapchany, wręcz zagracony, supernowoczesną aparaturą o wielce naukowym wyglądzie. Stały tam także dwa fotele. Staruszek wskazał Johnny'emu jeden z nich.

- Wprawdzie Alexis Dunnet mnie uprzedził, ale zjawiasz się o nader kłopotliwej porze - odezwał się. - Proszę, siadaj.

- Przyszedłem w nader kłopotliwej sprawie, Giancarlo, i nie mam czasu siadać. - Harlow wyciągnął kasetę z filmem i podał ją gospodarzowi. - Ile czasu zajmie ci wywołanie tego i zrobienie powiększeń wszystkich odbitek?

- Ile?

- Klutek? - spytał Harlow. Giancarlo skinął głową. - Mniej więcej sześćdziesiąt.

- Cóż za skromna prośba - parsknął Giancarlo z sarkazmem.

- Będą gotowe dziś po południu.

- Jean-Claude jest pod ręką?

- A co, jakiś szyfr? - zainteresował się Giancarlo. Harlow potwierdził. - Tak, jest w mieście. Zobaczą, co się da załatwić. Harlow wyszedł. Wracając do swojej willi zastanawiał się, co począć z Jacobsonem. Było pewne, że pierwsze, co Jacobson zrobi po powrocie do willi, to sprawdzi jego, Harlowa, pokój. Nieobecność kierowcy go nie zaskoczy - żaden znający się na swojej robocie płatny morderca nie zostawiłby zwłok w pokoju sąsiadującym z sypialnią zleceniodawcy. Na terenie samej Marsylii i dookoła niej znajdowały się całe hektary wody, a nietrudno było skombinować trochę ołowiu, jeżeli się wiedziało, gdzie szukać. Luigi Złota Rączka wyglądał na takiego, co to nie musiałby szukać zbyt długo. Jacobsona i tak pewnie czekał atak serca, bez względu na to, czy spotkałby się z Harlowem teraz, czy dopiero o umówionej porze, to jest o szóstej rano. Gdyby jednak Johnny pojawił się dopiero o szóstej, to Jacobson, który był podejrzliwy jak wszyscy diabli, momentalnie zacząłby się zastanawiać, co takiego Harlow wyczyniał przez całą długą noc. A więc lepiej spotkać się z Jacobsonem teraz. W takim razie nie miał wyboru. Kiedy wchodził do willi, Jacobson akurat zbierał się do wyjścia. Johnny z zainteresowaniem obejrzał sobie dwie rzeczy: wielki pęk kluczy, zwisający z dłoni Jacobsona - najwyraźniej mechanik wybierał się do garażu, żeby po cichu skontrolować robotę swoich kolegów - oraz wyraz najwyższego zdumienia na twarzy mechanika, który w pierwszej chwili musiał odnieść wrażenie, że duch Harlowa przyszedł się mścić. Jacobson był jednak twardy i nadzwyczaj szybko otrząsnął się z szoku.

- Jest czwarta nad ranem, do ciężkiej cholery! - warknął. W jego napiętym, przesadnie donośnym głosie słychać było ślady przeżytego szoku. - Gdzieżeś się włóczył, psiakrew?!

- Nie jesteś moją niańką, Jacobson.

- A jestem, jestem, żebyś wiedział. Teraz ja jestem twoim szefem, Harlow. Czekałem na ciebie

całą godzinę, wybierałem się już na policję.

- No proszę, to by dopiero była ironia losu. Właśnie stamtąd wracam.

- Co... co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co mówię. Właśnie przekazałem policji jednego gościa, który zjawił się u mnie po nocy z nożem i pistoletem. Nie sądzę, żeby chciał mi opowiedzieć bajkę na dobranoc. Ale fachman to z niego nietęgi. Teraz leży pewnie w łóżku... w szpitalnym łóżku, pod dobrą opieką policji.

- Wejdz - powiedział Jacobson.

- Musisz mi o tym opowiedzieć. W pokoju Johnny zrelacjonował swoje nocne poczynania, na tyle, na ile uznał za wskazane, po czym zakończył:

- O Jezu, ale jestem skonany. Za moment padnę. Znowu objął wartość przy oknie, na swoim spartańskim krześle. Niecałe trzy minuty później na ulicy pojawił się Jacobson, wciąż z pękiem kluczy w ręku, i skierował się na rue Gerard, prawdopodobnie zmierzając do garażu Coronado. Harlow nie znał jego zamiarów, ale też w tym momencie zupełnie go nie interesowały. Wyszedł z domu i pojechał renaultem Luigiego w przeciwną stronę niż poszedł Jacobson. Minął cztery przecznice i skręcił w wąską alejkę. Zgasił silnik, upewnił się, że drzwi samochodu są zamknięte od środka, nastawił budzik w zegarku na piątą czterdzieści pięć i ułożył się do snu. Jako miejsce, gdzie miałby złożyć swą strudzoną głowę, willa Coronado wzbudzała w nim silną i nieodwracalną awersję.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 9

Świtało już, kiedy Harlow i obaj bliźniacy wchodzili do garażu Coronado. Jacobson czekał na nich w towarzystwie nie znanego im mechanika. Obaj, zdaniem Harlowa, wyglądali mniej więcej tak, jak on sam się czuł.

- Zdawało mi się, że mówiłeś coś o dwóch pomocnikach? - odezwał się Johnny.

- Jeden się nie stawił - odrzekł pośepnie Jacobson. - Jak przyjdzie, to wyleci. No, jazda, trzeba rozładować transporter i załadować go na nowo. Kiedy Harlow wyprowadzał transporter na rue Gerard, sponad dachów domów wychodziło już poranne słońce, zapowiadające deszcz po południu.

- W drogę - powiedział Jacobson. - Będę w Vignolles kilka godzin po was. Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia. Harlow darował sobie zupełnie naturalne pytanie o charakter tych spraw. Po pierwsze wiedział, że cokolwiek usłyszy, będzie to kłamstwo. Po drugie zaś znał odpowiedź: Jacobson odbędzie pilną naradę z kamratami w „Pustelni” na rue Georges Sand i powiadomi ich o tym, co spotkało Luigiego Złotą Rączkę. Skinął więc tylko głową i odjechał. Ku nieopisanej uldze obu bliźniaków, droga do Vignolles nie była powtórzeniem jeżdżącej włosy na głowie jazdy z Monza do Marsylii. Harlow prowadził niemal statecznie. Miał czas, a poza tym wiedział, że zmęczenie wydatnie obniżyło jego zdolność koncentracji. W dodatku godzinę po ich wyjeździe z Marsylii zaczął padać deszcz, z początku lekki, potem coraz silniejszy, który drastycznie ograniczał widoczność. Mimo to dotarli do celu o jedenastej trzydzieści. Harlow zatrzymał transporter w połowie drogi między trybunami a wielkim, przypominającym schronisko górskie budynkiem, i wysiadł. Bliźniacy poszli za jego przykładem. Nadal padał deszcz, niebo było silnie zachmurzone. Harlow rozejrzał się po szarym, opustoszałym torze w Vignolles, przeciągnął się i ziewnął.

- Nie ma to jak dom. Boże, ależ jestem skonany. I głodny. Chodźcie, zobaczymy, co tu dają w kantynie. W kantynie nie dawali nic specjalnego, ale wszyscy trzej byli zbyt wygłodniali, żeby narzekać. Kiedy siedzieli przy stole, powoli zaczęli się schodzić klienci, głównie pracownicy toru. Wszyscy znali Harlowa, jednak prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi. Harlow podszedł do tego obojętnie. O dwunastej odsunął krzesło i ruszył do wyjścia. Właśnie sięgał do klamki, kiedy drzwi otworzyły się i weszła Mary. Ona z nawiązką wynagrodziła mu powszechny brak zainteresowania. Uszczęśliwiona, z uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała go z całej siły. Harlow chrząknął i rozejrzał się po kantynie - zainteresowanie jego osobą nagle wyraźnie wzrosło.

- Zdawało mi się, że jesteś z natury skryta.

- Tak. Ale ja każdego ściskam. Wiesz przecież.

- Tak? No, to bardzo dziękuję. Potarła swój policzek.

- Jesteś niechlujny, brudny i nie ogolony.

- A jaki mam być, skoro nie widziałem wody ani zyletki od dwudziestu czterech godzin? Uśmiechnęła się.

- Pan Dunnet chce się z tobą zobaczyć, Johnny. W domu... nie wiem, czemu nie chciał przyjść do kantyny.

- Na pewno ma swoje powody. Może nie chce się pokazywać w moim towarzystwie... Zmarszczyła nos z niedowierzaniem i wyszła z Harlowem na deszcz. Wzięła go pod rękę.

- Tak się bałam, Johnny - szepnęła. - Tak strasznie się bałam.

- Miałaś prawo - oświadczył Harlow uroczyście. - Taka wyprawa transporterem do Marsylii i z powrotem to ryzykowna misja, że ho, ho.

- Johnny...

- No już, przepraszam. Pobiegli przez deszcz do domu, weszli po drewnianych schodach i wpadli przez werandę do hallu. Kiedy znaleźli się w środku, Mary objęła Harlowa i pocałowała. Nie był to, bynajmniej, siostrzany pocałunek. Johnny zamrugał ze zdziwieniem, ale nie wzbraniał się.

- Ale tego nie robię z nikim - powiedziała Mary.

- Z ciebie jest lepsza kokietka.

- A, owszem. Taka mała, urocza kokietka.

- Właśnie, właśnie... Na szczycie schodów stał Rory, obserwując całą tę scenę. Krzywił się niemiłosiernie, miał jednak dosyć oleju w głowie, by zniknąć błyskawicznie, gdy Mary i Harlow odwrócili się i ruszyli ku schodom. Rory wciąż jeszcze dobrze pamiętał swoje ostatnie bolesne spotkanie z kierowcą. Dwadzieścia minut później, ogolony i wykąpany, lecz nadal zmęczony, Harlow stał w pokoju Dunnet. Relacja, którą zdał dziennikarzowi, była krótka i zwięzła, ale zawierała wszystko, co trzeba.

- Co teraz? - zapytał Dunnet.

- Biorę ferrari i pędzę do Marsylii. Wpadnę do Giancarla obejrzeć zdjęcia, a potem pojedę złożyć kondolencje Luigiemu Złotej Rączce.

- Myślisz, że będzie śpiewał?

- Jak kanarek. Jeżeli będzie gadał, to policja zapomni o jego pistolecie i nożu, co zaoszczędzi mu pięciu lat szycia toreb dla listonoszy, łupania kamieni w kamieniołomach, czy czegoś podobnego. Luigi nie zrobił na mnie wrażenia najszlachetniejszego z Rzymian.

- A czym tu potem wrócisz?

- Ferrari.

- Ale James powiedział...

- Że mam je zostawić w Marsylii? Zostawię je na tej opuszczonej farmie po drodze. Dziś w nocy będzie mi potrzebne. Wybieram się do „Pustelni”. Aha, i potrzebna mi broń. Przez piętnaście nieskończenie długich sekund Dunnet siedział bez ruchu, nie patrząc na Harlowa, po czym wyciągnął spod łóżka maszynę do pisania, postawił ją pionowo i zdjął dolną ściankę. Była wyłożona filcem, a pod nią znajdowało się sześć par zacisków na sprężynach, przytrzymujących dwa pistolety samopowtarzalne, dwa tłumiki i dwa zapasowe magazynki. Harlow wyjął mniejszy pistolet, tłumik i jeden zapasowy magazynek. Nacisnął zwalniacz magazynka w pistolecie, sprawdził stan amunicji i włożył magazynek z powrotem. Wszystkie te trzy przedmioty schował do wewnętrznej, zapinanej na suwak kieszeni kurtki, i bez słowa opuścił pokój. Kilka sekund później stał już u Macalpine'a. Szeł Coronado był szary na twarzy, wyraźnie chory, lecz postawienie diagnozy było fizyczną niemożliwością.

- Odjeżdżasz? - zapytał. - Jesteś pewnie całkiem wykończony.

- Odczuję to dopiero jutro rano. Macalpine wyrzwał przez okno. Lało jak z cebra. Odwrócił się do kierowcy.

- Nie zazdroszczę ci tej jazdy do Marsylii - powiedział. - Ale prognozy zapowiadają, że wieczorem się przejaśni. Wtedy rozładujemy transporter.

- Odnoszę wrażenie, że chce mi pan coś powiedzieć...

- To prawda. - Macalpine zawahał się. - Podobno całowałeś moją córkę?

- Wierutne kłamstwo. To ona całowała mnie. Nawiasem mówiąc, pewnego pięknego dnia spiorę tego pańskiego chłopaka.

- Masz moje najszczęśliwsze błogosławieństwo - odparł Macalpine zmęczonym głosem. - A jak tam twoje zamiary wobec mojej córki?

- Nic mi o nich nie wiadomo. Chociaż ona na pewno ma jakieś zamiary wobec mnie. Johnny wyszedł i w korytarzu dosłownie wpadł na Rory'ego. Spojrzeli na siebie - Harlow z namysłem w oczach, Rory z przestrawieniem.

- Oho! Znów podsłuchujemy. To prawie tak dobre jak szpiegowanie, co, Rory?

- Co? Ja miałbym podsłuchiwać! Nigdy w życiu! Harlow objął go łagodnie.

- Rory, chłopcze, mam dla ciebie dobre wieści. Twój ojciec przed chwilą nie tylko się zgodził, lecz nawet ucieszył, gdy usłyszał, że pewnego pięknego dnia mam zamiar cię sprać. Oczywiście w dogodnym dla mnie miejscu i czasie. Serdecznie poklepał chłopca po plecach; w tej poufałości zawarta była wyraźna groźba. Uśmiechając się, Harlow zszedł po schodach, u stóp których czekała na niego Mary.

- Mogę z tobą pomówić? - spytała.

- Jasne. Ale na werandzie. Ten czarnowłosy potworek pewnie już tu wszędzie założył

podłuch. Wyszli na werandę, zamykając za sobą drzwi. Zimny, zacinający deszcz ograniczał widoczność zaledwie do połowy opuszczonego lotniska.

- Obejmij mnie, Johnny - poprosiła Mary.

- Już się robi, wedle rozkazu. Mało tego, obejmę cię nawet oburącz.

- Proszę cię, Johnny, nie żartuj. Ja się boję. Boję się przez cały czas, boję się o ciebie. Tu się dzieje coś strasznie dziwnego, prawda?

- Niby co takiego?

- Och, niezdolny jesteś! - Zmieniła temat, przynajmniej pozornie. - Jedziesz do Marsylii?

- Tak.

- Weź mnie ze sobą.

- Nie.

- Nie jesteś zbyt szarmancki.

- Nie.

- Kim ty jesteś, Johnny? Co ty właściwie robisz? Do tej pory stała przytulona do niego, lecz teraz odsunęła się powoli, z namysłem. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni jego kurtki, odpięła suwak i wyciągnęła pistolet. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w metalicznie połyskującą broń.

- Nic złego, słodka Mary. Znow sięgnęła do jego kieszeni, wyjęła tłumik i spojrzała na niego z lękiem i z troską.

- To tłumik, prawda? Żebyś mógł zabijać ludzi bez hałasu.

- Powiedziałem ci, że nie robię nic złego.

- Ja wiem. Wiem, że ty byś nigdy nic złego nie zrobił. Ale... ale muszę powiedzieć o tym tacie.

- Proszę bardzo, jeżeli chcesz go zniszczyć. - Harlow zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to brutalnie, ale nie widział innego wyjścia. - No dalej, idź do niego.

- Zniszczyć... co chcesz przez to powiedzieć?

- Mam coś do załatwienia. Gdyby twój ojciec o tym wiedział, toby mnie zatrzymał. Wysiadły mu nerwy. Tymczasem mnie, wbrew powszechnej opinii, nie wysiadły.

- Co masz na myśli mówiąc... zniszczyć go?

- Nie wydaje mi się, żeby po śmierci twojej matki miał przed sobą długie życie.

- Mojej matki? - Przez kilka długich sekund wpatrywała się w jego twarz. - Ale moja matka...

- Twoja matka żyje. Wiem o tym. Sądzę, że uda mi się dowiedzieć, gdzie jest. A wtedy pójdę i sprowadzę ją dziś w nocy.

- Jesteś pewien? - Dziewczyna łkała cicho. - Jesteś tego pewien?

- Jestem pewien, moja słodka Mary. - Harlow chciałby być tak pewny siebie, jak na to wskazywał jego głos.

- Od tego jest przecież policja, Johnny.

- Nie. Mogłbym im powiedzieć, gdzie zdobyć informacje, ale nic by im z tego nie przyszło. Oni muszą działać zgodnie z prawem. Odruchowo oderwała od niego wielkie, brązowe, zażawione oczy i spojrzała na pistolet i tłumik w swych rękach. Po chwili podniosła wzrok. Harlow lekko skinął głową, odebrał jej broń i schował do kieszeni. Mary patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym chwyciła go za kłapy kurtki.

- Wróć do mnie, Johnny.

- Zawsze będę do ciebie wracał, Mary. Spróbowała się uśmiechnąć przez łzy. Bez specjalnego sukcesu.

- Następne przejęzyczenie? - spytała.

- Tym razem to nie było przejęzyczenie. - Harlow postawił kołnierz kurtki, zszedł po schodach i nie oglądając się, odszedł szybko w deszcz.

\* \* \*

Niecałą godzinę później Harlow zajmował jeden z dwóch foteli w laboratorium naukowym Giancarla. W drugim siedział gospodarz mieszkania.

- Muszę przyznać, że jestem wybitnym fotografikiem, choć jak na razie to tylko moja opinia - stwierdził Johnny, przeglądając gruby plik błyszczących fotografii. Giancarlo pokiwał głową.

- Rzeczywiście. A i tematykę obrałeś bardzo ludzką. Niestety, chwilowo nie możemy dać sobie rady z dokumentami Tracchii i Neubauera, ale to sprawia, że są jeszcze bardziej interesujące, nie sądzisz? Chociaż Jacobson i Macalpine także zasługują na uwagę. Jeszcze jak. Wiesz, że Macalpine w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wypłacił nieco ponad sto czterdzieści tysięcy funtów?

- Spodziewałem się, że będzie tego dużo... ale żeby aż tyle? To musi rąbnąć po kieszeni nawet milionera. Są jakieś szanse zidentyfikowania szczęśliwego odbiorcy?

- Na razie zerowe. Gotówka wpływa na konto bankowe w Zurychu. Ale nawet szwajcarskie banki ujawnią swe tajemnice, jeżeli przedstawimy im dowody popełnienia przestępstwa... a zwłaszcza morderstwa.



- Będę miał dla nich dowody - rzekł Harlow. Giancarlo spojrział na niego domyślnie i skinął głową.

- Nie wątpię. A wracając do naszego przyjaciela Jacobsona, to jest on chyba najbogatszym mechanikiem w Europie. Nawiasem mówiąc, jego notatki to adresy głównych bukmacherów europejskich.

- Gra na wyścigach? Giancarlo spojrział na niego z politowaniem.

- Nietrudno było stwierdzić, w czym rzecz. Wszystkie wpłaty przychodziły dwa lub trzy dni po wyścigu o Grand Prix.

- No, no. Przedsiębiorczy facet, ten Jacobson. Otwiera nowe fascynujące perspektywy, co?

- Właśnie. Możesz zabrać te zdjęcia, mam kopie.

- O nie, wielkie dzięki. - Johnny zwrócił fotografie. - Myślisz, że chcę, żeby to ktoś u mnie znalazł? Podziękował staruszkowi i pożegnał się. Pojechał na komisariat, gdzie dyżur pełnił ten sam inspektor, co nad ranem, tyle że jego uprzednia jowialność zdecydowanie gdzieś się ulotniła - otaczała go teraz niemal grobowa atmosfera.

- Czy Luigi Złota Rączka już śpiewał? - zapytał Johnny. Inspektor potrząsnął głową ze smutkiem.

- Niestety, nasz kanarek stracił głos.

- To znaczy?

- Zaszkoziło mu lekarstwo. Niestety, panie Harlow, obszedł się pan z nim tak obcesowo, że co godzinę trzeba mu było podawać tabletki przeciwbólowe... Pilnowało go czterech moich ludzi... dwaj w korytarzu, a dwaj w środku pokoju. Dziesięć minut przed południem ta uderzająco piękna jasnowłosa pielęgniarka, jak ją opisali ci kretyni...

- Kretyni?

- Mój sierżant i jego trzech ludzie. Otóż zostawiła dwie pastylki i szklanek wody i poprosiła sierżanta, żeby dopilnował, by więzień zażył je dokładnie w południe. Sierżant Fleury okazał się tak szarmancki, że punkt dwunasta osobiście podał Luigiemu lekarstwo.

- A co to było?

- Cyjanek.

\* \* \*

Gdy Harlow wjeżdżał swoim jasnoczerwonym ferrari na teren opuszczonej farmy sąsiadującej od południa z lotniskiem w Vignolles, zapadał już zmierzch. Kierowca wprowadził samochód do

starej stodoły, zgasił silnik i wysiadł, starając się przystosować wzrok do ciemności panujących w tej pozbawionej okien szopie. Nagle w mroku zmaterializowała się jakaś postać w masce z pończochy na twarzy. Mimo swojego legendarnego refleksu, Johnny nie zdążył nawet sięgnąć po broń, jako że postać wyrosła półtora metra przed nim i właśnie brała zamach czymś, co przypominało trzonek kilofa. Harlow rzucił się do przodu, unikając złośliwego ciosu pałki, i barkiem wyrzucił napastnika tuż poniżej mostka. Nie mogąc złapać tchu, nieznajomy stęknął, zachwiał się i przewrócił do tyłu, mając na sobie Harlowa, który jedną ręką sięgał mu do gardła, a drugą usiłował wyciągnąć broń. Johnny nie zdążył nawet wyjąć pistoletu z kieszeni. Usłyszał za sobą cichy szmer, odwrócił się i ujrzał następną postać w masce. Bezgłośnie osunął się na ziemię, gdy zdradziecki cios pałki trafił go dokładnie w prawą skroń. Pierwszy z napastników niepewnie zebrał się na nogi i z całej siły kopnął nieprzytomnego Harlowa prosto w twarz. Na szczęście wciąż jeszcze był skulony z bólu, inaczej bowiem cios ten mógłby się okazać dla kierowcy śmiertelny. Niezadowolony z rezultatu, zamachnął się ponownie, nim jednak zdążył wcielić swój zamiar w czyn, drugi z napastników odciągnął go i posadził na ławce pod ścianą, a sam przystąpił do skrupulatnego rewidowania nieprzytomnego Harlowa.

\* \* \*

Kiedy Harlow odzyskał przytomność, w stodole było już znacznie ciemniej. Wstrząsnął się, jęknął i niepewnie uniósł ramiona i plecy na odległość wyciągniętej ręki od podłogi. Przez chwilę trwał w tej pozycji, a następnie z herkulesowym wysiłkiem dźwignął się na nogi. Zataczał się jak pijany. Miał wrażenie, że rozpędzone coronado wyrzuciło go prosto w twarz. Po minucie czy dwóch, działając nie tyle świadomie, co instynktownie, wytoczył się z garażu, przebrnął przez obejście farmy, po drodze dwa razy zwalając się z nóg, i chwiejnie ruszył ku płycie lotniska. Deszcz już nie padał, zaczynało się przejaśniać. Dunnet wyszedł z kantyny i skierował się do domu, gdy nagle, niecałe pięćdziesiąt metrów przed sobą, dostrzegł zataczającą się postać, zmierzającą przez lotnisko chwiejnym, pijackim krokiem. Dziennikarz stanął jak skamieniały, lecz zaraz podbiegł do Harlowa, dopadł go w kilka sekund i chwycił pod ramiona, wpatrując się w jego twarz, twarz którą ledwie można było rozpoznać. Z paskudnej rany na posiniaczonym czole kierowcy sączyła się krew, całkowicie zalewając mu prawą stronę twarzy i zlepiając prawe oko. Lewa strona jego twarzy była w niewiele lepszym stanie - policzek przekształcił się w jeden wielki siniak z poprzecznie biegnącą raną. Johnny krwawił także z nosa i ust, miał rozplataną wargę i stracił co najmniej dwa zęby.

- Chryste Panie! - jęknął Dunnet. - O Chryste Panie! Dziennikarz na wpół zaprowadził, na wpół zataszczył ledwie przytomnego kierowcę do domu. Przebrnęli przez lotnisko, schody i werandę i weszli do hallu. Dunnet zaklął w duchu, widząc Mary, która akurat ten moment wybrała sobie na przechadzkę. Dziewczyna stanęła jak wryta. Jej wielkie brązowe oczy błyszczały w oprawie bladej, przerażonej twarzy.

- Johnny! - wyszeptła prawie niedosłyszalnie. - Och, Johnny, Johnny. Co oni ci zrobili? - Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła zakrwawionej twarzy. Po jej policzkach spływały łzy.

- Nie czas na łzy, moja droga - rzucił Dunnet energicznie. - Ciepłą wodę, gąbkę i ręcznik. Potem przynieś apteczkę. Tylko pod żadnym pozorem nie mów nic ojcu. Będziemy w salonie. Pięć minut później u stóp Harlowa stała miednica pełna zmieszanej z krwią wody oraz przesiąknięty krwią ręcznik. Twarz kierowcy była już obmyta, co w rezultacie wypadło jeszcze gorzej, ponieważ dopiero

teraz wszystkie rany i siniaki ujawniły się w pełnej krasie. Dunnet bezlitośnie aplikował Johnny'emu jodynę i zalepiał mu rany plastrem. Wykrzywiona bólem twarz pacjenta wymownie świadczyła o jego cierpieniach. Harlow włożył do ust kciuk i palec wskazujący, szarpnął głową, skrzywił się i wyciągnął ząb, który obejrzał z niesmakiem i wrzucił do miednicy. Kiedy się wreszcie odezwał, widać było, że mimo ochrypłego głosu i obrażeń na twarzy, wrócił już do pełnej formy psychicznej.

- Wiesz, Alexis, powinniśmy sobie chyba zrobić zdjęcie. Do albumu rodzinnego. Jak wypada porównanie? Dunnet ocenił go jednym rzutem oka.

- Powiedziałbym, że jeden wart drugiego.

- Ani chybi. Ale zauważ, że dzięki szczodroblewości natury od początku miałem nad tobą przewagę.

- Przestań, przestańcie wreszcie! - Mary zanosła się płaczem. - On jest ranny, poważnie ranny. Zaraz wezwę lekarza.

- Nie ma mowy! - Kpiarski ton opuścił Harlowa, w jego głosie brzmiał teraz stalowy upór. - Żadnego lekarza! Żadnych szwów! Na to będzie czas później, nie dzisiaj. Mary ze łzami w oczach wpatrywała się zahipnotyzowanym wzrokiem w szklanekę brandy w dłoni Harlowa. Dłoni tak nieruchomej, jak dłoń kamiennego posągu.

- Oszukałeś nas - powiedziała. W jej głosie nie było goryczy, jedynie przeblýsk zrozumienia. - Załamany nerwowo mistrz i jego drżące ręce. Oszukiwałeś nas przez cały czas. Mam rację, Johnny?

- Tak. Proszę cię, Mary, wyjdź stąd.

- Przysięgam, że nigdy nic nie powiem. Nawet tacie.

- Wyjdź stąd.

- Niech zostanie - wtrącił się Dunnet. - Wiesz, Mary, że jeżeli piśniesz cokolwiek na ten temat, to on już nigdy się do ciebie nie odezwie. Psiakrew, z deszczu wpadliśmy pod rynnę. To już drugi alarm tego wieczoru. Tweedledum i Tweedledee zaginęli. Dunnet spojrzał na Harlowa, ciekaw jego reakcji. Ale żadnej reakcji nie zauważył.

- Pracowali wtedy przy transporterze - rzekł Johnny. Nie było to pytanie, lecz suche stwierdzenie faktu.

- A ty skąd o tym wiesz, u licha?

- W południowym hangarze. Z Jacobsonem. Dunnet powoli pokiwał głową.

- Zobaczyci to, czego nie powinni - wyjaśnił Harlow. - Pewnie przez przypadek, bo Bóg świadkiem, że nie byli przeciążeni intelektem. Ale zobaczyli za dużo. Co na ten temat mówi Jacobson?

- Że obaj bliźniacy poszli na herbatę. Jak nie wrócili po czterdziestu minutach, poszedł ich szukać. A oni po prostu zniknęli.

- Na pewno nie zajrzeli do kantyny? Dziennikarz potrząsnął głową.

- To jeżeli ich w ogóle znajdą, to na dnie jakiegoś wąwozu albo kanału. Pamiętacie Jacquesa i Harry'ego z garażu w Marsylii? - Widząc, że Dunnet potakuje, Harlow mówił dalej: - Jacobson powiedział, że naszła ich tęsknota za domem, więc wyjechali. Jasne, że pojechali do domu... tak samo jak Tweedledum i Tweedledee. On tam miał dwóch nowych mechaników, ale tylko jeden z nich stawiał się dziś rano. Drugi nie. Nie mam na to jeszcze dowodu, ale będę miał... ten drugi się nie zjawił, bo w środku nocy wpakowałem go do szpitala. Dunnet nie zareagował. Mary wpatrywała się w Harlowa z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Przykro mi, Mary - ciągnął Johnny. - Jacobson to zabójca, morderca, jeśli wolisz. Dla ochrony swoich interesów jest gotów na wszystko. Wiem, że spowodował śmierć mojego brata podczas drugiego wyścigu w tym sezonie. To dlatego zgodziłem się pracować dla Alexisa.

- Pracujesz dla Alexisa? - zdziwiła się Mary. - Dla dziennikarza?

- Próbował mnie zabić podczas Grand Prix Francji - ciągnął Harlow, jak gdyby jej nie usłyszał. - Dowody mam na zdjęciach. To on jest winnym śmierci Jethou. Usiłował mnie załatwić zeszłej nocy, ustawiając fałszywą blokadę policyjną, żeby zatrzymać transporter. To on odpowiada za śmierć człowieka, który zmarł dziś w Marsylii.

- Kto? - zapytał spokojnie Dunnet.

- Luigi Złota Rączka. Podano mu dziś w szpitalu pastylkę przeciwbólową. Niewątpliwie zlikwidowała jego ból... raz na zawsze. Cyjanek. Tylko Jacobson wiedział coś o Luigim, więc usunął go, zanim mógł coś wyśpiewać policji. Moja wina... to ja powiedziałem o nim Jacobsonowi. Ale nie miałem wtedy wyboru.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Mary była kompletnie oszołomiona. - Nie mogę. To... to jakiś koszmar.

- Możesz sobie wierzyć lub nie, bylebyś tylko trzymała się od Jacobsona na kilometr. On czyta z twojej twarzy jak z książki i pewnie baczniej by się tobą zainteresował. A ja bym nie chciał, żeby Jacobson się tobą zainteresował, wolałbym, żebyś nie trafiła na cmentarz. I zapamiętaj sobie raz na zawsze - zostałeś kaleką na całe życie, i to też jest jego robota. W trakcie tej relacji Harlow starannie przeszukał swoje kieszenie.

- Obrobiono mnie - stwierdził obojętnie. - Dokumentnie. Portfel, paszport, prawo jazdy, pieniądze, kluczyki do samochodu... ale mam zapasowe. I moje wytrychy. - Zamyślił się. - Wobec tego będzie mi potrzebna lina, hak i brezent z transportera. A potem...

- Ty nie... ty nigdzie nie wyjdiesz! - przerwała mu Mary z przerażeniem. - Powinieneś być w szpitalu! Harlow zerknął na nią szybko, beznamiętnie, i ciągnął:

- A poza tym, oczywiście, zabrali mi pistolet. Daj mi następny, Alexis. I trochę pieniędzy. Nagle wstał, cicho i szybko podszedł do drzwi, otworzył je raptownie. Rory, który podsłuchiwał z uchem przyciśniętym do drzwi, niemal wpadł do pokoju. Kierowca chwycił go za włosy i postawił na nogi. Rory wrzasnął z bólu.

- Przyjrzyj się dobrze mojej twarzy, Rory - powiedział Harlow. Chłopak przyjrzał się, skrzywił, a jego własna twarz pobladła.

- To przez ciebie, Rory - stwierdził kierowca. Nagle, bez ostrzeżenia, uderzył chłopaka otwartą dłonią w lewy policzek. Był to silny cios, który normalnie posłałby Rory'ego na podłogę, lecz Harlow mocno wczepił rękę w jego włosy. Równie silnie uderzył go na odlew w prawy policzek, a następnie powtarzał tę czynność z regularnością metronomu.

- Johnny! - krzyknęła Mary. - Johnny! Czyś ty oszalał?! - Chciała się rzucić na Harlowa, lecz Dunnet przytrzymał ją szybko. Wyglądało na to, że dziennikarz w najmniejszym stopniu nie przejmuje się rozwojem wypadków.

- Jeszcze trochę, Rory, i będziesz się czuł tak samo, jak ja - oświadczył Harlow. Bił dalej. Rory nawet nie próbował się opierać, czy bronić. Jego głowa bezradnie skakała z boku na bok. Po jakimś czasie Harlow uznał, że proces zmiękczenia chłopaka jest już dostatecznie zaawansowany, i przestał.

- Gadaj! - polecił. - Całą prawdę. Dziś po południu podsłuchiwałeś mnie i pana Dunmeta, tak? Rory wydał roztrzęsiony, ochrypły z bólu skowyt:

- Nie! Nie! Przysięgam, że nie. Przy... Przerwał i zawył, gdy Johnny ponowił chłostę. Po kilku sekundach Harlow znów przestał bić. Mary, przytrzymywana przez Dunmeta, patrzyła na niego ze zdumieniem i przerażeniem, pochlipując pod nosem.

- Zostałem pobity przez ludzi, którzy, wiedzieli, że jadę do Marsylii w sprawie kilku ważnych zdjęć - rzekł Harlow. - Chcieli zdobyć te zdjęcia za wszelką cenę. Wiedzieli też, że zaparkuję ferrari w stodole na opuszczonej farmie, niedaleko stąd. Tylko pan Dunnet wiedział o zdjęciach i o farmie. Myślisz, że to on im powiedział?

- Możliwe. - Po twarzy Rory'ego płynęły łzy. - Nie wiem. Tak, tak, to on im musiał powiedzieć.

- Pan Dunnet nie jest dziennikarzem - oświadczył Harlow powolnym, spokojnym głosem, przedzielając słowa donośnymi klapsami. - Pan Dunnet nigdy nie był księgowym. Pan Dunnet jest wyższym oficerem Wydziału Specjalnego Scotland Yardu i pracownikiem Interpolu, i zebrał dostatecznie dużo dowodów twojej współpracy z przestępcami, żeby zapewnić ci miejsce w więzieniu dla nieletnich na najbliższe kilka lat. - Puścił włosy chłopaka. - Komu o tym powiedziałeś?

- Tracchii. Harlow popchnął Rory'ego na fotel. Chłopak zgarbił się, zakrywając dłońmi obolałą, purpurową twarz. Johnny spojrzał na Dunmeta.

- Gdzie Tracchia?

- Powiedział, że jedzie do Marsylii. Z Neubauerem.

- On też się tu kręcił? Nic dziwnego. A Jacobson?

- Szwenda się gdzieś po okolicy. Mówił, że jedzie szukać bliźniaków.

- To pewnie zabrał ze sobą łopatę. Idę po zapasowe kluczyki i sprowadzę ferrari. Za piętnaście minut spotkamy się przy transporterze. Weź broń. I pieniądze. Harlow odwrócił się i wyszedł. Rory wstał niepewnie i poszedł za jego przykładem. Dunnet objął Mary ramieniem, z górnej kieszeni marynarki wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać jej mokrą od łez twarz. Mary spoglądała na niego ze zdziwieniem.

- Czy to prawda, co mówił Johnny? Że pan jest z Wydziału Specjalnego? I z Interpolu?

- No... tak. Jestem czymś w rodzaju policjanta.

- To niech go pan powstrzyma, panie Dunnet. Błagam pana. Proszę go powstrzymać.

- Nie znasz jeszcze swojego Johnny'ego? Mary pokiwała głową ze smutkiem, poczekała, aż Dunnet zakończy swe dzieło i zapytała:

- On chce dostać Tracchię?

- Tracchię. I wielu innych. Ale przede wszystkim Jacobsona. Jeżeli Johnny twierdzi, że Jacobson jest bezpośrednio winny śmierci siedmiu ludzi, to znaczy, że tak jest. A poza tym ma z nim jeszcze osobiste rachunki do wyrównania.

- Jego młodszy brat? Dunnet skinął głową.

- A drugi rachunek?

- Spójrz na swoją lewą stopę, Mary.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 10

Na południowej obwodnicy Vignolles czarny citroen przyhamował, dając pierwszeństwo przejazdu czerwonemu ferrari Harlowa. Kiedy ferrari zniknęło z widoku, Jacobson, za kierownicą citroena, potarł w zamyśleniu policzek, skręcił w stronę Vignolles i zatrzymał się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej.

\* \* \*

W kantynie w Vignolles Macalpine i Dunnet kończyli posiłek w prawie pustej jadalni. Obaj spoglądali w kierunku drzwi na wychodzącą Mary.

- Moja córka jest dzisiaj w kiepskim nastroju - stwierdził Macalpine.

- Twoja córka jest zakochana.

- Tego się właśnie obawiam. A gdzież, do licha ciężkiego, polazł ten mały drań Rory?

- No cóż, szczerze mówiąc, Harlow przyłapał go, jak podsłuchiwał pod drzwiami.

- No nie! Znowu?

- Znowu. Scena, która się potem rozegrała, była, hm... raczej bolesna. Byłem przy tym. Prawdopodobnie Rory obawiał się, że spotka tu Johnny'ego. A Johnny, skoro już o nim mowa, jest w łóżku. Wątpię, czy udało mu się wczoraj złapać choć trochę snu.

- Mnie też kusi taka perspektywa. To znaczy łóżko. Jestem nieprawdopodobnie zmęczony. Jeśli mi wybaczysz, Alexis... Powstał, lecz zaraz usiadł, widząc Jacobsona, który wszedł do kantyny i kierował się do ich stolika. Widać było, że mechanik jest wykończony.

- Jak poszło? - spytał Macalpine.

- Zero. Szukałem wszędzie w promieniu pięciu mil. Bez skutku. Ale właśnie otrzymałem wiadomość z policji, że dwóch mężczyzn, dokładnie odpowiadających ich rysopisom, widziano w Le Beausset... a chyba niewielu ludzi jest podobnych do tych straszliwych bliźniaków. Wrzucę coś tylko na ząb i pojedę tam. Tyle że najpierw muszę skombinować jakiś wóz. Mój wysiadł... poszły hamulce. Macalpine wręczył Jacobsonowi kluczyki do samochodu.

- Weź mojego astona.

- Bardzo dziękuję, panie Macalpine. A papiery?

- Wszystko jest w skrytce. Bardzo to ładnie z twojej strony, że zadajesz sobie tyle kłopotu.

- To także moi chłopcy, panie Macalpine. Dunnet gapił się w przestrzeń pustym wzrokiem.

\* \* \*

Szybkościomierz ferrari wskazywał sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Harlow najwyraźniej nie przejmował się ograniczeniem szybkości na drogach Francji, jednak od czasu do czasu - z czystego nawyku, jako że było mało prawdopodobne, by jakikolwiek wóz policyjny mógł go dogonić - rzucał okiem we wsteczne lusterko. Ale poza zwojem liny, hakiem i podręczną apteczką na tylnym siedzeniu oraz płachtą brudnego białego brezentu, rzuconą niedbale na podłogę, nic innego nie widział. W niewiarygodnie krótkim czasie od wyjazdu z Vignolles - dokładnie po czterdziestu minutach - ferrari minęło tablicę z napisem „Marsylia”. Kilometr dalej samochód zatrzymał się na światłach na skrzyżowaniu. Plastry, rany i siniaki tak skutecznie maskowały twarz Harlowa, że nie sposób było określić jej wyrazu, ale jego oczy były jak zwykle chłodne i czujne, a zachowanie jak zwykle spokojne - nie niecierpliwił się, nie bębnił palcami po kierownicy. Okazało się jednak, że nawet jego absolutny spokój może doznać wstrząsu.

- Panie Harlow... - usłyszał za sobą czyjś głos. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał Rory'ego, który wysunął właśnie głowę z brezentowego kokonu.

- A ty co tu robisz, do ciężkiej cholery? - spytał chłopaka. Odmierzał słowa powoli, z naciskiem.

- Myślałem, że może przyda się panu pomagier - wyjaśnił Rory obronnym tonem. Harlow pohamował się z trudem.

- Mógłbym przyznać, że tego mi właśnie potrzeba, ale nie sądzę, żeby to wiele dało. - Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął część pieniędzy, które dostał od Dunneta. - Trzysta franków. Idź do hotelu i zadzwoń do Vignolles, żeby rano przysłali po ciebie samochód.

- Nie, panie Harlow, dziękuję. Strasznie się co do pana pomyliłem. Chyba jestem zwyczajnie głupi. Nie mam co przepraszać, bo żadne przeprosiny tu nie wystarczą. Najlepsze, co mogę zrobić, to pomóc panu. Bardzo pana proszę, panie Harlow.

- Słuchaj, dziecko, mam dziś spotkanie z paroma ludźmi, którzy by cię zabili, zanim byś się obejrzał. A teraz odpowiadam za ciebie przed twoim ojcem. Zmieniły się światła i ferrari ruszyło. Na twarzy Harlowa o ile można było to ocenić, malowało się lekkie zaskoczenie.

- I jeszcze jedno - powiedział Rory. - Co się z nim dzieje? Znaczy się z ojcem?

- Jest szantażowany.

- Tata? Szantażowany? - W głosie Rory'ego brzmiało całkowite niedowierzenie.

- Nic złego nie zrobił. Kiedyś ci o tym opowiem.

- A pan powstrzyma tych ludzi i nie będą go więcej szantażować?

- Mam nadzieję.

- A Jacobson... To on okaleczył Mary. Musiałem upaść na głowę, żeby pana o to posądzać. Jego też pan załatwi?



- Tak.

- Tym razem nie powiedział pan: „Mam nadzieję”. Powiedział pan: „Tak”.

- Zgadza się. Rory odchrząknął i rzucił obojętnym tonem:

- Ożeni się pan z Mary, panie Harlow?

- Wszystko na to wskazuje, że mury więzienne zamykają się wokół mnie.

- No, bo ja też ją kocham. Pewnie inaczej, ale nie mniej. Jak pan chce załatwić tego skurwiela, który ją okaleczył, to jadę z panem.

- Uważaj, co mówisz - rzucił Harlow odruchowo. Przez jakiś czas prowadził w milczeniu, po czym westchnął zrezygnowany. - Zgoda. Ale musisz dać słowo, że będziesz im schodził z oczu i zaczekasz na mnie w bezpiecznym miejscu.

- Daję słowo. Harlow przygryzł górną wargę i skrzywił się, gdy trafił zębami na ranę. Spojrzał we wsteczne lustro. Rory, rozparty teraz na tylnym siedzeniu, uśmiechał się do siebie z wyraźną satysfakcją. Harlow potrząsnął głową z niedowierzaniem lub rozpaczą. A może i z jednym, i z drugim. Dziesięć minut później zaparkował samochód w alejce oddalanej o jakieś trzysta metrów od rue Georges Sand. Spakował cały ekwipunek do płóciennej torby, przewiesił ją sobie przez ramię i ruszył w drogę w towarzystwie Rory'ego. Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy chłopca, jego miejsce zajęła obawa. Pomijając już inne czynniki, jedno z pewnością usprawiedliwiało nerwowość Rory'ego: nie była to wymarzona noc dla celów Harlowa. Na bezchmurnym, gwiazdzistym niebie Riwiery wisiał wysoko księżyc w pełni. Widoczność była przynajmniej tak dobra, jak w pochmurne zimowe popołudnie, z tą tylko różnicą, że w świetle księżycy cienie są dużo ciemniejsze. Harlow i Rory stali właśnie w cieniu rzucanym przez mur otaczający „Pustelnię”. Johnny sprawdzał zawartość torby.

- Co my tu mamy... Lina, hak, brezent, szpagat, izolowane obcęgi, dłuta, apteczka... zgadza się.

- A po co nam to wszystko, panie Harlow?

- Pierwsze trzy rzeczy przydadzą się do przejścia przez mur. Szpagat posłuży nam do przywiązywania lub związywania... na przykład rąk. Obcęgi do przecięcia instalacji alarmowej. Dłuta, gdyby coś trzeba było otworzyć. Apteczka... no, nigdy nic nie wiadomo. Rory, możesz z łaski swojej przestać szczekać zębami? Nasi przyjaciele usłyszą cię na dziesięć metrów.

- Nic na to nie poradzę, panie Harlow.

- Tylko pamiętaj, ty masz zostać tutaj. Ostatnie, na czym nam zależy, to przybycie policji, ale jeśli nie wrócę za trzydzieści minut, to biegaj do telefonu na rogu i każ im tu przyjechać na pełnym gazie. Harlow przywiązał linę do haka. Chociaż raz jasna poświata księżycy na coś się przydała. Zamachnął się i hak poszybował ponad gałęzią drzewa z drugiej strony muru. Pociągnął linę delikatnie, aż hak na dobre zaczepił się o gałąź. Z płachtą brezentu na ramieniu wspiął się o metr, ułożył brezent na odłamkach szkła na szczycie muru i podciągnął się jeszcze wyżej. Ostrożnie usiadł

okrakiem na murze i przyjrzał się drzewu, które dostarczyło mu tak dogodnej gałęzi - najniższe konary wyrastały z pnia niewiele ponad metr od ziemi. Spojrzał w dół na chłopca.

- Torba. Torba poszybowała w górę. Harlow złapał ją i rzucił na ziemię z drugiej strony muru. Objął gałąź, odepchnął się i pięć sekund później stał już na ziemi. Przeszedł przez niewielką kępę drzew. Spoza zasłon pokoju na parterze przeświecało światło. Masywne dębowe drzwi były zamknięte i z całą pewnością zaryglowane, a zresztą Harlow i tak był zdania, że wejście od frontu było gwarantowanym sposobem popełnienia samobójstwa. Podszedł do bocznej ściany domu, na ile to możliwe starając się trzymać w cieniu. Okna na parterze niewiele mu dały - wszystkie były solidnie okratowane. Jak można się było spodziewać, tylne drzwi także były zamknięte. Harlow pomyślał z ironią, że jedyne wytrychy, które mogłyby zapewne otworzyć te drzwi, znajdowały się wewnątrz domu. Przeszedł na tyły posesji. Na okratowane okna na parterze nawet nie spojrzał, natomiast jego uwagę przyciągnęło lekko uchylone okno na piętrze. Rozejrzał się dookoła. W odległości mniej więcej dwudziestu metrów zobaczył mały ogródek, komórkę i cieplarnię. Zdecydowanym krokiem ruszył w tamtą stronę. Tymczasem Rory spacerował tam i z powrotem po drugiej stronie muru. Co chwila spoglądał na linę, wyraźnie targany niepewnością. Nagle podjął decyzję i wspiął się na mur. Zanim zeskoczył na ziemię po drugiej stronie, Harlow zdążył już przystawić drabinę do ściany domu i dotrzeć do parapetu na piętrze. Johnny wyciągnął latarkę i w jej świetle uważnie obejrzał krawędzie okna. Po obu stronach biegły przytwierdzone do framugi kable. Sięgnął do torby, wyciągnął obcęgi, przeciął oba kable i uniósłszy górną połówkę okna, przedostał się do środka. W ciągu dwóch minut ustalił, że na piętrze nie ma nikogo. Z torbą i zgaszoną latarką w jednej ręce oraz pistoletem z tłumikiem w drugiej, bezszelestnie zszedł po schodach do hallu. Drzwi jednego z pokoi na parterze były lekko uchylone - wydostawał się stamtąd snop światła oraz dolatywały wyraźne głosy kilku osób. Jeden głos należał do kobiety. Harlow chwilowo zignorował ten pokój i przeszukał cały parter, sprawdzając, czy pozostałe pokoje są puste. W kuchni światło jego latarki padło na schody, prowadzące do piwnicy. Zszedł na dół i znalazł się w komórce, o betonowych ścianach i betonowej podłodze, w której zauważył cztery pary drzwi. Trzy z nich wyglądały zupełnie normalnie, czwarte natomiast wyposażone były w masywne rygle i potężny klucz, jakiego nie powstydzilyby się średniowieczne lochy. Johnny odsunął rygle, przekręcił klucz i wszedł do środka. Odszukał kontakt i zapalił światło. Bez wątplenia nie były to lochy. Znajdowało się tam supernowoczesne, znakomicie wyposażone laboratorium, choć na pierwszy rzut oka trudno było się zorientować, do czego służy to wyposażenie. Harlow podszedł do rzędu aluminiowych pojemników, uniósł wieko jednego z nich i powąchał białą, sproszkowaną zawartość naczynia. Z niesmakiem zmarszczył nos i zamknął pojemnik. Wychodząc minął zawieszony na ścianie telefon, przystosowany - sądząc po tarczy - do rozmów międzymiastowych. Zawahał się, wzruszył ramionami i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi i zapalone światło. W chwili, gdy Harlow wychodził po schodach z piwnicy, Rory stał ukryty w kępie drzew. Ze swego miejsca wyraźnie widział cały front i bok budynku. Na jego twarzy malował się lęk, lęk, który wkrótce zamienił się w przerażenie. Zza domu wyszedł nagle niski, silnie zbudowany mężczyzna, ubrany w ciemne spodnie i ciemny golf. Był to strażnik, którego obecności Harlow się nie spodziewał. Przez krótką chwilę stał jak skamieniały, spoglądając na opartą o ścianę domu drabinę. Sekundę później biegł już w kierunku frontowych drzwi. Nie wiadomo skąd w jego rękach pojawiły się dwa przedmioty - wielki klucz i jeszcze większy nóż. Harlow stał w hallu, w zamyśleniu obserwując promień światła wychodzący z uchylonych drzwi i nasłuchując dobiegających głosów. Dokręcił tłumik na lufie pistoletu, zrobił dwa szybkie kroki i piętą prawej nogi gwałtownie wykopał drzwi, które niemal wyskoczyły z zawiasów.

W pokoju znajdowało się pięć osób. Trzy z nich były do siebie dziwnie podobne, mogli to być bracia - potężnie zbudowani, elegancko ubrani mężczyźni o czarnych włosach i śniadej cerze. Czwartą osobą była młoda, śliczna blondynka, piątą zaś - Willi Neubauer. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w Harlowa, który - z posiniaczoną, pokiereszowaną twarzą i zaopatrzonym w tłumik pistoletem w ręku - z pewnością sprawiał niezbyt przyjazne wrażenie.

- Ręce do góry, proszę państwa! - odezwał się Johnny. Cała piątka podniosła ręce.

- Wyżej, wyżej. Jeszcze bardziej wyciągnęli ramiona.

- Co ty wyrabiasz, Harlow, do ciężkiej cholery? - Głos Neubauera miał być w zamiśle oschły i rozkazujący, lecz zabrzmiała w nim piskliwa nuta strachu. - Wpadam do przyjaciół, a tu...

- Możliwe, że sędzia okaże się bardziej cierpliwy niż ja - przerwał mu Harlow lodowatym tonem. - Zamknij się!

- Uważaj! - w panicznym wrzasku trudno było rozpoznać głos Rory'ego. Jak przystało na najwybitniejszego kierowcę swoich czasów, Harlow miał koci refleks. Odwrócił się i strzelił w tej samej chwili. Mężczyzna w ciemnym ubraniu, który właśnie zamierzał się do ciosu, zawył z bólu, z niedowierzaniem gapiąc się na przestrzeloną dłoń. Harlow odwrócił się na pięcie do pozostałej piątki, nim jeszcze nóż rannego upadł na podłogę. Jeden z mężczyzn o śniadej cerze opuścił rękę, sięgając pod marynarkę.

- No, dalej... - rzekł Harlow zachęcająco. Mężczyzna zdumiewająco szybko podniósł rękę. Johnny przezornie usunął się na bok i szybko skinął pistoletem na rannego.

- Dołącz do swoich przyjaciół. Pojękując z bólu i zdrową ręką ściskając przestrzeloną dłoń, ranny wykonał polecenie. Rory wszedł do pokoju.

- Dziękuję, Rory - powiedział Harlow. - Wszystkie grzechy odpuszczone. Wyjmij z torby apteczkę. Nie mówiłem, że może nam się przydać? - Zimnym wzrokiem przyjrzał się całej kompanii. - Ale mam nadzieję, że więcej nie będzie już potrzebna.

- Wycelował pistolet w blondynkę. - Podejdź no tu! Dziewczyna wstała z krzesła i podeszła do niego powoli. Harlow uśmiechnął się do niej lodowato, ale ona albo była za bardzo wstrząśnięta, albo za głupia, żeby zdać sobie sprawę, co kryje się za tym uśmiechem.

- Podobno pretendujesz do miana pielęgniarki - rzekł Johnny. - Chociaż nasz nieodżałowany Luigi miałby pewnie inne zdanie na ten temat. Masz tu apteczkę. Zajmij się ręką twojego przyjaciela. Splunęła mu w twarz.

- Sam się zajmij. Harlow nie bawił się w ostrzeżenia. Jeden błyskawiczny ruch i tłumik pistoletu uderzył w twarz blondynki, która krzyknęła, zachwiała się i runęła na podłogę. Z jej przeciętego policzka i ust płynęła krew.

- O rany! - Rory był przerażony. - Panie Harlow!

- Jeżeli to dla ciebie jakaś pociecha, Rory, to dowiedz się, że ta ślicznotka jest poszukiwana za morderstwo z premedytacją. - Spojrzał na dziewczynę, ale na jej pokiereszowanej twarzy nie ujrzał ani cienia żalu. - Wstawaj i zajmij się jego ręką! A potem, jeśli chcesz, możesz opatrzeć sobie twarz. Twoja sprawa. Reszta na podłogę, twarzą w dół. Ręce na kark. Rory, sprawdź, czy mają broń. Pierwszy z was, który choćby mrugnie, dostanie kulę w łeb. Rory zrewidował leżących. Ze strachem spoglądał na cztery pistolety, które położył na stole.

- Wszyscy mieli broń - powiedział.

- A myślałeś, że co tacy noszą? Puderniczki? No, Rory, bierz się za szpagat. Wiesz, co masz robić. Wiąż sobie tyle węzłów, ile chcesz, byle z całej siły, i niech cię głowa nie boli o ich krążenie krwi. Rory z entuzjazmem zabrał się do dzieła i wkrótce cała szóstka miała ręce skrępowane na plecach. Dłoń rannego była już zabandażowana.

- Klucz do bramy... - rzucił Harlow do Neubauera. Neubauer spojrział na niego z jadem w oczach. Nie odpowiedział. Harlow schował pistolet do kieszeni, podniósł nóż, upuszczony przez swojego niedoszłego zabójcę, i dźgnął nim Neubauera w szyję, przecinając mu skórę.

- Liczę do trzech, a potem wpakuję ci tę zabawkę po sam trzonek. Raz... dwa...

- Stół w hallu - warknął Neubauer z twarzą jak popiół.

- Jazda, wstawać! Do piwnicy. Zeszli gęsiego, z twarzami wykrzywionymi strachem. Jeden z trzech mężczyzn o śniadej cerze, zamykający pochód, rzucił się na Harlowa, prawdopodobnie chcąc zepchnąć go ze schodów i skopać. Zważywszy jednak, że zaledwie przed chwilą na własne oczy przekonał się o refleksie Harlowa, był to z jego strony nader głupi pomysł. Johnny uskoczył błyskawicznie, kolbą pistoletu zdzielił go w skroń i patrzył spokojnie, jak wali się z nóg i spada ze schodów. Następnie złapał go za nogę i ściągnął z ostatnich schodków. Głowa nieprzytomnego mężczyzny odbijała się od betonowych stopni.

- Na miłość boską, Harlow! - krzyknął drugi z mężczyzn o śniadej cerze. - Czyś ty oszalał? Zabijesz go! Johnny pociągnął nieprzytomnego człowieka, aż jego głowa opadła z ostatniego stopnia, i spojrział obojętnie na protestującego mężczyznę.

- No to co? Was też pewnie będę musiał zabić. Wprowadził ich do laboratorium, a następnie, przy pomocy Rory'ego, wciągnął tam nieprzytomnego Włocha.

- Na podłogę! - rozkazał. - Rory, zwiąż im nogi w kostkach. Byle mocno. - Chłopiec przystąpił do dzieła z entuzjazmem. Kiedy skończył, Harlow polecił mu:

- Przeszukaj ich. Zobacz, czy mają jakieś dokumenty. Neubauera zostaw. Wszyscy wiemy, kim jest nasz drogi Willi. Po chwili chłopiec wręczył Johnny'emu pokaźny plik dokumentów. Spojrzał niepewnie na leżącą na podłodze kobietę.

- A co z tą damą, panie Harlow?

- Wbij sobie do głowy, Rory, że ta suka jest morderczynią, a nie damą. - Harlow rzucił okiem

na dziewczynę.

- Gdzie twoja torebka? - zapytał ją.

- Nie mam torebki. Johnny westchnął, podszedł do niej i przyklęknął.

- Jak skończę z drugą stroną twojej twarzy, to żaden mężczyzna więcej na ciebie nie spojrzy. Inna sprawa, że długo nie będziesz oglądała mężczyzn... żaden sąd nie odrzuci zeznań czterech policjantów, którzy zidentyfikują ciebie i twoje odciski palców na szklance. - Przyjrzał się jej z namysłem i podniósł pistolet. - A w więzieniu nikogo raczej nie będzie obchodziło, jak wyglądasz. Gdzie torebka?

- W mojej sypialni. - Drżący głos doskonale korespondował z przerażeniem na twarzy dziewczyny.

- Gdzie w sypialni?

- W szafie. Harlow spojrzał na chłopca.

- Rory, bądź tak dobry...

- A skąd mam wiedzieć, która to sypialnia? - zapytał Rory niepewnym głosem.

- Jak wejdiesz do pokoju, w którym toaletka wygląda jak lada w drogerii, to będziesz na miejscu - wyjaśnił Johnny cierpliwie. - I przynieś te cztery pistolety z salonu. Rory wyszedł. Harlow wstał, podszedł do biurka, na którym leżały dokumenty, i zaczął je wertować z zainteresowaniem. Po mniej więcej minucie podniósł wzrok.

- Co ja widzę. Marzio, Marzio i Marzio. Brzmi to jak nazwa starej a dobrej firmy prawniczej. Wszyscy trzej z Korsyki. Zdaje mi się, że kiedyś już słyszałem o braciach Marzio. Nie wątpię, że policja będzie zachwycona tymi dokumentami. - Odłożył papiery, oderwał piętnastocentymetrowy kawałek przylepca z leżącej na biurku rolki i lekko przyklepał go do krawędzi biurka. - W życiu nie zgadniecie, do czego to ma służyć. Wrócił Rory, taszcząc ze sobą torbę, która rozmiarami przypominała raczej walizkę niż damską torebkę, oraz cztery pistolety. Harlow otworzył torebkę, przejrzał jej zawartość, w tym paszport, po czym odsunął suwak bocznej kieszonki i wyciągnął z niej pistolet.

- No, no. A więc panna Anne-Marie Pucelli nosi przy sobie broń palną. Niewątpliwie w celu obrony przed ewentualnymi łajdakami, którzy chcieliby ją okraść z tabletek cyjanku, takich jak ta, którą podała świętej pamięci Luigiemu. - Harlow schował broń do torebki, razem z pozostałymi pistoletami i dokumentami. Ze swej torby wyciągnął apteczkę, wyjął z niej niewielką fiolkę i wysypał na dłoń kilka białych pastylek. - Świetnie się składa. Akurat sześć tabletek. Po jednej na głowę. Chcę wiedzieć, gdzie się teraz znajduje pani Macalpine, i dowiem się przed upływem dwóch minut. Nasza siostra miłosierdzia wie, co to za pastylki. Siostra miłosierdzia nie odezwała się. Jej ściągnięta twarz miała barwę papieru, zdawało się, że w ciągu ostatnich dziesięciu minut dziewczynie przybyło dziesięć lat.

- A co to takiego? - zapytał Rory.

- Cyjanek pokryty warstwą cukru. W smaku wyśmienity. Te tabletki rozpuszczają się w jakieś trzy minuty.

- Nie! Nie! Nie może pan tego zrobić! - Przerazenie odbarwiło twarz chłopaka. - Nie wolno panu. To... przecież to morderstwo!

- Chcesz jeszcze zobaczyć swoją matkę? Nie jest to zresztą morderstwo, ale eksterminacja. To zwierzęta, Rory, a nie ludzie. Rozejrzyj się. Jak myślisz, jaki jest ostateczny produkt, który wychodzi z tej uroczej fabryczki? Rory potrząsnął głową. Wyglądał, jakby go dotknął paraliż.

- Heroina. Pomyśl o tych setkach, a raczej tysiącach ludzi, których oni zabili. Nazywając ich zwierzętami, obraziłem zwierzęta. Ta banda to najbardziej odrażająca forma robactwa pełzającego po tej ziemi. Sprzątnięcie ich to będzie sama przyjemność. Szóstkę skrępowanych, leżących na podłodze więźniów oblał pot. Oblizywali wargi. Byli przerażeni, przerażeni bezlitosnym nieprzejednaniem w głosie Harlowa. Nikt z nich nie wątpił, że nie żartuje. Harlow przyklęknął na piersi Neubauera, z tabletką w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Wyprężonymi palcami dźgnął Austriaka w splot słoneczny, a kiedy ten próbował złapać oddech, Johnny wpakował mu tłumik pistoletu w otwarte usta. Białą pastylkę trzymał przy tłumiku.

- Gdzie się znajduje pani Macalpine? - zapytał. Wyciągnął pistolet z ust Austriaka.

- W Bandol! - wybełkotał Neubauer, prawie nieprzytomny ze strachu. - W Bandol! Na łodzi!

- Jakiej łodzi? Gdzie?

- W zatoce. To jacht motorowy. Jakieś dwanaście metrów długości, niebieski, z białym nadburciem. Nazywa się „Chevalier”.

- Rory, podaj mi ten plaster ze stołu - rzekł Johnny. Po raz drugi dźgnął Neubauera w splot słoneczny i po raz drugi tłumik znalazł się między zębami Austriaka. Harlow wrzucił mu pastylkę do gardła. - Nie wierzę ci - powiedział. Zalepił mu usta przyklepcem. - To tylko na wszelki wypadek, żeby ci nie przyszło do głowy wypluć tej pastylki cyjanku. Przeszedł do mężczyzny, który krótko wcześniej próbował sięgnąć po broń. Z pastylką w ręku ukląkł obok niego, lecz nim zdążył się odezwać, ten wrzasnął z przerażeniem:

- Zwariowałeś? Czyś ty zwariował? Klnę się na Boga, że to prawda! „Chevalier”. W Bandol. Biało-niebieski. Stoi na kotwicy jakieś dwieście metrów od brzegu. Harlow wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Nakręcił numer 17 - „Police secours” - co można tłumaczyć jako „pomoc policyjną” lub „pogotowie policyjne”. Połączenie uzyskał natychmiast.

- Mówię z willi „Pustelnia” na rue Georges Sand - powiedział. - Tak, zgadza się. W piwnicy znajdziecie heroinę wartą majątek. W tym samym pomieszczeniu znajdziecie też aparaturę do produkcji heroiny na skalę masową oraz sześć osób zajmujących się wytwarzaniem i

rozprowadzaniem tejże heroiny. Nie będą stawiali oporu... są dokładnie związani. Trzej z nich to bracia Marzio. Zabrałem ich dokumenty, a także papiery Anne-marie Pucelli, poszukiwanej za morderstwo. Otrzymacie je później, w nocy. W słuchawce rozległ się nagły, gorączkowy głos. Harlow zignorował rozmówcę.

- Nie będę się powtarzał. Wiem, że każda rozmowa z wami jest rejestrowana na taśmie, więc nie ma sensu próbować mnie zatrzymać przy telefonie, aż tu dojdziecie. - Odłożył słuchawkę. Rory chwycił go za ramię.

- Zdobył pan już potrzebne informacje - wyrzucił z siebie zrozpaczony chłopiec. - Trzy minuty jeszcze nie minęły. Może pan jeszcze wyjąć Neubauerowi pastylkę.

- A, o to chodzi. - Harlow wsypał do fiolki cztery tabletki i podniósł piętą. - Pięć gramów kwasu acetylosalicylowego. Aspiryna. Dlatego zakleiliśmy mu usta.... wolałem, żeby nie zaczął się wydierać do kumpli, że dostał aspirynę... w cywilizowanym świecie trudno byłoby znaleźć dorosłego człowieka, który nie zna smaku aspiryny. Spójrz tylko na jego twarz... on już się nie boi, wścieka się tylko. Na dobrą sprawę, oni wszyscy się wściekają. Cóż, bywa. - Podniósł torebkę dziewczyny. - Pożyczam ją sobie. Chwilowo... na jakieś piętnaście, dwadzieścia lat, zależy ile dostaniesz na procesie. Harlow i Rory wyszli, zamykając za sobą drzwi i zasuwając rygle. Ze stołu w hallu wzięli klucz do bramy, wybiegli przez otwarte drzwi i otworzyli bramę na oścież. Harlow pociągnął chłopca w cień kępy sosen.

- Długo tu zostaniemy? - spytał Rory.

- Aż się upewnimy, że najpierw przyjadą tu właściwi ludzie. Po kilku sekundach usłyszeli zawodzący jęk nadjeżdżających radiowozów. Chwilę później przez bramę wjechały dwa samochody osobowe z włączonymi syrenami i mrugającymi światłami na dachu oraz policyjna furgonetka. Samochody wyhamowały przed domem, wyrzucając w powietrze fontannę żwiru. Siedmiu policjantów wbiegło po schodach i wpadło do środka willi. Mimo zapewnienia, że więźniowie są nieszkodliwi, wszyscy trzymali w rękach pistolety.

- Właściwi ludzie przyjechali pierwsi - oświadczył Johnny. Piętnaście minut później Johnny siedział w fotelu w laboratorium naukowym Giancarla. Gospodarz, wertując pokaźną stertę dokumentów, westchnął głęboko.

- Można ci tylko pozazdrościć interesującego życia, John. To tu, to tam, to jeszcze gdzie indziej. Wyświadczyłeś nam dziś wielką przysługę. Ci trzej, o których mówisz, to faktycznie osławieni bracia Marzio. Uchodzą za Sycylijszyków i członków mafii, ale to nieprawda. Jak sam odkryłeś, są z Korsyki. Korsykanie uważają sycylijskich mafiosi za partaczy i amatorów. Ci trzej już od lat są na czele naszej listy. Nigdy żadnych dowodów... ale tym razem się nie wywiną. To wykluczone, jeżeli nakryto ich z heroiną wartości paru milionów franków. Hm, zasługujesz na nagrodę. - Podał Johnny'emu kilka kartek. - Jean-Claude się sprawdził. Złamał ten szyfr dziś wieczorem. Prawda, że to interesująca lektura?

- Owszem - odparł Harlow po mniej więcej minucie. - Lista paserów Tracchii i Neubauera w całej Europie.

- Ni mniej, ni więcej,

- Ile czasu zajmie ci uzyskanie połączenia z Dunnetem? Giancarlo popatrzył na niego z politowaniem.

- Ja się połączę z każdym miejscem we Francji w trzydzieści sekund.

\* \* \*

Neubauer i spółka, w towarzystwie kilkunastu policjantów, siedzieli w komisariacie. Austriak podszedł do sierżanta, rozpartego na krześle przy biurku.

- Przedstawiono mi formalne zarzuty. Chcę zadzwonić do mojego adwokata. Mam do tego prawo.

- Ma pan prawo - przyznał sierżant, skinieniem głowy wskazując mu telefon na biurku.

- Kontakty prawników z klientami są poufne. - Neubauer wskazał przylegającą do pokoju budkę telefoniczną. - Wiem, że ta budka jest przeznaczona dla oskarżonych, którzy chcą się skontaktować z obrońcami. Można? Sierżant ponownie skinął głową. W luksusowo urządzonej apartamencie, pół kilometra od komisariatu, zadzwonił telefon. Tracchia, leżący na tapczanie obok przesadnie umalowanej brunetki, która najwyraźniej przejawiała silną niechęć do kompletnego stroju, skrzywił się i podniósł słuchawkę.

- Mój drogi Willi! Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo mi przykro. Zatrzymała mnie pewnie niecierpiąca zwłoki sprawa... Głos Tracchii słyhać było czysto i wyraźnie.

- Jesteś sam?

- Nie.

- To bądź.

- Georgette, kochana, idź przypudruj sobie nosek - powiedział Tracchia. Dziewczyna wstała nadąsana i wyszła z pokoju. - Możesz mówić, Willi.

- Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że zatrzymała cię ta niecierpiąca zwłoki sprawa, bo inaczej byłbyś teraz razem ze mną... w drodze do więzienia. Teraz słuchaj... Tracchia słuchał nadzwyczaj uważnie, a jego przystojną twarz wykrzywił grymas wściekłości, gdy Neubauer zdał mu pobieżną relację z rozwoju wypadków.

- To by było na tyle - zakończył Austriak. - Weź leee enfielda z lunetką. Jeżeli on tam dotrze pierwszy, to załatw go, jak wróci na brzeg... Zakładając, że przeżyje spotkanie z Paulim. Jeżeli ty dotrzesz tam wcześniej, to wejdź na pokład i na niego zaczekaj. Potem wrzuc karabin do wody. Kto jest teraz na pokładzie „Chevaliera”?

- Tylko Pauli. Wezmę ze sobą Yonnie'ego. Możliwe, że będę potrzebował obstawy albo



zwiadowcy. Słuchaj, Willi, nie się nie martw. Jutro cię wyciągniemy. Kontakty z przestępcami same w sobie nie są jeszcze przestępstwem, a przeciwko tobie nie mają jeszcze cienia dowodu.

- Skąd ta pewność? Skąd wiesz, że ty sam jesteś czysty? Z tym skurwielem Harlowem nigdy nic nie wiadomo. Ale zrób dla mnie jedno... załatw go.

- Z największą przyjemnością, Willi.

\* \* \*

W laboratorium Giancarla Harlow rozmawiał przez telefon:

- Tak. Jednoczesne aresztowania jutro o piątej rano. O piątej dziesięć będzie w Europie cała masa nieszczęśliwych ludzi. Trochę się śpieszę, więc daję ci Giancarla, on ci poda szczegóły. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze dziś w nocy. A na razie mam pewne spotkanie.

\* \* \*

# ROZDZIAŁ 11

- Panie Harlow, czy pan jest ze służby specjalnej... tajnym agentem, czy kimś takim? - zapytał Rory. Harlow zerknął na niego i wrócił wzrokiem na szosę. Prowadził szybko, ale bez przesady - wyglądało na to, że nie musi się specjalnie spieszyć.

- Jestem bezrobotnym kierowcą wyścigowym - odparł.

- Akurat! Kogo pan chce nabrać?

- Nikogo. Tylko tyle, że - używając twojego języka - jestem jakby pomagierem pana Dunnet.

- Ale co pan robi, panie Harlow? Chodzi mi o to, że pan Dunnet, jak mi się zdaje, raczej się nie przemęcza.

- Pan Dunnet koordynuje całą akcję, a mnie, jak sędzę, można by nazwać jego umyślnym.

- Tak. Ale co konkretnie pan robi?

- Sprawdzam innych kierowców Formuły I. Inaczej mówiąc, mam na nich oko. I na mechaników... na wszystkich, którzy są związani z wyścigami.

- Rozumiem. - Widać było, że Rory nic nie rozumie. - Nie chciałbym pana obrazić, panie Harlow, ale dlaczego wybrali akurat pana? Dlaczego pana też nie śledzą?

- Trafne pytanie. Pewnie dlatego, że od jakichś dwóch lat tak mi się wiedzie. Pewnie wykombinowali, że w legalny sposób zarabiam więcej, niż mógłbym zarobić nielegalnie.

- To ma ręce i nogi - zawyrokował Rory. - Ale dlaczego właśnie pan ich śledzi?

- Dlatego, że od ponad roku wokół wyścigów Formuły I panuje niewąski smrodek. Wozy, które były pewniakami, przegrywały, a wygrywały te, które nie miały na to najmniejszej szansy. Samochodom przytrafiały się tajemnicze awarie. Wypadały z torów w miejscach, gdzie nie było do tego najmniejszego powodu. Kończyło im się paliwo, kiedy nie miało prawa się skończyć. Przegrzewały się silniki... na skutek zagadkowego ubytku oleju, płynu chłodzącego, albo i jednego, i drugiego naraz. Kierowcy chorowali w najdziwniejszych momentach... i najbardziej niestosownych. A wóz, który zwycięża, przysparza właścicielowi tyle chwały, prestiżu, perspektyw, a przede wszystkim korzyści materialnych, że początkowo myślano, że to któryś producent lub, co bardziej prawdopodobne, właściciel jakiejś stajni wyścigowej próbuje w ten sposób opanować cały rynek.

- Ale tak nie było?

- Jak to błyskotliwie zauważyłeś, nie. Co stało się jasne, gdy producenci i właściciele zespołów odkryli, że wszyscy oni padają czyjąś ofiarą. Zwrócili się z tym do Scotland Yardu, ale usłyszeli tylko, że tamci nie mają możliwości interweniowania. W każdym razie Scotland Yard powiadomił o wszystkim Interpol, i w rezultacie na scenie pojawił się pan Dunnet.

- Ale jak wpadliście na trop takich ludzi jak Tracchia i Neubauer?

- Przede wszystkim, nielegalnie. Podśluch telefoniczny przez okrągłą dobę, śledzenie wszelkich poczynań głównych podejrzanych na każdym Grand Prix, przechwytywanie listów... W końcu wyłowiliśmy pięciu kierowców i siedmiu czy ośmiu mechaników, którzy zgarniali więcej forsy, niż mogli zarobić. Przy czym w większości wypadków były to dochody nieregularne - nie można „ustawić” wszystkich wyścigów. Natomiast Tracchia i Neubauer zgarniali forszę po każdym Grand Prix, wobec czego wykombinowaliśmy, że coś sprzedają... a tylko jedno można sprzedawać za takie pieniądze, jakie oni otrzymywali.

- Narkotyki. Heroinę.

- Właśnie. - Harlow wyciągnął rękę, wskazując coś na drodze. W świetle reflektorów Rory ujrzał tablicę z napisem: „Bandol”. Johnny zwolnił, opuścił szybę, wysunął głowę na zewnątrz i spojrzał w górę. Na niebie zaczynały się zbierać chmury, wciąż jednak było więcej usianego gwiazdami nieba niż chmur. Harlow podniósł szybę. - Mogliśmy sobie wybrać lepszą noc na taką robotę - stwierdził. - Jest za jasno. Na pewno mają tam jakiegoś strażnika, może nawet dwóch, do pilnowania twojej matki. Pytanie tylko, czy wystawią straż... nie w celu upilnowania twojej matki, żeby nie uciekła, ale po to, żeby nikt niepowołany nie mógł się dostać na pokład. Nie ma właściwie powodu, dla którego mieliby przypuszczać, że ktoś chciałby wejść na „Chevaliera”... nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogliby się dowiedzieć o tym, co spotkało Neubauera i spółkę. A jednak organizacja taka, jak braci Marzio, trzyma się przy życiu tylko dlatego, że nigdy nie podejmuje ryzyka.

- Czyli zakładamy, że będzie strażnik, tak, panie Harlow?

- Właśnie tak. Harlow wjechał do miasteczka i zaparkował samochód na pustym, ogrodzonym wysokim parkanem placu budowlanym, tak by nie można go było dojrzeć z wąskiej alejki za płotem. Zostawili samochód i trzymając się w głębokim cieniu, szybko lecz ostrożnie przemknęli się przez nabrzeże i port. Zatrzymali się, bacznie lustrując wschodnią stronę zatoki.

- Czy to nie on? - zapytał Rory napiętym szeptem, mimo iż w zasięgu słuchu nie było nikogo.

- Czy to nie on?

- Tak, to z całą pewnością „Chevalier”. W małej, skąpanej w świetle księżyca zatoczce o gładkiej jak lustro powierzchni wody, widać było co najmniej dwanaście jachtów i statków wycieczkowych. Najbliżej brzegu stał wspaniały jacht motorowy, mający bliżej siedemnastu niż dwunastu metrów długości oraz zdecydowanie niebieski kadłub i białe nadbudówki.

- A teraz? - spytał Rory. - Co teraz zrobimy? - Znowu dygotał, ale nie z zimna czy - jak to miało miejsce w „Pustelni” - ze strachu, lecz ze zwykłego podniecenia. Harlow spojrzał w górę, zastanawiając się. Niebo wciąż jeszcze było dosyć jasne, ale w stronę księżyca przesuwawała się potężna chmura.

- Zjemy coś. Jestem głodny.

- Co takiego? Pan chce teraz jeść? Ale... no, znaczy się... - Rory wskazał na jacht.

- Wszystko w swoim czasie. Nie przypuszczam, żeby twoja matka zniknęła w ciągu najbliższej godziny. A poza tym, jeżeli będziemy musieli, hm... pożyczyć sobie jakąś łódź, żeby podpłynąć do „Chevaliera”... no cóż, nie uśmiecha mi się perspektywa takiej wyprawy przy świetle księżyca. Nie mam zamiaru dać się złapać. A właśnie nadciągają chmury. Wypatruj swego czasu.

- Co takiego?

- Taki stary szkocki zwrot. Poczekajmy jeszcze trochę. Festina lente. Rory spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Festina co?

- Z ciebie faktycznie jest kawał wałkonia i ignoranta. - Harlow uśmiechnął się, by złagodzić obraźliwe słowa. - To jeszcze starsze, łacińskie wyrażenie. Śpiesz się powoli. Ruszyli dalej i zatrzymali się koło kawiarni nad brzegiem morza, którą Harlow bacznie obejrzał od zewnątrz. Potrząsnął głową z dezaprobatą. Przeszli do drugiej kawiarni, gdzie powtórzyło się dokładnie to samo. Wstąpili dopiero do trzeciej. Była niemal pusta. Usiedli przy zasłoniętym oknie.

- Co takiego ma ta knajpa, czego brakowało tamtym? - zaciekawił się Rory. Harlow uchylił nieco zasłonę.

- Widok. - Faktycznie, od swojego stolika mieli doskonały widok na „Chevaliera”.

- Rozumiem. - Rory bez przekonania wertował menu. - Nie przełknę ani kęsa.

- Może jednak spróbujemy - zachęcił go Johnny. Pięć minut później stały przed nimi dwa olbrzymie talerze zupy rybnej. Po dalszych pięciu minutach talerz Rory'ego był pusty. Harlow uśmiechnął się do talerza i do chłopca, lecz nagle uśmiech zamarł mu na ustach.

- Patrz na mnie, Rory. Nie oglądaj się. Przede wszystkim, nie patrz na bar. Zachowuj się i rozmawiaj naturalnie. Właśnie wszedł facet, którego swego czasu znałem. Mechanik, który opuścił Coronado kilka tygodni po tym, jak wszedłem do ekipy. Twój ojciec wyrzucił go za kradzież. On był bliskim przyjacielem Tracchii, a skoro jest teraz w Bandol, to stawiam milion do jednego, że wciąż jest jego przyjacielem. Mały człowieczek w brązowym kombinezonie, o opalonej twarzy, tak chudy i kościsty, że wyglądał jak zaszuszony, siedział przy barze z kuflem piwa przed sobą. Pociągnął pierwszy łyk i w tym momencie jego oczy spoczęły na lustrze w głębi baru. Zobaczył Harlowa, prowadzącego ożywioną rozmowę z Rorem. Zakrztusił się piwem i strzyknął śliną. Odstawił kufel, rzucił na ladę trochę drobnych i wyszedł. Starając się jak najmniej rzucić w oczy.

- Nazywali go Yonnie - rzekł Harlow. - Nie znam jego prawdziwego imienia. Sądzę, że jest przekonany, że go nie zobaczyliśmy ani nie rozpoznaliśmy. Jeżeli jest tu z Tracchią, w co nie wątpię, to Tracchia na pewno czeka na pokładzie jachtu. Pewnie go zwolnił na piwko albo odesłał, żeby móc mnie załatwić bez świadków, jak wejść na „Chevaliera”. Odsunął zasłony. Wyjrzeni na zewnątrz. Dostrzegli małą dingi o napędzie motorowym, kierującą się wprost do „Chevaliera”. Rory zerknął na

Harlowa pytająco?

- Nasz Nicolo Tracchia jest za bardzo zapalczywy, przez co nie jest takim kierowcą, jakim mógłby być - powiedział Johnny.

- Za pięć minut zasadzi się gdzieś w cieniu na brzegu, czekając na mnie, żeby mnie załatwić, jak tylko wystawię stąd nos. Biegaj do samochodu, Rory. Przynieś mi ten szpagat... i przylepiec. Mam wrażenie, że nam się przyda. Spotkamy się jakieś pięćdziesiąt metrów stąd, na molo przy samych schodkach. Harlow poprosił kelnera o rachunek, a Rory niespiesznie ruszył do drzwi. Zaledwie jednak minął zasłonięte sznurami paciorków wejście, przestał udawać, że mu się nie śpieszy. Dobiegł do ferrari, otworzył bagażnik i wyciągnął szpagat i plaster. Zawahał się, otworzył drzwi samochodu i spod siedzenia wyciągnął cztery pistolety. Wybrał najmniejszy z nich, pozostałe trzy schował z powrotem i przyjrzał się temu, który trzymał w ręku. Odciągnął bezpiecznik, rozejrzał się dookoła z poczuciem winy i wepchnął broń do wewnętrznej kieszeni kurtki. Szybkim krokiem ruszył na molo. Tam, przy samych schodkach znajdował się podwójny rząd beczek, ustawionych po dwie jedna na drugiej. Harlow i Rory stali w ich cieniu. Johnny trzymał w ręku pistolet. Zachowywali absolutną ciszę. Obaj słyszeli zbliżającą się dingi. Silnik łódki zwolnił obroty, a po chwili zamilkł. Doleciał ich odgłos kroków na drewnianych schodach i na molo pojawiły się dwie postacie: Tracchia i Yonnie. Tracchia trzymał karabin. Harlow wysunął się z cienia.

- Ani kroku dalej! Tracchia, rzuć broń! Ręce do góry! Męczy mnie już to wieczne powtarzanie się, ale pierwszy z was, który zrobi jakiś podejrzany ruch, dostanie kulę w łeb. Nie mam zwyczaju pudłować z odległości metra. Rory, sprawdź, co twój były przyjaciel oraz jego aktualny przyjaciel mają przy sobie. Wynikiem rewizji były dwa pistolety.

- Wrzuć je do wody. A wy podejdźcie no tutaj. Włóżcie za beczki i kładźcie się na ziemi, twarzą w dół. Ręce na kark. Rory, zajmij się naszym przyjacielem Yonnie'em. W niespełna dwie minuty Rory związał Yonnie'ego jak indyka. Widać było po nim wprawę, wyniesioną z niedawnej intensywnej praktyki.

- Wiesz, do czego służy plaster? - powiedział Harlow. Rory wiedział, do czego służy plaster. Zużył prawie metr czarnego izolowanego przylepca, zapewniając całkowite milczenie Yonnie'ego.

- Może oddychać? - zapytał Harlow.

- Jako tako.

- Wystarczy. Być może rano ktoś go znajdzie. Nieważne. Wstawaj, Tracchia.

- Ale czy...

- Signor Tracchia nam się przyda. Kto wie, czy na pokładzie nie ma jeszcze jednego strażnika? Nasz Tracchia to specjalista od brania zakładników, więc sam wie najlepiej, do czego jest nam potrzebny. Rory spojrział na niebo.

- Coś się tej chmurze nie śpieszy.

- Faktycznie, wygląda na to, że ma czas. Ale zaryzykujemy. Mamy ze sobą polisę ubezpieczeniową. Motorowa dingi płynęła przez skąpaną w świetle księżycy wodę. Tracchia sterował, a Harlow, siedząc twarzą do niego na środku łódki, trzymał w ręku pistolet. Do białoniebieskiego jachtu mieli około stu metrów. W sterówce „Chevaliera” jakiś wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna trzymał przy oczach lornetkę. Jego twarz stwardniała. Odłożył lornetkę, wyciągnął z szuflady rewolwer i wyszedł ze sterówki. Wspiął się po drabince na dach kabiny i położył na brzuchu. Dingi podpłynęła do schodków na rufie jachtu, przeznaczonych dla narciarzy wodnych. Rory zarzucił cumę. Na znak Harlowa Tracchia pierwszy wszedł na pokład i odsunął się na bok, ustępując miejsca Johnny'emu, który szedł za nim z pistoletem w ręku. Rory zamykał pochód. Harlow ruchem ręki kazał mu czekać, wbił pistolet w krzyże Tracchii i obaj ruszyli przeszukać jacht. Minutę później Harlow, Tracchia i Rory stali w jasno oświetlonym salonie na „Chevalierze”. Tracchia spoglądał spode łba.

- Wygląda na to, że na pokładzie nikogo nie ma - stwierdził Johnny. - Rozumiem, że pani Macalpine jest zamknięta za tymi drzwiami na dole. Daj klucz, Tracchia.

- Stać spokojnie! - odezwał się za nimi głęboki głos. - Nie odwracać się. Rzuć broń! Harlow stał spokojnie, nie odwrócił się i rzucił broń. Marynarz wszedł do salonu przez drzwi od strony rufy. Tracchia zaśmiał się, wniebowzięty.

- Doskonała robota, Pauli.

- Cała przyjemność po mojej stronie, signor Tracchia. - Pauli minął Rory'ego, dając mu pogardliwego kuksańca, który posłał chłopaka na podłogę, i podniósł broń Harlowa.

- A teraz ty rzuć broń! Ale już! - wykrztusił Rory drżącym głosem. Pauli okręcił się na pięcie; na jego twarzy malowało się kompletne zaskoczenie. Rory ścisnął pistolet roztrzęsionymi rękami. Pauli roześmiał się szeroko.

- Nie może być! Co za dzielny kogucik. - Uniósł swój rewolwer. Ręce Rory'ego drżały jak liście osiki w jesienną zawieruchę. Chłopiec zacisnął wargi, zamknął oczy i pociągnął za spust. Huk wystrzału w tym zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający, ale i tak nie zagłuszył krzyku bólu Pauliego, który w osłupieniu gapił się na krew, sączącą się z jego prawego ramienia. Na twarzy Tracchii malowało się podobne osłupienie, które szybko przeszło w grymas bólu, gdy lewy sierpowy Harlowa trafił go w żołądek. Zgiął się w pół, a Harlow wyrzwał go w kark. Tracchia był jednak twardy. Nadal skulony, wytoczył się na pokład, mijając po drodze Rory'ego. Chłopiec był trupioblady, ledwie żywy, i najwyraźniej miał już dość popisów strzeleckich na tę noc. Inna sprawa, że wyszło to tylko na dobre - Harlow deptał Tracchii po piętach, toteż sam mógłby paść ofiarą strzału Rory'ego. Chłopiec spojrział na rannego marynarza, a potem na pistolet i rewolwer, leżące u jego stóp. Wycelował w Pauliego.

- Siadaj! - rozkazał. Pauli ochocho wykonał polecenie - nie sposób było przewidzieć, gdzie może trafić następny strzał chłopaka. Tymczasem z pokładu dolatywały wyraźne odgłosy walki i jęki bólu. Rory chwycił oba pistolety i wybiegł z salonu. Walka na pokładzie osiągnęła właśnie punkt kulminacyjny. Tracchia, wściekle wierzgając nogami w powietrzu, leżał wygięty w łuk na poręczy relingu, górną połową ciała przechylony ku wodzie. Harlow zaciskał mu ręce na gardle. Ze swej

strony Tracchia tłukł Johnny'ego po posiniaczonej, zmalretowanej twarzy, ale z niewielkim skutkiem - Harlow zawzięcie przeginał go coraz bardziej. Nagle zmienił taktykę, puścił prawą ręką gardło Tracchii, wsunął mu ją pod biodra i zaczął przerzucać go przez reling.

- Nie umiem pływać! Ja nie umiem pływać! - W bełkotliwym wrzasku trudno było rozpoznać głos Tracchii. Na twarzy Harlowa nie drgnął żaden mięsień, zupełnie jakby kierowca nie usłyszał rozpaczliwego krzyku. Jeszcze jedno spazmatyczne szarpnięcie i Tracchia, wymachując nogami, wpadł do morza z donośnym pluskiem, wzbijając fontannę wody. Postrzępiona chmura nareszcie przesłoniła księżyc. Przez dobre piętnaście sekund Johnny wpatrywał się w wodę, po czym zapalił latarkę i zatoczył nią koło po powierzchni morza dookoła całego jachtu. Znowu wychylił się za burtę i dysząc ciężko, zwrócił się do Rory'ego:

- Może on jednak mówił prawdę. Może nie umiał pływać. Rory zrzucił kurtkę.

- Ale ja umiem pływać. Pływam bardzo dobrze, panie Harlow. Johnny żelaznym chwytem złapał go za kołnierz.

- Tyś chyba całkiem oszalał, Rory. Chłopiec spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, następnie pokiwał głową, włożył kurtkę i rzekł:

- Robactwo?

- Właśnie. Wrócili do salonu. Pauli wciąż lamentował, zgarbiony na kanapie.

- Klucze do kabiny pani Macalpine - zażądał Harlow. Pauli ruchem głowy wskazał szufladę w szafce. Harlow znalazł klucz, odpiął apteczkę zawieszoną na grodzi i sprowadził Pauliego na dół, trzymając go na muszce. Otworzył drzwi pierwszej z brzegu kabiny i gestem zaprosił go do środka. Wrzucił za nim apteczkę.

- Za pół godziny będzie tu lekarz - powiedział. - Twoja sprawa, czy wytrzymasz do tej pory, czy zdechniesz. Wyszedł, zamykając kabinę na klucz.

\* \* \*

W sąsiedniej kabynie na stołku przy koi siedziała mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Była wychudzona i blada na skutek długotrwałego uwięzienia, a mimo to wciąż piękna i uderzająco podobna do córki. Siedziała obojętna, apatyczna - obraz rezygnacji i rozpacz. Strzały i hałas na pokładzie nie mogły ująć jej uwadze, ale nie było tego widać po jej twarzy. W zamku zazgrzytał klucz, otworzyły się drzwi i do kabiny wszedł Harlow. Kobieta nawet nie drgnęła. Podeszedł do niej, lecz ona wciąż obojętnie patrzyła na podłogę.

- Przyszedłem cię zabrać do domu, Marie - powiedział Johnny łagodnie. Odwróciła głowę z niedowierzaniem. W pierwszej chwili, co zrozumiałe, nie poznała stojącej przed nią postaci, aż wreszcie powoli, jakby z oporem, dotarła do niej prawda. Wstała niepewnie, uśmiechnęła się leciutko i chwiejnie zrobiła krok do przodu. Otoczyła szyję Johnny'ego szczupłymi rękami i ukryła twarz w jego ramionach.

- Johnny Harlow - wyszeptwała.

- Kochany, kochany Johnny. Johnny Harlow... Co oni zrobili z twoją twarzą?

- Nic takiego, czego czas nie wyleczy - odrzekł Harlow raźnie.

- Poza tym, wcale nie jest tak źle. - Poklepał ją po plecach, upewniając o swojej obecności, po czym delikatnie oswobodził się z jej uścisku. - Mam tu kogoś, kto chciałby cię zobaczyć, Marie.

\* \* \*

Jak na kogoś, kto zaklinał się, że nie umie pływać, Tracchia pruł wodę niczym torpeda. Dopłynął do schodków, wygramolił się na molo i ruszył do najbliższej budki telefonicznej. Zamówił rozmowę z Vignolles na koszt rozmówcy i przez dobre pięć minut czekał na połączenie - francuskie telefonistki nie cieszą się najlepszą opinią. Poprosił do telefonu Jacobsona, który odebrał rozmowę w swojej sypialni. Relacja Tracchii z rozwoju wypadków była zwięzła i precyzyjna, choć trwałaby zapewne krócej, gdyby nie okrzyki zdziwienia rozmówcy.

- Więc tak się sprawy mają, Jake - zakończył Tracchia. - Ten skurwiel wykiwał nas wszystkich. Jacobson siedział na łóżku z twarzą wykrzywioną gniewem, ale poza tym był całkiem opanowany.

- To jeszcze nie koniec - warknął. - Straciliśmy asa atutowego, więc musimy sobie znaleźć następnego, no nie? Pojmujesz? Spotkamy się w Bandol, za godzinę. Tam, gdzie zwykle.

- Weźmiesz mój paszport?

- Tak.

- Jest u mnie w szufladzie, w stoliku nocnym. Tylko, na miłość boską, przywieź mi jakieś suche ubranie, bo dostanę zapalenia płuc! Tracchia wyszedł z budki, uśmiechając się. Ruszył w stronę rzędu beczek, szukając bezpiecznego miejsca, skąd mógłby obserwować „Chevaliera”. Po drodze dosłownie wpadł na związanego Yonnie'ego.

- Jezus, Maria! Yonnie! Na śmierć o tobie zapomniałem! - Związany, zakneblowany mężczyzna spojrział na niego błagalnie, lecz Tracchia potrząsnął głową.

- Przykro mi, stary, ale nie mogę cię jeszcze rozwiązać. Ten skurwiel Harlow, a raczej młody Macalpine, postrzelił Pauliego. Musiałem uciekać wpław. Oni dwaj lada chwila zejda na brzeg. Harlow może będzie chciał sprawdzić, czy wciąż tu jesteś. Jeżeli tak, a ciebie tu nie będzie, to natychmiast narobi krzyku i podniesie alarm. Ale jeżeli cię tu zastanie, to na pewno dojdzie do wniosku, że jak trochę poleżysz, to skruszejesz. To nam pozwoli zyskać na czasie. Jak odejdą, popłyniesz dingi na „Chevaliera”. Weź pierwszą lepszą torbę i włóż do niej wszystkie papiery z dwóch górnych szuflad w stole nakresowym. Człowieku, gdyby tak gliniarze położyli na tym łapy! Między innymi i twoje dni byłyby policzone. Zawieziesz to wszystko moim samochodem do Marsylii i zaczekasz tam na nas. Jak zdobędziesz te papiery, to jesteś czysty. Harlow cię nie rozpoznał, było na to za ciemno, a nikt nawet nie zna twojego nazwiska. Kapujesz? Yonnie przytaknął posępnie i



odwrócił wzrok w stronę portu. Tracchia pokiwał głową. Usłyszeli charakterystyczny warkot silnika i po chwili zza „Chevaliera” wypłynęła dingi. Tracchia na wszelki wypadek cofnął się o jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Dingi podpłynęła pod molo. Podczas gdy Rory przywiązywał cumę, Harlow pomógł wysiąść Marie, a potem sam wyskoczył na schodki. W rękę trzymał pistolet. Przez chwilę Tracchia miał ochotę stuknąć Harlowa po głowie, ale natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że Harlow nie będzie więcej ryzykował i - jeżeli okaże się to konieczne - zastrzeli go z zimną krwią. Tymczasem Johnny ruszył wprost do Yonnie'ego, pochylił się nad nim i wyprostował.

- Przeżyje - oświadczył. Cała trójka przeszła przez jezdnię do najbliższej budki telefonicznej - tej samej, z której niedawno korzystał Tracchia. Kiedy Harlow wszedł do środka, Tracchia przysunął się ukradkiem za osłoną skrzyń i beczek do Yonnie'ego, wyciągnął nóż i przeciął mu więzy. Yonnie usiadł; wyglądał jak ktoś, kto oddałby wszystkie skarby tego świata za luksus kilku minut wrzeszczenia z bólu - Rory nie wykazał najmniejszego respektu dla jego krążenia krwi. Pomasował obolałe dłonie i nadgarstki, po czym - równie ostrożnie, co niechętnie - zerwał sobie plaster z twarzy. Otworzył usta, lecz Tracchia błyskawicznie zakrył mu je ręką, powstrzymując nieuchronny stek najgorszych wyzwisk.

- Cicho! Oni są po drugiej stronie ulicy. Harlow gdzieś dzwoni. - Tracchia cofnął rękę.

- Jak skończy, pójde za nimi i sprawdzę, czy naprawdę opuszczają Bandol. Ty leć do dingi. Pamiętaj, że Harlow nie może usłyszeć silnika, bo wróci sprawdzić, co się tutaj dzieje.

- Co? Mam wiosłować? - zaprotestował Yonnie ochryłym głosem. Zgiął palce i skrzywił się.  
- Ręce mam kompletnie sztywne.

- To lepiej je szybko rozruszaj, albo sam będziesz sztywny - doradził mu Tracchia beznamiętnie. - Oho! - ściszył głos. - Harlow wyszedł już z budki. Ani słowa. Ten sukinsyn słyszy opadające liście na dwadzieścia metrów. Harlow, Rory i pani Macalpine ruszyli w górę ulicy. Kiedy skręcili za róg i zniknęli z widoku, Tracchia polecił:

- Zbieraj się. Patrzył, jak Yonnie schodzi po schodkach do łódki, po czym szybko ruszył w ślad za Harlowem. Trzymał się w dyskretnej odległości przez jakieś trzy minuty, do chwili, gdy cała trójka skręciła w lewo, ginąc mu z oczu. Przyspieszył i ostrożnie wyjrzał zza rogu. Zawahał się, widząc przed sobą ślepą uliczkę, lecz nagle zeszywniał, słysząc charakterystyczny ryk silnika ferrari. Dygocząc z zimna w przemoczonym ubraniu, wcisnął się czym prędzej w cień pobliskiej alejki. Ferrari wyjechało ze ślepego zaułka, skręciło w lewo i skierowało się na północ. Tracchia spoglądał przez chwilę za oddalającym się samochodem i szybko ruszył do telefonu. Zanim uzyskał połączenie z Vignolles, jak zwykle nastąpiła denerwująca przerwa. W końcu jednak złapał Jacobsona.

- Harlow odjechał właśnie z panią Macalpine i z małym - powiedział. - Przed wyjazdem gdzieś dzwonił, jestem prawie pewien, że do Vignolles, zawiadomić Macalpine'a, że wraca z jego żoną. Na twoim miejscu wyszedłbym tylnymi drzwiami.

- Spokojna twoja głowa - odrzekł Jacobson nie tracąc pewności siebie. - Wychodzę tylnymi drzwiami. Po drabince przeciwpożarowej. Mam już w astonie nasze teczki, a w kieszeni paszporty.

Teraz idę po nasz trzeci paszport. Na razie. Tracchia odłożył słuchawkę i właśnie miał zamiar otworzyć drzwi budki telefonicznej, gdy nagle stanął jak skamieniały. Wielki czarny citroen podjechał cicho na nabrzeże. Dojeżdżając do celu kierowca samochodu wygasił wszystkie światła. Tracchia nie widział ani świateł na dachu, ani syreny... a jednak był to niewątpliwie radiowóz, w dodatku składający jakąś tajemniczą wizytę. Wysiadło z niego czterech umundurowanych policjantów. Tracchia uchylił drzwi, by zgąsło włączane automatycznie światło, i cofnął się jak najdalej w głąb budki modląc się, żeby go nikt nie zauważył. Miał szczęście, ponieważ czterej policjanci natychmiast zniknęli za beczkami, w miejscu, gdzie nieco wcześniej leżał Yonnie. Dwaj z nich zapalili latarki. Wrócili po dziesięciu sekundach. Tracchia zauważył, że jeden z policjantów trzyma coś w ręku. Nie widział wprawdzie, co to jest, ale nie musiał... wiedział, że to z pewnością szpagat i czarny plaster, które posłużyły do unieruchomienia i uciszenia Yonnie'ego. Po krótkiej naradzie czterej policjanci ruszyli do schodków prowadzących na molo, a dwadzieścia sekund później cicho, lecz zdecydowanie wiosłowali już w kierunku „Chevaliera”. Wychodząc z budki, Tracchia bezsilnie zaciskał pięści. Mamrotał coś pod nosem, klnąc siebie samego. Jedyne nadające się do powtórzenia słowo - za to powtarzające się nader często - brzmiało: „Harlow”. Tracchia uświadomił sobie poniewczasie, że Harlow nie dzwonił do Vignolles, lecz na miejscowy komisariat.

\* \* \*

W Vignolles Mary przebierała się w swoim pokoju do obiadu, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła i ujrzała Jacobsona.

- Mogę z tobą zamienić kilka słów, Mary? - zapytał mechanik.

- To bardzo ważne. Przez chwilę spoglądała na niego ze zdziwieniem, po czym wpuściła go do pokoju. Jacobson wszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Co to za ważna sprawa? Czego pan chce? - zapytała z zaciekawieniem. Jacobson wyciągnął pistolet.

- Ciebie. Mam kłopoty i potrzebna mi jest polisa ubezpieczeniowa, żebym nie miał dalszych kłopotów. Ty będziesz moim ubezpieczeniem. Spakuj sobie parę niezbędnych drobiazgów i daj mi swój paszport. Dała mu paszport i spakowała torbę. Jacobson podszedł do łóżka i pomógł jej zapiąć paski.

- No, chodźmy już.

- Dokąd mnie pan zabiera?

- Powiedziałem: idziemy! - Złowróżbnym gestem uniósł pistolet.

- To lepiej niech mnie pan od razu zastrzeli. Będę ósma.

- Jedziemy do Cuneo. A potem jeszcze kawałek dalej. - W jego ochrypłym głosie zabrzmiała nuta szczerości. - Ja nie wojuję z kobietami. W ciągu dwudziestu czterech godzin zostaniesz zwolniona.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin zostaną zabita. - Wzięła swoją torebkę. - Mogę przedtem pójść do łazienki? Niedobrze mi. Jacobson otworzył drzwi łazienki i zajrzał do środka.

- Nie ma okien, nie ma telefonu. Zgoda. Mary weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Z torebki wyjęła ołówek, nabazgrała kilka słów na skrawku papieru, położyła notatkę na podłodze za drzwiami i wróciła do pokoju. Jacobson czekał na nią. W lewej ręce trzymał jej torbę, w prawej pistolet, wepchnięty wraz z dłonią głęboko w kieszeń kurtki.

\* \* \*

Na pokładzie „Chevaliera” Yonnie wrzucił ostatnie dokumenty ze stołu nakresowego do dużego nesesera. Wrócił do salonu, położył teczkę na kanapie i przeszedł do kajut mieszkalnych. W swojej kabynie przez pięć minut pracowicie pakował rzeczy osobiste do brezentowej torby, po czym sprawdził pozostałe kabiny, szukając pieniędzy lub kosztowności. Połów był obfity. Wrócił do swojej kabiny i schował zdobycz do torby. Wyszedł na korytarz. Na schodkach prowadzących na pokład zatrzymał się. Jego twarz powinna wyrażać zdumienie i strach, lecz nic podobnego nie nastąpiło - Yonnie już dawno zatracił wszelkie ludzkie cechy i odruchy. Czterech potężnie zbudowanych, uzbrojonych policjantów siedziało wygodnie na kanapach w salonie. Sierżant trzymał na kolanach neseser, na nim dłoń, a w niej rewolwer, wycelowany mniej więcej w serce Yonnie'ego.

- Wybierasz się gdzieś, Yonnie? - zapytał miłym głosem.

\* \* \*

## ROZDZIAŁ 12

Ferrari znowu mknęło w ciemnościach. Harlow ani się nie włókł, ani też nie zarzynał samochodu - podobnie jak podczas jazdy z Marsylii do Bandol, zdawało się, że nie ma powodów do pośpiechu. Obok niego siedziała pani Macalpine; na wyraźne życzenie Harlowa zapięła podwójne pasy bezpieczeństwa. Rory wyciągnął się sennie na tylnym siedzeniu.

- Widzisz więc, że to było całkiem proste - mówił Johnny. - Jacobson był mózgiem tej bandy, ale trzymał się w cieniu. W śledztwie okaże się, że główną rolę odgrywali bracia Marzio. W każdym bądź razie obstawianie wyścigów Grand Prix było pomysłem Jacobsona, który zwielokrotnił swoje szanse, przekupując co najmniej pięciu kierowców. I jeszcze więcej mechaników. Płacił im całkiem nieźle... ale sam zbijał majątek. Tylko ja stałem mu na drodze... wiedział aż nazbyt dobrze, że nawet nie ma co próbować mnie przekupić, a ponieważ wygrywałem większość wyścigów, dosyć skutecznie psułem mu interes. Dlatego właśnie próbował mnie zabić w Clermont-ferrand. Mam dowody... na zdjęciach i na filmie. Rory otrząsnął się na tylnym siedzeniu.

- Ale jak on to mógł zrobić, skoro był pan już wtedy na torze?

- I to nie sam, tak? Na dwa sposoby. Albo podłożył odpalany przez radio ładunek wybuchowy na zawieszaniu, albo chemicznie detonowany ładunek na przewodach hamulców hydraulicznych. Oba takie ładunki, jak sądzę, rozpadłyby się przy wybuchu w drobny mak, nie zostawiając śladów swojej obecności. Na filmie zarejestrowałem zresztą moment, kiedy Jacobson wymienia po tym wyścigu i zawieszanie, i przewody hamulcowe.

- To dlatego zawsze sam sprawdzał samochody po wypadkach? - zapytał Rory. Harlow przytaknął i zadumał się na chwilę.

- Ale w jaki sposób... jak mogłeś dać się tak poniżyć? - odezwała się pani Macalpine.

- No cóż, przyjemne to raczej nie było. Ale sami wiecie, jaką popularnością się wtedy cieszyłem. Nic nie mogłem zrobić potajemnie, nawet umyć zębów, a co dopiero wykonać to, co mi zlecono. Musiałem się uwolnić od tej sławy, usunąć się w cień i stać się samotnikiem. Nie było to nawet takie trudne. Natomiast jeśli chodzi o zniesienie się do roli kierowcy transportera... ba, musiałem jakoś sprawdzić, czy towar wychodzi z garażu Coronado, czy nie. Wychodził.

- Towar...?

- Kurz. To żargonowe określenie heroiny. Moja droga Marie, utrata panowania nad kierownicą podczas wyścigu o Grand Prix nie jest jedynym sposobem na śmierć wśród kurzu.

- Śmierć wśród kurzu. - Wstrząsnęła się i powtórzyła: - Śmierć wśród kurzu. Powiedz mi, Johnny, czy James wiedział o tym?

- Od sześciu miesięcy wiedział, że do przemytu wykorzystywany jest jego transporter... ale, o dziwo, nigdy nie podejrzewał Jacobsona. Jak sądzę dlatego, że za długo się znają. A oni musieli jakoś zapewnić sobie jego milczenie. Udało im się to dzięki tobie, a przy tej okazji mogli go jeszcze

szantażować i naciągać na mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy funtów miesięcznie. Milczała przez dobrą chwilę, po czym zapytała:

- Czy James wiedział, że ja żyję?

- Tak.

- Ale wiedział także o heroinie... wiedział o niej przez cały czas. Pomyśl tylko o tych wszystkich ludziach, którzy przegrali życie... albo je stracili. Pomyśl o... Harlow wyciągnął prawą rękę i ujął jej dłoń.

- Wydaje mi się, Marie, że on cię po prostu kocha. W tym momencie ujrzeni nadjeżdżający z naprzeciwka samochód z włączonymi światłami mijania. Harlow również włączył światła mijania, natomiast kierowca drugiego samochodu, jakby przez pomyłkę, zapalił „długie” i zaraz je zgasił. Kiedy oba wozy się mijaly, kierowca drugiego odwrócił się do swojej pasażerki - młodej dziewczyny ze skrępowanymi z przodu rękami.

- Pa-ram-pam-pam! - zanucił radośnie Jacobson. - Nasz błędny rycerz wybrał się w złym kierunku. W ferrari pani Macalpine powiedziała:

- To znaczy, że James stanie przed sądem za... za współpracę w tym handlu heroiną?

- James nigdy nie stanie przed żadnym sądem.

- Ale heroina...

- Heroina? - przerwał jej Johnny. - Heroina? Rory, słyszałeś, żeby ktoś tu mówił o jakiejś heroinie?

- Mama ostatnio miała ciężkie przejścia, panie Harlow. Zdaje mi się, że zaczyna majaczyć.

\* \* \*

Aston martin podjechał przed zaciemnioną kawiarenkę na przedmieściach Bandol. Tracchia, dygocząc gwałtownie, wynurzył się z cienia i usiadł na tylnym siedzeniu astona.

- Jak widzę, masz nawet polisę ubezpieczeniową. Ale zatrzymaj się, Jake, przy pierwszych zaroślach za Bandol. Jak nie zrzucę tych łachów, to zamrznę na śmierć.

- Dobrze. Gdzie Yonnie?

- Siedzi.

- Psiakrew! - Ta wiadomość wstrząsnęła nawet flegmatycznym Jacobsonem. - Jak to się stało, do ciężkiej cholery?!

- Wysłałem go na jacht, zanim do ciebie zadzwoniłem. Kazałem mu zabrać papiery i dokumenty

z dwóch górnych szuflad w stole nakresowym. Wiesz, Jake, jakie to było ważne?

- Wiem. - W głosie Jacobsona słysząc było napięcie.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Harlow zadzwonił do Vignolles? Gówno prawda. Ten skurwiel zadzwonił na policję w Bandol. Przyjechali, zanim jeszcze zdążyłem wyjść z budki. Nic nie mogłem poradzić. Podpłynęli do „Chevaliera” i nakryli Yonnie'ego.

- A papiery?

- Jeden z policjantów niósł wielki neseser.

- Coś mi się zdaje, że klimat w Bandol nie jest dla nas najzdrowszy. - Jacobson odzyskał spokój. Ruszył sprzed kawiarni, ale powoli, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. - Trudno - powiedział, kiedy dojechali na skraj miasteczka. - Skoro mają nasze papiery i tę kasetę Harlowa, to cała operacja spalona. |Termine. |Fine. Koniec drogi. - Wydawał się nadzwyczaj spokojny.

- I co dalej?

- Operacja odlot. Planowałem ją już od miesiący. Pierwszym przystankiem jest nasze mieszkanie w Cuneo.

- Nikt o nim nie wie?

- Nikt. Poza Willim, ale on się nie wygada. Zresztą mieszkanie jest zapisane na całkiem inne nazwisko. - Zatrzymał się przy gęstej kępie drzew. - Bagażnik jest otwarty, twoje rzeczy są w szarej walizce. Ubranie, które masz na sobie, zostaw gdzieś pod drzewem.

- Dlaczego? To całkiem przyzwoity garnitur...

- A jak ci się zdaje, co by było, gdyby nas przeszukali na granicy i znaleźli przemoczone ubranie?

- Masz rację - przyznał Tracchia i wysiadł. Kiedy powrócił po kilku minutach, Jacobson siedział na tylnym siedzeniu. - Mam prowadzić?

- Czas ucieka, a ja nie nazywam się Nicolo Tracchia. - Podczas gdy kierowca wrzucał bieg, Jacobson mówił dalej: - Na Col de Tende nie powinniśmy mieć kłopotów z celnikami i policją. Nie dowiedzą się o nas jeszcze przez kilka dobrych godzin. Całkiem możliwe, że nawet jeszcze nie odkryli zniknięcia Mary. Poza tym nie mają pojęcia, dokąd zmierzamy. Nie ma powodu, dla którego mieliby zawiadamiać służbę graniczną. Ale zanim dotrzemy do granicy szwajcarskiej, możemy już mieć kłopoty.

- Więc?

- Dwie godziny w Cuneo. Zmienimy samochód... astona zostawimy w garażu, a weźmiemy peugeota. Spakujemy więcej ubrań, weźmiemy pozostałe paszporty i inne dokumenty, a potem

zadzwonimy do Erity i do znajomego fotografa. W ciągu godziny Erita zrobi z naszej Mary blondynkę, a niewiele później nasz przyjaciel będzie miał dla niej śliczny, błyszczący paszport brytyjski. Następnie pojedziemy do Szwajcarii. Jak rozdmuchają całą sprawę, to chłopcy na granicy będą czujni... oczywiście tylko na tyle, na ile ci idioci mogą być czujni w środku nocy. Ale rzecz w tym, że będą szukali aston martina z jednym mężczyzną i brunetką... zakładając oczywiście, że nasi przyjaciele w Vignolles potrafią dodać dwa do dwóch, w co mocno wątpię. Nie będą szukać dwóch mężczyzn i blondynki w peugeocie, z paszportami wystawionymi na zupełnie inne nazwiska. Tracchia prowadził teraz z niemal maksymalną szybkością, więc Jacobson musiał krzyczeć, żeby kierowca go usłyszał. Aston martin to wspaniała maszyna, ale nie słynie z cichego silnika - rzesze złośliwych krytyków utrzymują, że do pojazdów tej marki wkłada się silniki od traktorów firmy David Brown. Posiadacze ferrari i lamborghini określają zaś astona mianem najszybszej ciężarówki w Europie.

- Jesteś nadzwyczaj pewny siebie, Jake! - krzyknął Tracchia.

- Fakt. Tracchia zerknął na siedzącą obok niego dziewczynę.

- A co będzie z Mary? Bóg mi świadkiem, że nie jesteśmy aniołami, ale jej nie chciałbym skrzywdzić.

- Nie stanie jej się żadna krzywda. Już jej powiedziałem, że z kobietami nie wojuję, i podtrzymuję swoje słowa. Ona nam zapewni bezpieczny przejazd, w razie, gdyby nas dogoniła policja.

- Albo Johnny Harlow?

- Albo Harlow. Po przyjeździe do Zurychu zajdziemy do banku i podejmiemy gotówkę, a inni zatrzymają ją jako zakładniczkę. A potem odlecimy w siną dal.

- Spodziewasz się w Szwajcarii jakichś kłopotów?

- Najmniejszych. Nie jesteśmy aresztowani, a tym bardziej skazani, więc nasi przyjaciele w Zurychu nie ujawnią naszych kont. Zresztą i tak występujemy tam pod innymi nazwiskami.

- W siną dal, powiadasz? Kiedy na każdym lotnisku będą nas witały nasze podobizny!

- Tylko na tych największych, obsługujących regularne loty. W okolicy nie brakuje mniejszych lotnisk. Jest taki prywatny pas startowy na lotnisku w Kloten. Jeden z tamtejszych pilotów to mój przyjaciel. Zgłosi planowy odlot do Genewy, co oznacza, że unikniemy odprawy celnej. Wylądujemy gdziekolwiek, byle dalej od Szwajcarii. On w razie czego będzie twierdził, że został uprowadzony. Dziesięć tysięcy franków szwajcarskich powinno to załatwić.

- Ty, Jake, myślisz o wszystkim - W głosie Tracchii brzmiał szczerzy podziw.

- Staram się. - Jacobson, o dziwo, mówił niemal z samozadowoleniem. - Po prostu się staram.

\* \* \*

Przed hotelem w Vignolles stało czerwone ferrari. Macalpine trzymał w ramionach szlochającą żonę. A jednak nie cieszył się tak, jak można się było spodziewać. Dunnet podszedł do Harlowa.

- Jak się czujesz, chłopcze?

- Zmordowany jak jasna cholera.

- Mam dla ciebie złe wieści, Johnny. Jacobson zniknął.

- On może poczekać. Jeszcze go dostanę.

- To nie wszystko, Johnny.

- Coś jeszcze?

- On zabrał ze sobą Mary. Harlow stał w miejscu, nieruchomy jak kamień. Jego ściągnięta, znużona twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- James o tym wie?

- Przed chwilą mu powiedziałem. Zdaje się, że właśnie mówi o tym żonie. - Podał Johnny'emu skrawek papieru. - Znalazłem to w łazience Mary. Harlow spojrział na kartkę.

- „Jacobson wiezie mnie do Cuneo” - przeczytał. - Jadę - dorzucił jednym tchem.

- Nie możesz, człowieku! Jesteś kompletnie wyczerpany. Sam to przecież powiedziałeś!

- Teraz już nie. Jedziesz ze mną? Dunnet pogodził się z rzeczywistością.

- Nawet mnie nie próbuj zatrzymać. Ale nie mam broni.

- Broń to my mamy - wtrącił się Rory. Na potwierdzenie wyciągnął cztery pistolety.

- My? - rzekł Harlow. - Ty zostajesz.

- Niech mi wolno będzie panu przypomnieć, panie Harlow, że dziś w nocy już dwa razy uratowałem panu życie - powiedział Rory surowym tonem. - Mam prawo jechać. Johnny pokiwał głową.

- Masz prawo. Macalpine z żoną spoglądali na nich przybitym wzrokiem. Na ich twarzach malowała się zdumiewająca kombinacja szczęścia, oszołomienia i załamania.

- Alexis wyznał mi wszystko - powiedział Macalpine przez łzy.

- Nigdy ci się za to nie odwdzięczę. Nigdy sobie nie wybaczę, że tak się stało, i nie starczy mi życia na przeprosiny, jakie ci jestem winien. Zniszczyłeś swoją karierę, zrujnowałeś się, żeby mi zwrócić Marie.



- Zrzuńowałem się? - powiedział chłodno Harlow. - Nonsens. Zbliża się następny sezon. - Uśmiechnął się bez radości. - A przy tym ubędzie sporo groźnej konkurencji. - Znów się uśmiechnął, tym razem zachęcająco. - Przywiozę wam Mary. Z twoją pomocą, James. Ciebie wszyscy znają, ty znasz wszystkich, i jesteś milionerem. Stąd do Cuneo prowadzi tylko jedna droga. Zadzwoń do kogoś, najlepiej do jakiejś dużej firmy transportowej w Nicei. Zaproponuj im dziesięć tysięcy funtów za zablokowanie Col de Tende po francuskiej stronie. Powiedz, że zniknął mój paszport. Rozumiesz?

- Mam w Nicei przyjaciela, który to zrobi za darmo. Ale jaki to ma sens, Johnny? To robota dla policji.

- Nie. Nie jestem zwolennikiem kontynentalnego zwyczaju ostrzeliwania poszukiwanych samochodów i zadawania potem pytań nieboszczykom. Ja...

- Johnny, to nie ma znaczenia, czy ty ich złapiesz wcześniej, czy policja. Wiem, że wiesz o wszystkim, wiedziałeś od dawna. Ci dwaj i tak mnie wykończą.

- Jest jeszcze trzeci człowiek - odrzekł Harlow uprzejmie. - Willi Neubauer. Ale on nigdy nie będzie o tym gadał. Przyznanie się do porwania załatwiłoby mu dodatkowe dziesięć lat odsiadki. Ty mnie nie słuchałeś, James. Zadzwoń do Nicei. I to zaraz. Powiedziałem tylko, że przywiozę Mary z powrotem. Macalpine stał u boku żony. Oboje wsłuchiwali się w zamierający ryk silnika ferrari.

- Co on miał na myśli, James, mówiąc, że przywiezie Mary z powrotem? - szepnęła Marie Macalpine.

- Muszę natychmiast zadzwonić do Nicei. A potem strzelimy sobie największego kielicha, jakiego tu serwują. Zjemy skromny obiad i do łóżka. Nic więcej nie możemy już zrobić. - Przerwał, a po chwili dokończył niemal ze smutkiem: - Moja odporność ma swoje granice. Nie mam tej klasy co Johnny Harlow.

- Co on miał na myśli, James?

- To, co powiedział. - Macalpine mocniej ścisnął ramię żony. - Sprowadził cię do nas z powrotem, prawda? Mary też sprowadzi. Nie wiesz, że oni się kochają?

- Co on miał na myśli?

- To, że żaden z nas nie zobaczy więcej Jacobsona i Tracchii - odparł Macalpine drewnianym głosem.

\* \* \*

Koszmarna podróż do Col de Tende, podróż, która na zawsze pozostanie w pamięci Dunnetta i Rory'ego, minęła, z jednym tylko wyjątkiem, w absolutnej ciszy. Stało się tak po części dlatego, że Harlow był całkowicie pochłonięty prowadzeniem, a częściowo dlatego, że Dunnetta i Rory'ego sparaliżował strach. Harlow nie prowadził ferrari na granicy przyczepności samochodu - w opinii obu pasażerów daleko ją przekraczał. Kiedy pruli autostradą prowadzącą z Cannes do Nicei, Dunnet zerknął na szybkościomierz. Wskazywał dwieście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Można coś powiedzieć? - zapytał dziennikarz. Johnny zerknął na niego w ułamku sekundy.

- Ależ oczywiście.

- Jezu Chryste Wszechmogący! Supergwiazdo, jeśli wolisz. Jesteś najlepszym kierowcą na świecie, zapewne najlepszym, jaki kiedykolwiek żył. Ale, do ciężkiej, zaszanej cholery...

- Bądź łaskaw się nie wyrażać - przerwał mu Harlow uprzejmie.

- Za nami siedzi mój przyszły szwagier, jak na razie nieletni.

- To w taki sposób zarabiasz na życie?

- Ano, w taki. - Podczas gdy przypięty pasami do fotela Dunnet z desperacją i przerażeniem macał dookoła siebie w poszukiwaniu jakiegoś oparcia dla ręki, Harlow przyhamował, zredukował bieg i z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pełnym poślizgiem przeleciał z piskiem opon przez zakręt, który niewielu kierowców odważyłoby się wziąć setką. - Ale przynasz mi chyba rację, że lepsze to od pracy.

- Jezus, Maria! - Dunnet, nieco otępiały, zamilkł i zamknął oczy jak do modlitwy. Najprawdopodobniej zresztą właśnie się modlił. N-204 - szosa łącząca Niceę z La Giandola - na odcinku, gdzie łączy się z szosą z Ventimiglia, jest nadzwyczaj kręta, usiana efektownymi serpentynami i miejscami wznosi się na wysokość ponad tysiąc metrów nad poziom morza, ale Harlow traktował ją jak autostradę. Teraz już zarówno Dunnet, jak i Rory siedzieli z zamkniętymi oczyma... być może z wyczerpania, lecz najprawdopodobniej woleli nie patrzeć na to, co się dzieje. Szosa była kompletnie pusta. Przejechali przez Col de Braus, następnie przez Sospel, wręcz absurdalnie przekraczając dozwoloną szybkość, i przez Col de Brouis dotarli do La Giandola nie napotykając po drodze ani jednego samochodu, co było nader szczęśliwym zbiegiem okoliczności... szczęśliwym dla nerwów kierowcy, który ewentualnie jechałby w przeciwnym niż oni kierunku. Następnie skręcili na północ, jadąc przez Saorge, Fontan i wreszcie przez samo miasteczko Tende. Zaraz za Tende Dunnet wzdrygnął się i otworzył oczy.

- Wciąż jeszcze jestem wśród żywych? - zapytał.

- Na to wygląda. Dunnet przetarł oczy.

- Coś ty przed chwilą mówił o swoim przyszłym szwagrze?

- To „przed chwilą” było już dawno temu. - Harlow popadł w zadumę. - Wszystko wskazuje na to, że ktoś musi zacząć sprawować opiekę nad rodziną Macalpine'ów. A skoro tak, to chyba mogę to robić oficjalnie.

- Ty zakłamany taki a taki. Jesteście zaręczeni?

- No... nie. Jeszcze jej nie prosiłem o rękę. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość, Alexis. Ty będziesz prowadził samochód z powrotem do Vignolles, a ja będę spał snem sprawiedliwego. Na

tylnym siedzeniu, z Mary u boku.

- Jeszcze jej nawet nie poprosiłeś o rękę, a już jesteś pewien, że im ją odbierzesz. - Dunnet spojrział na Harlowa z niedowierzaniem i potrząsnął głową. - Johnny Harlow, jesteś najbardziej aroganckim zarozumialcem, jakiego znam.

- Proszę nie obrażać mojego przyszłego szwagra, panie Dunnet - odezwał się Rory sennym głosem. - A przy okazji, panie Harlow, jeżeli mam zostać pańskim szwagrem, to czy mogę mówić do pana po imieniu? Harlow uśmiechnął się.

- Możesz się do mnie zwracać jak ci się tylko podoba, byle z należnym szacunkiem i respektem.

- Tak jest, panie Harlow. Znaczy się, Johnny. - Nagle jego głos przestał być senny. - Hej, widzicie to samo, co ja? W oddali widać było światła samochodu, pokonującego zdradliwie serpentyny w dolnym odcinku Col de Tende.

- Widzę ich już od dłuższego czasu. To Tracchia.

- Skąd wiesz? - Dunnet zerknął na Johnny'ego.

- Z dwóch powodów. - Harlow dwukrotnie zredukował biegi, podchodząc do pierwszego wirażu.

- W całej Europie na palcach jednej ręki można policzyć ludzi, którzy potrafią prowadzić samochód w taki sposób, jak tamten kierowca. - Zredukował bieg po raz trzeci i ze spokojem człowieka siedzącego na kościelnej ławce, poślizgiem przeleciał przez zakręt. - Pokażcie znawcy sztuki pięćdziesiąt różnych obrazów, a natychmiast wam powie, kto je malował. Nie myślę o czymś tak skrajnie różnym, jak Rembrandt i Renoir. Mówię o obrazach malarzy z tej samej szkoły. Ja poznam technikę prowadzenia samochodu każdego kierowcy Formuły I na świecie. Zresztą, kierowców Formuły jest mniej niż malarzy. Tracchia ma zwyczaj lekko wytracać szybkość przed zakrętem i gwałtownie przyspieszać na wirażu. - Z piskiem protestujących opon wprowadził ferrari w kolejny zakręt. - To Tracchia. Rzeczywiście był to Tracchia. Siedzący obok niego Jacobson z obawą wyglądał przez tylną szybę.

- Z tyłu ktoś się zbliża.

- Jesteśmy na szosie publicznej. To może być ktokolwiek.

- Wierz mi, Nikki, że to nie jest ktokolwiek. W ferrari Harlow oświadczył:

- Sądzę, że trzeba się już przygotować. - Nacisnął przycisk opuszczający szyby. Sięgnął po swój pistolet i położył go obok siebie na siedzeniu. - Będę wam wielce zobowiązany, jeżeli nie zastrzelicie Mary.

- Miejmy tylko nadzieję, że zablokowali ten cholerny tunel - rzekł Dunnet. Wyciągnął swój pistolet. Tunel rzeczywiście był zablokowany, zablokowany skutecznie i radykalnie - w poprzek wjazdu stał olbrzymi wóz meblowy. Aston martin pokonał ostatni zakręt. Tracchia zaklął z goryczą i

wyhamował. I on, i Jacobson, ze strachem spoglądali przez tylną szybę. Mary także patrzyła do tyłu, tyle że z nadzieją, nie strachem.

- Nie mów mi czasem, że ta cholerna ciężarówka władowała się tam przez przypadek! Zawracaj, Nikki. Cholera, już są! Ferrari przeleciało poślizgiem przez ostatni wiraż i przyśpieszając, pędziło w ich kierunku. Tracchia desperacko usiłował zawrócić samochód, lecz Harlow wyhamował gwałtownie i wyrzwał swym ferrari w bok astona. Jacobson wyciągnął pistolet i zaczął strzelać na oślep.

- W Jacobsona! - rzucił Harlow pośpiesznie. - Nie w Tracchię, bo zabijesz Mary! Obaj mężczyźni w ferrari wychylili się przez okna i wystrzelili w tej samej chwili, gdy przednią szybę ich wozu strzaskała kula Jacobsona. Mechanik zanurkował na podłogę, szukając osłony, ale za późno. Zawył z bólu, gdy dwie kule utkwily w jego lewym ramieniu. Korzystając z zamieszania, Mary otworzyła drzwi astona i wyskoczyła tak szybko, jak na to pozwalała jej okaleczona noga. Nikt na nią nie zwrócił uwagi. Tracchia, który wystawił ponad szybę tylko czubek głowy, ostatecznie oderwał astona od ferrari, zakręcił gwałtownie i błyskawicznie zaczął się oddalać. Cztery sekundy później, gdy Dunnet wciągnął Mary do samochodu, ferrari ruszyło w pościg. Harlow, nie zważając na odłamki szkła, wybił strzaskaną szybę pięścią, a Dunnet dokończył dzieła pistoletem. Mary raz po raz krzyczała w panice, gdy Harlow pędził w dół serpentyną Col de Tende. Rory, obejmując siostrę ramieniem, wprawdzie nie krzyczał, lecz widać było, że jest przerażony nie mniej niż dziewczyna. Dunnet, strzelając przez otwór, który niedawno zajmowała szyba, również nie wyglądał na specjalnie zachwyconego. Twarz Harlowa była nieruchoma, nieprzenikniona. Przygodny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że kierowcą ferrari jest jakiś maniak. Harlow jednak całkowicie panował nad sytuacją. Przy akompaniamencie pisku wymęczonych opon i ryku silnika, pracującego na niższym biegu, zjechał z Col de Tende tak, jak nikt nigdy przed nim nie zjechał, i z pewnością już nikt nigdy nie zjedzie. Po przejechaniu szóstego zakrętu znajdował się o kilka metrów za astonem.

- Nie strzelaj! - krzyknął Harlow. Musiał przekrzykiwać ryk silnika, żeby Dunnet cokolwiek usłyszał.

- Dlaczego?

- Bo to jeszcze nie koniec. Aston, prowadząc już tylko o długość wozu, wszedł poślizgiem w prawy zakręt. Harlow, zamiast przyhamować, przyśpieszył, zdradliwie zakręcił kierownicą w prawo i ferrari przeleciało przez pół zakrętu na wszystkich czterech, piszczących, zablokowanych kołach, ustawionych pod kątem prostym do kierunku jazdy. Sekundę wcześniej zdawało się, że samochód jest całkowicie pozbawiony kontroli, jednak Harlow wyliczył wszystko z zegarmistrzowską precyzją - ferrari rąbnęło czyściutko i dokładnie w bok astona, i odbiwszy się od niego, wyleciało na środek wirażu. Aston zaś, ślizgając się, nieuchronnie zbliżał się do krawędzi szosy, za którą czekał go dwustumetrowy upadek w czarną, niewidoczną głębię parowu. Harlow wyskoczył z ferrari, nim jeszcze aston przeleciał przez krawędź. Pozostali natychmiast znaleźli się przy nim. Wszyscy zaglądali w przepaść. Zdawało się, że aston spada nienaturalnie powoli. Na ich oczach przezołtkował kilka razy i przepadł w ciemnościach wąwozu. Nastąpił krótki, głuchy huk, i w górę wystrzelił olbrzymi snop jaskrawopomarańczowych płomieni, który wzniósł się niemal do połowy urwiska. A potem była tylko ciemność i cisza. Cała czwórka na szosie stała bez ruchu, w absolutnym milczeniu. Wyglądali jak wprowadzeni w trans. Nagle Mary ukryła twarz na piersi Harlowa. Jej

ramiona drgały spazmatycznie. Johnny Harlow otoczył ją ramieniem i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w bezdenną głębię parowu.

\* \* \*

KONIEC